



# *Anne Stuart*

---



**Duma i honor**

---

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

---

**E**lizabeth z Bredon z dumnie uniesioną głową przeszła przez wielką salę zamku swego ojca. Ciężka suknia szeleściła głośno przy każdym kroku. Spod złotego diademu wymykały się długie kosmyki ogniście rudych włosów. Na twarzy dziewczyny malował się wyraz determinacji. Nie była zadowolona. Ludzie księcia Williama pozwalali sobie na więcej niż zazwyczaj. Już wyciągnęła z ich łap dwie służące i młodziutkiego pomywacza. Nie spotkała jedynie księcia. Pewnie zapędził się aż do obory, by zbałamucić jakąś mleczarkę, pomyślała z niechęcią.

Jeszcze ta noc, pocieszyła się w duchu Elizabeth, i pozbędę się wszelkich trosk i zmartwień. Na szczęście podróż do klasztoru Świętej Anny była stosunkowo krótka. Dwa dni, nie dłużej, i to porządnym traktem. Na resztę życia uwolnię się od mężczyzn i pożądlivych spojrzeń!

A może nie? - przemknęło jej przez głowę, kiedy rzuciła okiem na rozbawioną grupkę zakonników siedzących w kącie sali. Ci braciszkanie wcale nie byli lepsi od zapalczywych wojaków księcia Williama. Dobrze chociaż, że do tej pory trzymali ręce z dala od kobiet. Było ich sześciu, od młokosa, któremu dopiero wąż się sypał, po chodzącego z tak wyraźnym trudem starca, że Elizabeth ledwo się powstrzymywała, by nie poczęstować go ziołami. Ten sam napar pomógł przecież starej praczce, Gertrudzie. Mnich też poczułby się dużo lepiej, gdyby zgodził się na leczenie, ale nic z tego nie będzie. Elizabeth wiedziała z doświadczenia, że mężczyźni jej nie słuchali.

Pozostali zakonnicy niczym się nie wyróżniali. Dwaj byli pulchni, bezbarwni i całkiem zwyczajni. Jeden młody i silny, zapewne tuż po ślubach. Wyraźnie jeszcze nie przywykł do klasztorowego życia. Jedynie szósty wydawał się bardziej bogobojny. Miał nieco

melancholijne niebieskie oczy, długie jasne włosy i miękkie, niemal kobiece usta. Wciąż patrzył w ziemię. Tylko raz uśmiechnął się do Elizabeth, ale był to tak piękny uśmiech, że na krótką chwilę zachwiała się w swym postanowieniu.

To byłby jednak błąd, pomyślała prędko. Nawet najśłodszy chłopak, o najmiłszym uśmiechu i najpiękniejszym spojrzeniu tuż po ślubie stawał się po prostu gburem, traktującym żonę jak własność. Jak zwykły mebel. Elizabeth знаła reguły rządzące światem i nie zamierzała im się przeciwstawiać. Po co tracić siły w walce z nieuchronnym losem? Istniał pewien sposób, żeby uniknąć najgorszego. Nie chciała rok w rok rodzić dzieci i umrzeć w połogu, jak jej matka. Szukała samotności, siły i spokoju. To właśnie mogła znaleźć za murami klasztoru - jak każda niewiasta nienawykła do małżeńskiego życia.

A jednak uśmiech brata Matthew sprawił, że na krótką chwilę ogarnęło ją wzruszenie. Nie tęskniła za mężczyznami, ale lubiła małych chłopców. Gdyby jej brzdąc miał taki uśmiech...

- Córko! - głośno huknął baron Osbert z drugiego końca sali. Elizabeth odruchowo zwolniła kroku. Wprawdzie już jakiś czas temu dołała ojcu ziół do wina, żeby choć trochę uspokoić jego grzeszne zapędy, ale nie znała lekarstwa na zły humor. Jedyne, co mogła zrobić, to zachowywać się z ospałą, tępą powolnością. Baron był święcie przekonany, że kobiety są po prostu głupie - ze szczególnym uwzględnieniem jego jedynej córki.

Przeskoczyła nad jakimś chrapiącym pijakiem, leżącym na podłodze, ominęła zapchlonego psa i szurając nogami, podeszła do ojca. Miała za duże stopy - wszyscy to mówili - chociaż proporcjonalne do jej wysokiego wzrostu i wyjątkowo przydatne do kopania. Pięciu młodszych braci mogło to potwierdzić.

Osbert siedział przy głównym stole, ale wyjątkowo dostało mu się gorsze miejsce. Z trudem ukrywał niezadowolenie.

- Hej, ty! Przerośnięta pałko! - zawołał z ojcowską dumą. - Gdzie się tyle czasu szwendasz?

- Doglądałam twoich szlachetnych gości, panie ojcie - odpowiedziała Elizabeth zwodniczo spokojnym tonem, którego używała tylko podczas rozmów z baronem. Osbert czasami bił ją, nie chciała więc pobudzać go do gniewu. Aż się wzdrygnęła w duchu na wspomnienie jego twardych pięści. W ciągu dnia starała się schodzić mu z drogi, a kiedy już o coś pytał, to udawała głupią. Tak było najbezpieczniej.

Czasami nawet bawiła ją ta maskarada. Ojciec był święcie przekonany, że wszystkim nieszczęsnym białkom brak rozumu. Elizabeth miała odmienne zdanie. Sądząc po jej rodzinie, to raczej mężczyźni sprawiali wrażenie mocno ocieężałych, o wolnym pomyślniku.

- Doglądałaś, hę? - prychnął baron Osbert. -A kto by tam chociaż spojrział na taką chudą szkapę!

- Zachęcasz mnie do flirtowania, ojcie? - zapytała z miną niewiniątka.

- Nikt cię nie zechce. A poza tym masz iść do klasztoru. To dla ciebie najlepsze miejsce. Sporo wydałem, żeby przekonać przeoryszę, lecz nie żałuję tych pieniędzy. Źle się stało, że poślubiłem twoją matkę. Nie dość, że była chuda, to jeszcze pyskata. Wciąż się mądrzyła. Dobrze, że tobie Bóg poskąpił rozumu.

Elizabeth obdarzyła ojca słodkim uśmiechem.

- Coś jednak mam po tobie - powiedziała cicho.

Baron Osbert nic nie zrozumiał i się nie obraził, ale mężczyzna siedzący po jego prawej stronie wybuchnął stłumionym śmiechem. To było honorowe miejsce, zarezerwowane zwykle wyłącznie dla kasztelana. Elizabeth przez cały wieczór starała się nie patrzeć w tamtą stronę. Teraz jednak musiała. Lekko odwróciła głowę i z ukosa spojrziała na księcia Williama.

Dużo o nim słyszała. Księciem tytułowano go tylko z grzeczności. William Fitzroy był wprawdzie najstarszym synem króla Jana, lecz z nieprawego łoża. Pierwsze małżeństwo króla

okazało się bezdzietne. Po rozwodzie Jan wziął sobie nową żonę, dwunastoletnią Francuzkę. Od tamtej pory minęły już trzy lata, a wciąż brakowało następcy tronu. Ludzie zaczęli przebąkiwać, że jak tak dalej pójdzie, to Jan bez Ziemi oficjalnie wyznaczy Williama na spadkobiercę.

To byłby czarny dzień dla Anglii, pomyślała Elizabeth. O Williamie krążyły najróżniejsze plotki. Ponoć był rozpieszczonym i zepsutym do szpiku kości lubieżnikiem. Ostatnio musiał odbyć kolejną pokutę po przypadkowej śmierci pewnej młodej niewiasty, którą znaleziono martwą w jego łóżu. Po co w ogóle poszła do jego sypialni? - zastanawiała się Elizabeth. Gdybym tam była, na pewno bym ją powstrzymała. Oczywiście nigdy nie zapędziłam się tak blisko książęcej komnaty, ale...

Książę William miał na sumieniu dużo więcej grzeszków, ale tym razem chodziło o dziewczynę ze szlacheckiego rodu. Jej ojciec, jeden z dość bliskich sojuszników króla Jana, nie dał się łatwo ułagodzić. Williama odesłano do klasztoru Świętej Anny, aby tam spędził pewien czas na modlitwach i zmazał winę. Przydano mu niewielką uzbrojoną eskortę i - dla pocieszenia duszy - kilku zakonników. Elizabeth wybierała się w tę samą stronę, więc z polecenia ojca miała dołączyć do orszaku, lecz uważała to za wielce wątpliwy przywilej.

To był dobry pomysł, żeby go unikać, pomyślała, patrząc na księcia Williama. Nic dziwnego, że cieszył się opinią rozpustnika. Która dziewczyna mogła mu się oprzeć? Cóż, kłopot w tym, że było kilka takich i poniosły za to ciężką karę.

Ciemnowłosa książę siedział rozparty wygodnie na krześle barona Osberta. Roztaczał wokół siebie aurę królewskiego dworu. Ciemne kędziory przycinał trochę krócej, niż nakazywała moda, ale i tak wiły mu się wokół urodziwej męskiej twarzy niczym miękkie palce kochanki. Był wysoki, o niemal czarnych oczach i skórze spalonej słońcem. Nie wygląda mi na takiego, który by zbyt często przesiadywał w komnatach, pomyślała Elizabeth. Może woli

zabawiać się z kochankami na łące?

Książę William odziany był bogato i wytwornie. Kaftan miał przetykany brokatową nicią, wysokie skórzane buty, rubinowy pierścień na palcu lewej dłoni i złoty łańcuch na szyi tak gruby, że ktoś drobniejszej postury zapewne ugiąłby się pod jego ciężarem. Ale nie William.

W gruncie rzeczy w ogóle nie wyglądał na rozpustnika. Nie uśmiechał się obleśnie. Miał wąskie, zaciśnięte usta i niemal surowy wyraz twarzy. Ciekawe, czy czasami się uśmiecha? - zastanawiała się Elizabeth. Wydawał się jej nieco starszy niż w rzeczywistości. To zapewne na skutek grzesznego życia, uznała w duchu. Pewnie uśmiechał się, gdy uwodził niewinne dziewczęta...

- To moja córka - od niechcienia powiedział baron Osbert. - Wprawdzie taka sobie, ale przynajmniej cicha i dobrze ułożona. Nie będzie ci zawadą podczas podróży, panie. Podziękuj księciu - zwrócił się do córki - za to, że zechciał przyjąć cię do swojego orszaku i powiedz, że to dla ciebie zaszczyt.

- To dla mnie zaszczyt, panie - tępo powtórzyła Elizabeth.

Książę William przyglądał jej się z rosnącym zainteresowaniem.

- Cicha i dobrze ułożona? - rzekł pytającym tonem. Książę mówił głębokim, lekko chropawym głosem, który przyprawił Elizabeth o szybsze bicie serca. - Lubię takie - dodał po chwili milczenia.

Baron Osbert huknął donośnym śmiechem i zawołał:

- Nic ci po niej, mój książę! Nie warto tracić czasu ni zachodu!

- Wszystkie kobiety są czegoś warte - powoli odparł William, lekko przeciągając zgłoski. - Jak ci na imię, milady?

Na wszystkich świętych chrześcijańskiego kalendarza! Elizabeth miała ochotę uciec jak najdalej przed tym przenikliwym wzrokiem.

- Elizabeth - odpowiedział za nią ojciec. - Podejdz do księcia, ty niemoto. Powitaj go jak należy.

Dziewczyna potulnie pochyliła głowę i powoli zbliżyła się do stołu. Często zachowywała się w ten sposób. Wydawała się wtedy



trochę niższa i nikt nie widział jej spojrzenia. Nawet bracia byliby zdumieni, gdyby wiedzieli, co myślała.

- Zamierzasz wstąpić do klasztoru, lady Elizabeth? - tym samym tonem zapytał księżę. - Jesteś pewna, że tego naprawdę chcesz, pani?

Zaskoczona uniosła głowę i popatrzyła mu prosto w oczy. Łaskawa święta Anno, cóż to były za oczy! Tak głębokie, że każda głupia młódka z łatwością mogła w nich utonąć. Tyle że ja nie jestem głupia, pomyślała Elizabeth. A mimo to wpatrywała się jak urzeczona.

- Pod tym względem nie miała większego wyboru - obcesowo wtrącił baron Osbert. - Jest za wysoka i za tępa, żeby być dobrą żoną.

- Nie słyszałem, aby ktoś cenił niewiastę za jej rozum - półgłosem odparł księżę.

Ojciec roześmiał się hałaśliwie.

- To prawda, ale kto przy zdrowych zmysłach zechciałby ten worek kości? Ani się przy niej rozgrzać... Ech, dajcie mi taką pulchną, z wszystkimi krągłościami, żebym miał za co potrzymać - rozmarzył się Osbert.

- Ja zaś z kolei wiem, że czasami najwięcej przyjemności czeka na nas w najmniej spodziewanym miejscu - odparł William. - Pod warunkiem, że mądry człek umie obserwować.

Dość tego, zaperzyła się w duchu Elizabeth, ale pilnowała się, żeby się nie zdradzić pod czujnym spojrzeniem księcia.

- Mogę już odejść, ojcze? Mam jeszcze wiele do zrobienia i chcę się pożegnać z braćmi. Bóg jeden wie, kiedy ich znów zobaczę. Podejrzewam, że nieprędko wybiorą się z wizytą do klasztoru Świętej Anny.

- Chyba że któryś z nich by musiał - zauważył baron Osbert - ale nic z tego. Są za sprytni, żeby tak głupio dać się złapać - dodał, zapominając, że obok niego siedzi człowiek, któremu właśnie to się przytrafiło. - Nie wiem tylko, czy ich teraz

znajdziesz. To całkiem zdrowe młode byczki i pewnie gdzieś się zabawiają. Toć mamy święto! Wcale nie tęskno im do starszej siostry. Chętnie pożegnam ich od ciebie.

- Święto? - zapytał ksiązę William.

- Święto z powodu twojej wizyty, panie - nadspodziewanie gładko odparł Osbert - oraz rozstania z moją córką.

- Aż tak dała się wam we znaki? - W głosie księcia zabrzmiała nuta rozbawienia. Elizabeth drgnęła. Lubiła wesołych mężczyzn, ale nie wówczas, kiedy bawili się jej kosztem.

- Ojciec świętuje, bo jego córka chce służyć Panu Bogu - powiedziała oschle.

- Zwłaszcza że po prawdzie tylko do tego się nadaje - zauważył kochający rodzic.

- Nie jestem o tym w pełni przekonany - niespodziewanie zaproponował ksiązę. Elizabeth poczuła dreszcz przebiegający jej wzdłuż kręgosłupa. Głos Williama sprawiał, że najchętniej uciekłyby i zaszyła się w ciemnym kącie.

Tak będzie lepiej, pomyślała. Pora odejść.

- Tymczasem zajrzę do braciszków...

- Jakich braciszków? - przerwał jej obcesowo Osbert. - Do twoich braci czy do zakonników?

- Sam powiedziałaś, że ich nie znajdę. Zawsze masz rację, ojciec - odparła. - Pójdę sprawdzić, czy świątobliwym gościom czegoś jeszcze nie trzeba.

- Trzymaj się od nich z dala. - W głębokim głosie księcia Williama nie było śladu dawnej łagodności. Pobrzmiwała w nim władcza nuta.

Elizabeth mogła udawać głupią, ale musiała usłuchać rozkazu. Dygnęła przed dostojnym gościem.

- Jak sobie życzy Wasza Wysokość - powiedziała pokornym tonem. Popatrzyła przez ramię na grupkę zakonników po drugiej stronie wielkiej sali. Kilku z nich ułożyło się już na szerokich ławach. Chyba spali. Jedynie brat Matthew - ten o niebieskich



oczach i słodkim uśmiechu - wciąż siedział z łokciami wspartymi na stole. Patrzył na nią.

- Nie wiem, czy będzie ci dobrze w klasztorze, pani - powoli rzekł William. - Za często strzelasz oczami do młodzieńców.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. W jego słowach dźwięczało niezadowolenie, jakby był zły, że patrzyła na urodziwego mnicha. Ale dlaczego? Chyba nie liczył na to, że wszystkie dziewczęta będą wpatrywały się tylko w niego?

A może jednak?

- Pójdę już na spoczynek - oznajmił nagle. - Odprowadzisz mnie, lady Elizabeth. Jestem bardzo zmęczony, a twój ojciec podał tak wyśmienite i mocne wino, że sam nie znajdę drogi do komnaty.

- Zaraz zawołam służbę, Wasza Wysokość - zaczęła Elizabeth. W gruncie rzeczy wolałaby jednak tego nie robić. Nie chciała mu podsuwać służki, żeby mógł zaspokoić apetyty. Sama się go nie bała, bo wiedziała, że nic jej nie grozi. Tacy ludzie jak książę William szukali tylko najpiękniejszych kobiet - a jej Bóg na szczęście poskąpił urody. Na pewno nie budziła w nim zainteresowania.

Zioła nic tu nie pomogą, przemknęło jej przez głowę. Trzeba co najmniej kilku godzin, czasami dni, żeby zaczęły działać.

- Książę królewskiej krwi zasługuje na nieco lepsze względy - odparł William i wstał zza stołu. - Domagam się, aby towarzyszyła mi córka gospodarza.

Rzeczywiście był bardzo wysoki. Nie tak ogromny, jak niektórzy ze zbrojnych barona i nie tak muskularny, ale słusznej budowy ciała i zręczny w każdym ruchu. Z gracją zbliżył się i ujął Elizabeth za rękę. Nic na to nie mogła poradzić.

- Chodź, milady - powiedział nieznośnym sprzeciwu tonem. - Pójdziemy razem. Opowiesz mi o przyjemnościach, które mnie czekają w tym barbarzyńskim miejscu.

Baron wciąż siedział ogłupiały. Nawet się podniósł, jak

wymagały tego względy etykiety, lecz z otwartymi ze zdumienia ustami wpatrywał się w Williama.

Elizabeth poczuła w swojej dłoni szorstką dłoń księcia. To dziwne, pomyślała. Zawsze sądziłam, że arystokraci mają miękkie, wypielęgnowane ręce. Prawda, że William był szeroko znany nie tylko z miłosnych podbojów. Podobno równie zręcznie władał każdą bronią i wiele godzin spędzał na ćwiczeniach.

Siły i zdecydowania rzeczywiście mu nie brakowało. Zanim baron Osbert zdążył coś powiedzieć - zaprotestować albo ostrzec córkę, żeby przypadkiem się nie opierała - William pociągnął ją za sobą i wyszedł z zadymionej i hałaśliwej sali. Po chwili oboje zniknęli w ciemnym korytarzu.

- Dokąd teraz? - spokojnie zapytał księżę.

- A dokąd mam cię zaprowadzić, panie? - zagadnęła równie beznamyślnym tonem, chociaż ogarnął ją strach. Człowiek stojący obok był większy i silniejszy od niej, a także powszechnie znany ze swojej brutalności. Nawet z czułym kochankiem nie poszłaby do łóżka, co dopiero z potworem...

- Do mych komnat, pani. Tam się rozstaniemy, abyś mogła sama spędzić tę ostatnią noc w domostwie ojca. Nie skrzywdzę cię, lady Elizabeth.

Skłonna mu była nawet uwierzyć, gdyby nie mówił tego z ironią.

Popatrzyła na niego w migotliwym świetle pochodni, które słabo rozjaśniały mrok korytarza. Usiłowała coś wyczytać z wyrazu jego twarzy. Zobaczyła jedynie plątaninę cieni. W blasku ognia wydawał jej się groźniejszy niż dotychczas. Westchnęła cicho.

Niestety, William wciąż trzymał ją za rękę; niezbyt silnie, ale wystarczająco pewnie, by nie mogła mu uciec. Zaprowadził ją więc do przeznaczonej na jego kwaterę słonecznej izby.

- Oczywiście, Wasza Wysokość - powiedziała cicho, chcąc zamaskować zdenerwowanie. W panice zapomniała, że szlachetnie urodzonej damie przystoją tylko małe kroczyki. Szła

szybko, lecz księżę bez trudu za nią nadażał, poruszając się z niewymuszonym wdziękiem.

Gdzież lepiej można było ulokować księcia niż w najcieplejszej i najlepiej umeblowanej izbie w południowej wieży? W parę chwil pokonali ciemne korytarze. Po drodze nie spotkali żywego ducha. Zamek zdawał się wymarły. Żadnej rozchichotanej służebnej, żadnego z rozbrykanych braci czy zakonnika. W milczeniu przechodzili obok pustych komnat. Znikąd ratunku, ze zgrozą pomyślała Elizabeth. Mogła liczyć jedynie na własny koncept, choć w obliczu niebezpieczeństwa zapewne by to nie pomogło.

Drzwi do słonecznej izby były zamknięte. Elizabeth zatrzymała się tuż przed progiem. Co robić? W głowie kłębiły jej się różne myśli. Może najlepiej zemdleć? William wprawdzie był silny, ale na pewno miałby spory kłopot z wciągnięciem do komnaty jej bezwładnego ciała. Jednak wcale nie musiał tego robić. Mógłby, na przykład, wezwać kilku zbrojnych. W końcu miał tytuł księcia - choćby z nieprawego łoża.

A może kopnąć go w łydkę i uciec? Niewątpliwie był szybszy, lecz za to Elizabeth o wiele lepiej znała zakamarki ojcowskiego zamku. Gdyby się uparła, nikt by jej nie znalazł.

Mogła też z pokorą - wzorem innych kobiet - przyjąć wyroki losu. Przecież na dobrą sprawę od stuleci nic się nie zmieniło. Ile to świętych męczennic cierpiało w poniżeniu? Ile zginęło z ręki napastnika? Gdybym teraz umarła, poszłabym do nieba bez ślubów zakonnych.

Nie chciała umierać. Ciągle rozmyślała nad sposobem ucieczki, kiedy William puścił jej rękę.

- Od początku mówiłem, lady Elizabeth, że nie musisz się mnie obawiać - powiedział. - Nie zamierzam cię zgwałcić.

Dziewczyna spiekła raka, ale bardziej ze wstydu niż cichej radości. Mogłam się spodziewać, pomyślała, że ktoś taki jak księżę William nie upodoba sobie chudej i przerośniętej dziewczki o płomienistych włosach i ciętym języku. Nawet zbrojni Osberta

woleli ją omijać, a co dopiero „znawca tajemnic miłości”. Ze zdziwieniem stwierdziła, że ma żal do Williama.

Z trudem zapanowała nad drżeniem głosu.

- Jeśli ci będzie czegoś trzeba, panie, to wystarczy, że zawołasz służbę - powiedziała i odwróciła się, żeby odejść.

William wyciągnął rękę i położył jej dłoń na odsłoniętym ramieniu. Elizabeth zatrzymała się, zaskoczona. Dotyk ciepłej i szorstkiej dłoni księcia wprawił ją w zakłopotanie. Nie przywykła do tego. Po prawdzie, w ogóle nie wiedziała, jak w takiej sytuacji postępować z mężczyznami. A księżę William rzeczywiście mógł się podobać.

- Niczego nie potrzebuję. Jak zapewne słyszałaś, to pokutna podróż. - Uśmiechnął się z ledwo uchwytną drwiną, chociaż nie wiadomo, do kogo skierowaną. Pewnie do tych, którzy go ukarali, zdecydowała Elizabeth. - Powinnaś udać się na spoczynek, pani. Musisz się wyspać. Czeka nas długa droga, a wyruszamy jutro bladym świtem.

- Tak, Wasza Wysokość.

- Braciszkanie na pewno zadbają o siebie. Składali śluby ubóstwa. Żądają mało. Jestem pewny, że dziś nie musisz się już o nich troszczyć.

- Nie troszczę się.

- Odniosłem nieco inne wrażenie - odparł.

Nadal trzymał ją za ramię. Elizabeth czuła ciepło bijące od jego dłoni.

- Wciąż jestem tu panią - powiedziała. - Przez całe życie zajmowałam się gośćmi ojca.

- Zatem najwyższa pora, żebyś zainteresowała się czym innym. Obiecujesz?

Elizabeth gwałtownie uniosła głowę, zaskoczona jego ostatnim pytaniem.

- Niby co, Wasza Wysokość?

- Że nie wrócisz już do wielkiej sali - odparł cierpliwie. - Że

pójdiesz wprost do siebie i zostaniesz tam aż do rana. Prawdę mówiąc, to nie całkiem ufam moim ludziom, zwłaszcza jeżeli chodzi o kobiety.

A ty jesteś od nich dużo lepszy? - chciała spytać, lecz w porę ugryzła się w język. Wołała nie przeciągać struny. Powinna być mu raczej wdzięczna, że pozostawiał ją nietkniętą.

Z łatwością mogła spełnić prośbę księcia, bo nie zamierzała wracać do uczujących.

- Obiecuję, Wasza Wysokość, chociaż wyraźnie przeceniasz wrażenie, jakie mój widok może wywołać na mężczyznach. O ile mi wiadomo, jestem zupełnie bezpieczna.

Uśmiechnął się leniwym, złowieszczym uśmiechem, zupełnie niepodobnym do słodkiego jak ulepek uśmiechu brata Matthew.

- To raczej ty nie doceniasz mężczyzn, pani. Gdybym nie pokutował za poprzednie grzechy, chętnie bym cię wciągnął do pokoju i zgrzeszył na nowo.

Popatrzył na nią, wsparł obie dłonie na jej ramionach i przyciągnął ją bliżej. Elizabeth wbiła uważne spojrzenie w jego ciemne oczy. Nie opierała się. Wręcz przeciwnie, podświadomie czekała, że ją pocałuje. To byłby przecież jeden jedyny, a zarazem ostatni pocałunek, zanim zamkną się za nią wrota klasztoru. Co prawda, wołałaby, żeby zamiast księcia stał teraz przed nią brat Matthew...

Ale to były zwykłe mrzonki. Nikt jej pragnął. Nikt jej nie pożądał. Zamknęła oczy i czekała. William przyciągnął ją jeszcze bliżej i delikatnie pocałował w czoło.

Wyglądało to na błogosławieństwo. A zatem dzięki Bogu. Elizabeth odstąpiła z cichym westchnieniem. Przez krótką chwilę miała wrażenie, że William jednak chciałby ją zatrzymać.

- Dobrych snów, Wasza Wysokość - rzuciła na odchodnym. Nie wiedzieć czemu z trudem panowała nad rozgoryczeniem. - Rano na pewno będę gotowa. Możemy ruszać o dowolnej porze. A teraz jeszcze raz dobranoc. Spokojnej nocy.

- Szczerze w to wątpię - mruknął William. Po chwili zamknął za sobą drzwi komnaty. Elizabeth została sama w pustym korytarzu. Wciąż czuła dotyk jego ust na swoim czole.

William siedział w wysokim fotelu i zamyślonym wzrokiem patrzył w ogień wesoło trzaskający w kominku. Nagle usłyszał ciche skrzypnięcie zawiasów. Przez kilka sekund miał nadzieję, że to wróciła rudowłosa. Wcale nie była tak potulna, jak się wszystkim wydawało.

William odwrócił głowę. Do komnaty po cichu wszedł młody zakonnik. Starannie zamknął drzwi.

- Ktoś cię widział? Brat Adrian zaprzeczył.

- Nikt a nikt. Zresztą, gdyby się pytali, powiedziałbym, że ci potrzeba duchowego pocieszenia, panie.

- I dlatego wybrałem najmłodszego mnicha? To raczej niemożliwe.

Adrian splonął rumieńcem.

- Nie pomyślałem...

- Nic się nie stało, bracie Adrianie. Prędzej im przyjdzie do głowy, że jestem tak zepsuty, iż ciągnie mnie do chłopców.

Słyszałem już takie plotki.

Brat Adrian zmarszczył brwi.

- To nieprawda. Nie mógłbyś chyba... - Głos mu się załamał.

- Ja nie - padła odpowiedź - ale księżę William? Poszedł już spać?

- Tak.

- Są z nim jakieś dziewczki?

- Nie - odparł zakonnik.

- To dużo trudniejsze, niż myślałem. Pilnuj go, Adrianie. Za nic ma tę pokutę.

- A ty za bardzo się martwisz - odważnie powiedział Adrian.



## ROZDZIAŁ DRUGI

---

**E**lizabeth wstała bardzo wcześnie. Nigdy nie sypiała długo. Była na to zbyt niecierpliwa. Nie mogła się doczekać dnia, w którym miała rozpocząć nowe życie. Już dawno była spakowana i pożegnała się z bliskimi, a mimo to zerwała się przed pierwszym brzaskiem, szybko zasznurowała prostą suknię bez ozdób i usiadła przy oknie, by popatrzeć na słońce, które powoli wyłaniało się zza szczytów gór po wschodniej stronie. Chyba ostatni raz spoglądam z tego okna, pomyślała bez najmniejszego żalu. Przecież będą inne poranki i inne okna... Dosyć ciągłego patrzenia na świat z tej samej komnaty.

Oparła głowę o chłodny kamienny mur. W dole zamek pomału budził się do życia. Pierwsze zjawyły się młeczarki. Potem przyszła grupka stajennych, a po pewnym czasie cała reszta służby. Każdy pilnie podążał do swoich obowiązków. Wciąż jednak brakowało rycerzy i mnichów. Żaden z nich nawet nosa nie wytknął na dziedziniec, chociaż słońce stało już wysoko nad basztami.

Zamek był schludny i dobrze utrzymany mimo częstych wyburzeń kasztelana. O to musiała zadbać Elizabeth. Zawsze się starała. Bóg jeden wie, co tu zastanę przy następnej wizycie... Westchnęła. O ile w ogóle jeszcze tutaj zajrzę. Nawet tak mały zamek, jak Bredon potrzebował wprawnej gospodyni, żeby utrzymać w ryzach niesforną służbę. Osbert już kilka lat temu stwierdził ze zdumieniem, że dobra córka - nawet brzydka - może się jednak przydać. Tylko ona wiedziała, jak sobie poradzić ze służącymi, kuchcikami i sprzątaczkami. Była niczym wódz stojący na czele małej armii. Umiała dopilnować każdego drobiazgu. Rzadko miewała czas na własne przyjemności, na studiowanie gwiazd i zgłębianie tajemnic leczniczych ziół i korzeni. Cała służba, licząca bez mała pięćdziesiąt osób, słuchała jej bez szemrania.

Kto teraz się nimi zajmie? - zadała sobie w duchu pytanie Elizabeth. Na zamku rychło zapanuje nieład, gdy zabraknie w nim kobiecej ręki.

Oczywiście to się mogło zmienić. Osbert nosił się z zamiarem poślubienia jakiejś młódki. Na razie wstrzymywała go mikstura potajemnie warzona przez córkę. A synowie na pewno pójdą w ślad za nim. W zamku aż zaroi od dorodnych niewiast. To jeszcze jeden powód, aby stąd uciekać, uznała Elizabeth. Nie chciała dzielić się tą odrobiną władzy, którą tu miała.

To już nie jej zmartwienie. Nie wróci tutaj. Może nigdy nie spotka się z rodziną. Dobrze wiedziała, że będzie tęsknić za rozbrykanymi braćmi, lecz nie napawało jej to smutkiem. W klasztorze Świętej Anny czekała na nią nowa rodzina. Nowa rodzina, nowe imię i obowiązki.

Na zamkowy dziedziniec wyszedł pierwszy z gości i skierował się w stronę stajni. Elizabeth ze zdziwieniem rozpoznała w nim księcia Williama. Był wykwitnie ubrany, ze złotym łańcuchem na szyi, połyskującym w pierwszym blasku słońca. Nie nosił nakrycia głowy i Elizabeth dopiero teraz zauważyła z pewnym rozbawieniem, że przedwcześnie łysiał. Wprawdzie starannie uczesał ciemne włosy, lecz mimo to było doskonale widać, że miał ich za mało. Był niemal tak łysy jak mnich. Dobrze chociaż, że wyrósł na wysokiego mężczyznę, pomyślała Elizabeth. Na pewno jest niewielu takich, co to patrzą na niego z góry.

Jako jedyny królewski syn budził powszechny respekt i uniżenie. Nikt nie potrafił mu odmówić. Elizabeth nie mogła sobie wyobrazić, że ktoś taki jak on zabił niewiastę. A może to zwykłe kłamstwo? Na pewno żadna mu się nie oparła, choćby była wysokiego rodu.

Elizabeth przyglądała mu się ze spokojem, bezpiecznie ukryta za grubym wykuszem okna. W gruncie rzeczy nie miała nic lepszego do roboty. Książę poruszał się miękkim, posuwistym krokiem, zadziwiająco gibko jak na kogoś tak wysokiego wzrostu.

Albo zabawiał się do białego rana i nie miał czasu zasnąć, albo przeciwnie - w odróżnieniu od swoich towarzyszy, wyspał się solidnie w słonecznej komnacie. Nie wyglądał na zmęczonego. A że w nocy nie słychać było żadnych krzyków, chyba z bożej łaski nikomu nie stała się niespodziewana krzywda.

Tymczasem książę William minął wejście do stajni i poszedł do kaplicy. Po chwili zniknął za drzwiami.

Zdumiona Elizabeth cofnęła się w głąb komnaty. Przecież pamiętała, że obecna pokuta w rzeczy samej miała być karą dla Williama. Z tego, co słyszała, ów człowiek żył z dala od Boga, we własnym, okrutnym świecie przemocy i rozpusty. Jeśli pogłoski choćby w połowie były prawdą... Ale minionej nocy nie wydał się jej groźny. Jaki z niego rozpustnik, skoro przy rozstaniu pocałował ją w czoło?

To wszystko nie miało najmniejszego sensu. Zachowanie Williama było zagadkowe, lecz Elizabeth nie zamierzała łamać sobie tym głowy. Cały zamek już wstał, a towarzysze księcia, którzy właśnie leniwie wychynęli z kątów, wyglądali o wiele gorzej od swojego pana. Tak czy owak, czas w drogę.

Nikt z rodziny nie przyszedł, żeby się pożegnać z wyjeżdżającą Elizabeth. Zjawiała się jedynie służba. Stara praczka Gertruda płakała rzewnymi łzami i nawet chłopak stajenny Wat pociągał nosem. Elizabeth serdecznie uściskała ich wszystkich, chociaż sama z trudem powstrzymywała się od płaczu. Wreszcie podeszła do leciwej kobyły, którą ojciec łaskawie przeznaczył jej na wierzchowca.

Mężczyźni wspięli się na siodła. Elizabeth spod oka spojrzała na mnichów, dosiadających przepysznych rumaków. A to niespodzianka. Braciszkanie zakonni zwykli jeździć na osłach. Biedna stara Melange będzie musiała ostro wyciągać kopyta, żeby nadążyć za ostatnim z tych dziarskich jeźdźców. Wat już przyniósł zydel, aby Elizabeth mogła łatwiej dosiąść klaczy, ale w tej samej chwili rozległ się głos księcia. Dziewczyna drgnęła lekko. Nie

zauważyła, że William podszedł tak blisko.

- Nie pojedziesz na tej żalösnej kobyle - powiedział obojętnym tonem.

Elizabeth popatrzyła na księcia. Napotkała głębokie spojrzenie jego ciemnych oczu i nie mogła uwierzyć, że ten człowiek naprawdę zdolny jest do tych wszystkich niegodziwości, o które go oskarżano. Że jest zepsutym do szpiku kości okrutnikiem.

- Nie mam innego konia.

- Widziałem stajnie twojego ojca. Lepiej dba o zwierzęta niżli o niewiasty.

- Jak każdy mężczyzna - mruknęła Elizabeth. Za późno ugryzła się w język. Wcale nie chciała ściągać na siebie uwagi.

- Bracie Adrianie! - zawołał księżę przez ramię, nie odrywając wzroku od Elizabeth. Ku jej zdziwieniu, na to wezwanie zareagował najmłodszy z mnichów. Zsunął się z siodła i podbiegł do Williama.

- Tak, Wasza Wysokość?

- Wyszukaj damie lepszego wierzchowca. Na tej szkapie nie zdoła dotrzymać nam kroku. Szybko zostanie w tyle.

- Nie wiem, czy baron Osbert będzie zadowolony...

- Baron nie ma tu nic do powiedzenia - przerwał mu gniewnym tonem William. - Przecież nie będzie kłócił się z księciem, prawda? Wprawdzie nie grzeszy zbytnią mądrością, ale ma chyba dość rozumu, żeby ustąpić silniejszym od siebie.

- Rzekłeś, panie. - Brat Adrian podszedł do Wata, który drząc cały, przyglądał się tej scenie. Chłopak miał buty umazane końskim łajnem.

- Nie mam pojęcia, co tu wybrać, Wawasza Wysokość... — wyjąkał roztrzęsionym głosem. - Pan baron nigdy nie pozwalał panience długo jeździć... Bał się o swoje konie, bo... bo panienska kiepsko się trzyma w siodle.

Księżę William wciąż patrzył na Elizabeth.

- Jesteś prawdziwym utrapieniem, pani - rzekł pod nosem.

- Bez przerwy mi to powtarzają. - Nie próbowała się bronić. Wsiadłaby nawet na krowę, byle jak najszybciej stąd odjechać.

- Daj jej konia Anthony'ego. Nie będzie mu potrzebny.

Elizabeth pozwoliła sobie na krótką chwilę refleksji nad losem Anthony'ego.

- Wystarczy mi Melange - wtrąciła. - Jestem tego zupełnie pewna.

- Ja zaś mówię, że nie. Chcesz się ze mną kłócić?

Owszem, chciała, ale po namyśle postanowiła milczeć. Nie należy sprzeczać się z królewskim synem, zwłaszcza gwałtownikiem.

- Postąpię zgodnie z twoją wolą, panie. Skinął głową.

- Mądre dziewczę. Wiedziałem, że masz więcej oleju w głowie niż twój rodzic. Jedźmy więc. I tak już jesteśmy spóźnieni.

Mimo to nadal czekał. Ogromny, czarny rumak parskał niespokojnie w chłodnym wietrze poranka, gotów wyrwać z kopyta, ale William trzymał go w ryzach silną ręką. Po chwili wrócił Adrian, prowadząc osiodłaną kasztankę.

Elizabeth przyjrzała jej się podejrzliwie. Klacz była większa od Melange i miała w sobie więcej życia. Cóż, pomyślała z westchnieniem, zdaje się, że pod tym względem nie pozostawiono mi wyboru. Muszę więc przyjąć to, co mi dają.

Bała się jechać na nieznanym sobie koniu, ale jeszcze bardziej wstydziła się niezgrabnie wgra-molić na siodło pod baczny spojrzeniem księcia. Popatrzyła na niego ukradkiem i ze zdumieniem stwierdziła, że wcale nie zamierzał bawić się jej kosztem.

Klacz stała spokojnie - w rzeczy samej wydawała się dużo lepiej ułożona niż stara Melange. Elizabeth pomodliła się w duchu z wdzięcznością. Nie chciała, żeby William musiał jej pomagać przy wsiadaniu na konia. Zwłaszcza nie przy wszystkich.

Po chwili wyruszyli. Kawalkada jeźdźców zanurzyła się z wolna w obłok porannej mgły. Elizabeth ostatni raz spojrzała za siebie, na grupkę służących i znajome mury zamku Bredon, w którym

spędziła siedemnaście lat.

Już od dzieciństwa była dumna z tego, że nigdy nie płakała. Ani wtedy, gdy ojciec targał ją za uszy czy kiedy bracia przezywali ją tyczką. Ani wówczas, gdy przypadkiem podsłuchiwała rozmowę dwóch praczek, narzekających, że brak jej kobiecego wdzięku, czy kiedy los odebrał jej jedyną szansę na małżeństwo, bowiem ten, któremu była z dawna przyrzeczona, wybrał inną. Wystarczyło popatrzeć w lustro, żeby zrozumieć ten stan rzeczy. Elizabeth była ruda - a to kolor samego diabła. Do tego piegowata, trochę opalona - i o wiele za duża. Wzrostem przewyższała mężczyzn. Szczupła, o wąskich biodrach, za chuda, aby rodzić dzieci. Kto miałby z niej korzyść? Nawet jędrne piersi sprawiały jej więcej kłopotu niż pożytku. Przeszkadzały na co dzień, a czasem ośmielały jakiegoś namolnego mężczyznę. Dobrze przynajmniej, że w klasztorze nie będą na nie patrzeć.

A zatem Elizabeth nigdy nie roniła łez i była dumna z tego, że jest taka silna. Teraz jednak, gdy słońce wspinało się po niebie, miała ochotę się rozpłakać.

Przez siedemnaście lat nie odjechała z zamku dalej niż dzień drogi. To zresztą było w dniu zerwanego ślubu. Zmarła matka nie miała w pobliżu krewnych, a baron Osbert, rzecz jasna, nie zabierał córki na wyprawy. Jeszcze nigdy tak długo nie siedziała w siodle. Kości bolały ją przy każdym ruchu klaczy.

- Milady? - Męski głos wdarł się w jej smętne myśli. Uniosła głowę i napotkała uważne spojrzenie jasnyniebieskich oczu brata Matthew. - Źle się czujesz?

Spłoszona zerknęła szybko na czoło kawalkady, lecz księżę William na szczęście był bardzo daleko. Prawie go nie widziała. Uśmiechnęła się smutno do uprzejmego zakonnika.

- Po prostu jestem już trochę zmęczona - odpowiedziała niemal szczerze. Prawdę mówiąc, miała ochotę krzyknąć z bólu, chociaż wiedziała, że to nic nie pomoże. - Dziękuję, że się o mnie troszczysz, bracie - dodała. - Odpocznę, gdy się zatrzymamy.



Co za szkoda, że tak przystojny młodzieniec trafił do zakonu, pomyślała bezwiednie. Brat Matthew uśmiechnął się do niej. Tacy jak on mogliby wnieść odrobinę światła w puste życie kobiet. Jak to możliwe, zastanawiała się w duchu Elizabeth, że na świecie jest tyle zbędnej brutalności, a co wrażliwsi ludzie idą do klasztorów? Sama też wkrótce zniknę za murami, zreflektowała się po chwili.

- Wątpię, żeby książę rychło zarządził popas - skrzywił się brat Matthew. - Pewnikiem staniemy dopiero na nocleg.

Elizabeth nie mogła powstrzymać się od cichego jęku.

- Może z nim porozmawiam? - zaproponował mnich i popatrzył na nią z niekłamany współczuciem. - Wystarczy, że mu szepnę słówko, aby wydał odpowiedni rozkaz. To za ciężka wyprawa dla tak delikatnej damy.

- Wcale nie jestem delikatna - mruknęła przez zaciśnięte zęby. Wprawdzie bywały takie chwile, że oddałyby dosłownie wszystko, żeby być drobnym, kruchym i bezradnym dziewczęciem. Bóg chciał jednak inaczej i musiała się z tym pogodzić. Usiłowała z dumą myśleć o tym, że jest silna. Choćby wspomniana siła opuszczała ją w najmniej pożądanym chwilach. - Nic mi nie będzie - dodała. - Najzwyczajniej w świecie nie przywykłam do dalekich podróży.

- Nasza wędrowka dopiero się zaczęła. Nie ma powodów do pośpiechu.

- Być może książę chce jak najszybciej uporać się z pokutą - powiedziała Elizabeth. Poprawiła się w siodle. Całe szczęście, że klacz ze stoickim spokojem znosiła jej ciągłe harce. Melange nie była tak cierpliwa.

- W to nie wątpię - odparł brat Matthew. - Celibat wyraźnie nie służy takim ludziom jak nasz książę William. Uważaj na niego, pani. Aż dziw bierze, że twój dobry ojciec nie przydał ci choćby kuchennej dziewczki do towarzystwa. W rzeczy samej, jesteś jedyną niewiastą w naszej grupie... To niebezpieczne.

- Ufam, że nie stanie mi się krzywda - powiedziała Elizabeth i

odrzucała na ramię niesforny, rudy kosmyk.

- Za bardzo wierzysz ludziom, pani. Przyjdź do mnie, gdy poczujesz, że coś ci zagraża. Uczynię wszystko, żeby cię ochronić.

Spojrzała w jego jasne oczy. Serce jej zmiękło na ten widok. Dlaczego inni mężczyźni nie są tacy jak brat Matthew? Cichy, miły, łagodny, przystojny i o miękkim głosie... Że też musiał iść do zakonu. Czyste marnotrawstwo.

Bluźnisz, Elizabeth, złajała się w myślach. Na szczęście okazała się na tyle mądra, by zachować dla siebie wątpliwości. Któż bardziej niż Kościół potrzebował ludzi takiego pokroju? Wszak to ogromny zaszczyt służyć Panu Bogu.

Brat Matthew pochylił się w stronę Elizabeth i położył rękę na jej przedramieniu. Miał miękkie, piękne dłonie. Na palcu nosił ciężki złoty sygnet.

- Obiecuj mi, że do mnie przyjdiesz - powiedział nagłym tonem.

Elizabeth poczuła dotyk chłodnych palców. To dziwne, bo słońce mocno przygrzewało. Sama miała gorącą krew, co było przydatne w źle ogrzewanych komnatach ojcowskiego zamku i zimnych korytarzach, po których hulały przeciągi. Ale teraz chodziło o coś całkiem innego. Świątobliwy zakonnik powinien być chłodny, pomyślała dziewczyna. Może ja też ostygnę po dłuższym pobycie za murami klasztoru?

Matthew wciąż jechał tuż obok, trzymając ją za rękę. Jego rumak górował nad klaczą Elizabeth.

Klacz strzygła uszami, jakby dzielając niepokój swojej pani. Dziewczyna chciała uwolnić dłoń, ale nie umiała znaleźć tej jednej wymówki, którą nie uraziłaby troskliwego mnicha. Zmieszana, jeszcze raz poprawiła się w siodle.

- Bracie Matthew! - Podjechał do nich najmłodszy z zakonników. W jego głosie brzmiała niezwykła natarczywość.

Brat Matthew powoli, niemal z ociąganiem puścił dłoń Elizabeth i z kwaśnym uśmiechem spojrzał na młodszego towarzysza.

- Słucham, bracie Adrianie...
- Książę William chce pilnie z tobą porozmawiać.
- Będziemy mieli na to więcej czasu, kiedy się zatrzymamy - odparł Matthew, ciągle jadąc u boku Elizabeth. - Przy wieczerzy pogawędzimy o grzechach i pokucie.
  - Książę nalega, bracie Matthew. Zakonnik uśmiechnął się promiennie.
    - Książę winien pamiętać, że to pokutna podróż, a nie zwykła wycieczka. Jego życzenia nie są najważniejsze. Zjawię się później.
- Brat Adrian, wyraźnie zły, zatoczył koniem i odjechał. Matthew wybuchnął stłumionym śmiechem.
  - Czy to rozsądne? - spytała Elizabeth. Wciąż była pod urokiem słodkiego uśmiechu mnicha, ale zachowała choć trochę rozwagi. - Z tego co wiem, książę William nie nawykł do odmowy. Czyż nie to było powodem jego kary?
    - Owszem. I jako część pokuty będzie codziennie słyszał „nie”. Musi to przełknąć.
- Elizabeth popatrzyła na niego spod oka.
  - Ty tu dowodzisz, bracie? - zapytała z ciekawością.
  - Jesteś tym zaskoczona, pani? No tak. Pewnie twoim zdaniem nad duszą księcia powinien czuwać co najmniej arcybiskup, a nie zwykły zakonnik z niewielkiego klasztoru. - W jego głosie niespodziewanie zabrzmiała gorycz.
    - Tuszę, że to dla ciebie zaszczyt.
- Brat Matthew rzucił na nią przeciągłe spojrzenie i jego twarz pojaśniała anielskim uśmiechem.
  - Chętnie bym się bez tego obył - powiedział i znów wyciągnął rękę.
- Elizabeth była jednak lepszym jeźdźcem, niż to się zdawało. Klacz nagle skoczyła w bok, jakby niechący szarpnięta dłonią niewprawnej nowic-juszki. Byle dalej od rąk zakonnika i jego zwodniczych uśmiechów.
- W tej samej chwili Elizabeth spostrzegła, że oddział się

zatrzymał. Zbrojni zsiadali z koni. A zatem księżę wreszcie dał czas na krótki odpoczynek. Widocznie przyznał sam przed sobą, że też jest człowiekiem.

Nie miała zydła, żeby zejść na ziemię. Wprawdzie była dość zręczna, by zeskoczyć z siodła, ale tym razem nie siedziała na chudej i niskiej Melange. Co gorsza, bała się, że zdrętwiałe nogi odmówią jej posłuszeństwa już przy pierwszym kroku. Postanowiła zatem dalej podziwiać świat z wysokości końskiego grzbietu.

A może brat Matthew będzie chętny do pomocy? - przemknęło jej przez głowę. Obejrzała się, ale zakonnik zniknął bez słowa. W zamian podjechał ktoś inny - wysoki, barczysty i niepokojąco groźny.

Tak, groźny, powtórzyła w duchu Elizabeth. Księżę William stanowił zagrożenie dla każdej niewiasty. Nie mogła tego zmienić ani obecna podróż, ani nawet poranne wizyty w kaplicy. Wystarczyło spojrzeć w jego oczy.

Obok księcia zjawił się brat Adrian. William z gracją zsunął się z wierzchowca i oddał wodze w ręce młodego zakonnika. Podszedł do Elizabeth. Klacz cofnęła się z lękiem, jakby wyczuwając nerwowość swej pani.

Księżę wyciągnął dłoń i delikatnym ruchem pogładził zwierzę po szyi. To wystarczyło, żeby koń natychmiast się uspokoił, lecz Elizabeth z rosnącym przerażeniem patrzyła na Williama. Czary... Na pewno był wysłannikiem diabła. Wierzyła, że zwierzęta instynktownie czują obecność złych ludzi. Skoro William oszukał klacz, to znaczy, że potrafi zrobić jeszcze gorsze rzeczy.

- Pora trochę odpocząć, lady Elizabeth - powiedział. - Zesztywniejesz, pani, od zbyt długiej jazdy.

Trochę na to za późno, pomyślała

- Nic mi nie jest, dziękuję - odparła. - Wasza Wysokość - dodała pospiesznie.

Stał tak blisko, że jej suknia muskała krawędź jego płaszcza.

Nawet przez ubranie czuła ciepło bijące od rozgrzanego ciała. Chyba powinna zyskać nieco pewności, patrząc na niego z wysokiego siodła. Nic z tego.

- Zsiądź, Elizabeth. - Zabrzmiało to jak rozkaz. W okolicy nie było nikogo, oprócz brata

Adriana, który czynił rozpaczliwe wysiłki, aby udawać, że nic nie słyszy z ich rozmowy.

Elizabeth nie mogła zsiąść, bo by upadła. Zastanawiała się, czy zwykle „nie” załatwi tę sprawę. Raczej wątpliwe.

- Nie chcę.

- Zsiadaj!

- Nie mogę! - zawołała w końcu. - Jeśli spróbuję zejść z tej przeklętej szkapy, to upadnę na twarz, a później żadna siła nie zmusi mnie do tego, żeby wsiąść z powrotem! Lepiej zostanę w siodle, aż staniemy na noc... - Urwała z cichym jękiem, bo w tej samej chwili William chwycił ją w talii, bez wysiłku uniósł i postawił na ziemi.

Zupełnie nie czuła nóg. Na szczęście księżę przytrzymał ją silnym ramieniem. Stali tak, aż wreszcie Elizabeth zaczęła powoli wracać do siebie. Opanowała dygotanie kolan, ale wciąż drżała na całym ciele.

- To nie jest przeklęta szkapa, tylko wspaniała klacz. Oboje o tym dobrze wiemy, pani - łagodnym tonem powiedział William, jakby próbował ją uspokoić.

- Już możesz mnie puścić, panie.

- Nie chcę.

Elizabeth nie była pewna, czy dobrze usłyszała, bo William opuścił ręce i cofnął się o pół kroku. Wzięła kasztankę za uzdę i pogłaskała po szyi. To miały być takie małe przeprosiny. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że dokładnie powtarza wcześniejsze ruchy Williama. Szybko cofnęła dłoń.

- Nie, to nie szkapa - przyznała z pełnym przekonaniem. - Tylko... po prostu nie przywykłam do tak długiej jazdy.

- Właśnie. - Książę ruchem głowy wskazał pobliskie drzewa. - Możesz iść tam.

- Po co?

- Żeby się załatwić - odrzekł bez ogródek. - Nie sądzę, żebyś panowała nad swoim ciałem tak dobrze jak nad zamkową służbą. Wątpię też, abyś chciała dołączyć do mężczyzn.

Elizabeth zaczerwieniła się po same uszy. Teraz, kiedy William wyraźnie to powiedział, poczuła, że naprawdę powinna iść na stronę.

- O tych sprawach należy mówić nieco delikatniej - burknęła, lecz w porę przypomniała sobie, żeby dodać „Wasza Wysokość” dużo potulniejszym tonem.

- Sama także nie grzeszysz zbyt dużą delikatnością, lady Elizabeth - zauważył książę. Zabrał z jej dłoni wodze. - Idź już.

Niestety, przeceniła siły. Póki stała spokojnie, wszystko było w porządku, ale po pierwszym kroku kolana się pod nią ugięły i poczuła, że pada.

Niemal w tej samej chwili William podtrzymał ją pod ramię.

Znow był tak blisko, za blisko - zupełnie jak minionej nocy.

- Błagam o wybaczenie - powiedziała bez tchu. - Zaraz dojdę do siebie.

- Chcesz, abym cię tam zaniósł?

- Nie! - Sama myśl o tym, że czarny książę miałby ją zanieść na rękach gdzieś pomiędzy drzewa napawała ją przerażeniem. - Już w porządku. - Na dowód, że mówi prawdę, uwolniła się z jego objęć i dała krok przed siebie.

Tym razem nawet się nie zachwiała. Z udawanym uśmiechem weszła między drzewa. Dopiero gdy była pewna, że nikt już jej nie widzi, zachwiała się i z głuchym jękiem upadła za rozłożystym krzewem.

Zapragnęła ciasno zwinąć się w kłębek i przeleżeć tak do wieczoru. Jednak wiedziała, że to niemożliwe. Gdyby została w lesie trochę dłużej, zbrojni na pewno poszliby jej szukać. Albo



nawet sam księżę... Nie wiadomo, co gorsze. Nie miała wyboru. Pocieszała się myślą, że ponad połowa dnia już dawno za nimi. Musiała więc wytrzymać jeszcze odrobinę, byle do noclegu.

Kiedy wyszła z za drzew, oddział siedział na koniach. Wszyscy: rycerze i mnisi. Obserwowali ją, gdy wolno wkroczyła na polanę. Wyprostowała się i podeszła do klaczy. Jak mam wsiąść? - zadała sobie w duchu pytanie. Księżę William dosiadał już swego rumaka i przypatrywał jej się z zainteresowaniem. Elizabeth mocno zacisnęła usta. Teraz też nie zapłaczę, postanowiła. Gdybym tylko zdołała wsunąć nogę w strzemię i potem podciągnąć się na łęku siodła...

- Podaj mi rękę - rozległ się stanowczy głos Williama.

Księżę podjechał bliżej. Co prawda, Elizabeth zupełnie nie wiedziała, jak zamierzał jej pomóc, ale posłusznie wyciągnęła rękę. To był błąd. William uniósł ją bez większego trudu i posadził przed sobą.

Rumak niespokojnie zatańczył w miejscu, czując na grzbiecie dodatkowy ciężar, ale księżę był wyśmienitym jeźdźcem i szybko ściągnął wodze. Nawet na chwilę nie stracił panowania nad wierzchowcem.

Elizabeth miała ochotę krzyczeć. Zanim jednak zdążyła otworzyć usta, by zaprotestować, William wbił ostrogi w boki konia i ruszyli w drogę. Oddział popędził za nimi. Tętent kopyt głuszył wszelkie inne dźwięki.

## ROZDZIAŁ TRZECI

---

Niedobrze, pomyślał Adrian. Nisko opuścił głowę, żeby nikt przypadkiem nie zauważył jego rozterki. Niewiele było tego, czemu dawał wiarę w tym trudnym i straszliwie chaotycznym życiu, ale głęboko wierzył w siłę i szczerść powołania brata Petera. Co prawda, nie znał wszystkich szczegółów z przeszłości, lecz słyszał, że Peter miał swoje powody, by wstąpić do klasztoru. W takim razie... dlaczego teraz ryzykował?

Teoretycznie plan Petera był prosty. Książę William miał wielu wrogów, wśród nich potężnego barona Neville'a z Harcourt, który szeroko słynął ze zbrojnej drużyny. Córka Neville'a, jedynaczka, wyzionęła ducha na rękach Williama. Król wprawdzie uczynił wszystko, żeby zatuszować skandal - i brutalność syna - ale w ostatecznym rezultacie William musiał ponieść konsekwencje. Dostyc łagodny wyrok - pielgrzymka pokutna, szczodre dary na rzecz klasztoru Świętej Anny i swobodny powrót do dawnej rozpusty - nie przypadły do gustu staremu baronowi. Potrzeba było czegoś więcej niż silnej eskorty, żeby książę bezpiecznie dotarł do klasztoru. Na szczęście w grupie mnichów z klasztoru Świętego Andrzeja znalazł się dobry strateg. Dobry? Ba, najlepszy!

Najważniejsze, to stanąć w miejscu przeznaczenia. Tam książę William zostanie oczyszczony z grzechów i nikt, nawet zrozpaczony ojciec, nie będzie aż tak głupi, aby zabić człowieka w stanie bożej łaski i w ten sposób wysłać go w szybką drogę do nieba.

Nie, Neville pewnie zaczeka, aż William znów zgrzeszy. Wystarczy zaledwie trochę cierpliwości. Tymczasem król zdejmie z zakonników brzemień opieki nad synem. Nieważne, co się stanie potem. Jeśli Williama spotka smutny koniec, to sam sobie będzie

winien.

Oj, dostałbym po uszach od brata Petera za taki brak miłosierdzia! - pomyślał Adrian. Nawet najgorszy grzesznik zasłużył na zbawienie. Kłopot w tym, że William już dawno zaprzedał duszę diabłu i nie pomogą mu żadne modlitwy.

Adrian spojrział na wysoką postać, jadącą na czele kawalkady. Brat Peter wioził przed sobą na siodle białogłową. W orszaku nikt nie zwracał na to najmniejszej uwagi, ale Adrian, który o wiele lepiej znał przyjaciela, dobrze wiedział, co teraz działo się w jego duszy.

Popatrzył na innych mnichów. Zdążali zwartą grupą, z wyjątkiem brata Matthew. Zdaniem Adriana nawet dobrze grał swoją rolę. Każdego by oszukał tym potulnym spojrzeniem i niewinnym uśmiechem. Nic dziwnego, że tak długo wymykał się sprawiedliwości. Wystarczyło, że ze skruszoną miną stanął przed swoim ojcem, królem Anglii, aby wszystkie grzeszki zostały mu wybaczone.

Lecz nie tym razem. Jeżeli naprawdę miał dożyć końca pokuty za dawne zbrodnie, to musiał podróżować incognito, w habitie zwykłego mnicha, pod opieką braci z zakonu o najbardziej surowej regule w całej Anglii.

Z przodu jechał wysoki i krzepki brat Peter. Ruchomy cel dla wszystkich wynajętych złoczyńców, czyhających na życie księcia.

To właśnie był plan Petera. Opat wyraził zgodę, bo rozumiał konieczność takiego działania, chociaż nie chciał narażać żadnego z zakonników. Brat Peter, zanim wstąpił do klasztoru, był rycerzem, zahartowanym w bojach, uczestnikiem świętej krucjaty. Wysoki i silny, w otwartej potyczce łatwo mógł stawić czoło kilku przeciwnikom.

W obecności Petera nawet podstępny bękart pokroju księcia Williama mógł spokojnie myśleć o kolejnych grzechach. Może nawet o nowej zbrodni. Ta świadomość na pewno legła wielkim ciężarem na duszy zakonnika.

Ofiarą nie będzie długonoga córka barona Osberta, pocieszał się Adrian. Peter na pewno zadba o jej bezpieczeństwo. Przecież kiedyś ślubował, że do końca życia będzie bronił niewinnych. Jedyne, co budziło niepokój Adriana, to sposób, w jaki Peter czasami spoglądał na wysoką i chudą dziewczynę.

Mówią, że rude włosy są oznaką diabła. Adrian jednak nie wierzył w tak głupie przesady. Kiedy jednak spod oka patrzył na Elizabeth, nie mógł się nadziwić, jak taka brzydula potrafiła zainteresować sobą zatwardziałego mnicha. Przecież brat Peter nie zwracał najmniejszej uwagi na dużo piękniejsze damy, które spotykali.

Zawsze był tajemniczy.

Najważniejsze, że nigdy nie zdradził swych ślubów. Mimo tych wszystkich spojrzeń, rzucanych ukradkiem, zamierzał ją nietkniętą dowieźć do klasztoru. Wszak była przyrzeczona Bogu. Książę William po dyspensie wróci do grzesznego życia. Peter, Adrian i pozostali mnisi, zwolnieni z trudnych obowiązków, zamkną się za murami klasztoru Świętego Andrzeja, z dala od wszelkich pokus szerokiego świata.

Jedynie kilka mil pozostało do domu Thomasa z Wakebryght. Jeden dzień drogi bliżej klasztoru Świętej Anny. Da Bóg, bezpiecznie dotrą do celu podróży.

Z tej odległości Adrian nie widział lady Elizabeth, zasłoniętej barczystą sylwetką Petera. Czasami tylko mignął rąbek sukni lub rudy kosmyk. Wszystko będzie dobrze, powtarzał w duchu.

Mimo to trawił go niepokój.

Elizabeth spała. Nawet nie przypuszczała, że jest do tego zdolna. Wprawdzie wierzchowiec księcia biegł równym, jednostajnym krokiem, ale siodło to przecież nie miejsce do spania. Niespodziewanie poczuła się bezpieczna. Plecami dotykała szerokiej męskiej piersi, ciepły oddech muskał jej włosy, silne ramiona zamykały ją w opiekuńczym uścisku.

Obudziła się tuż po zmierzchu, sztywna i obolała. Drgnęła

gwałtownie i otworzyła oczy. Koń szarpnął się, przestraszony jej nagłym ruchem. Silna dłoń i kojący pomruk uspokoiły spłoszone zwierzę. Elizabeth przypomniała sobie, kto jest przy niej. Czarny książę, upadły anioł, wcielenie samego diabła.

- Siedź spokojnie - powiedział i Elizabeth natychmiast przestała się wiercić. Najbardziej bała się, że spadnie z pędzącego konia.

- Gdzie jesteśmy? - spytała niemal bez tchu. Jeszcze na dobre się nie przebudziła.

- Gdzie jesteśmy, Wasza Wysokość - od niechcienia poprawił ją książę William.

- Wasza Wysokość - powtórzyła, lecz w myślach dodała: wasza upiorna wysokość, z dna piekła rodem.

- Dojeżdżamy do miejsca, w którym znajdziemy nocleg. Od jutra będziemy sypiać pod gołym niebem, ale tę noc spędzisz w wygodnym łóżku. Spodziewam się, że wypoczniesz.

- A kto powiedział, że się zmęczyłam... Wasza Wysokość? - dokończyła szybko, żeby zatrzeć niemiłe wrażenie wywołane pytaniem. Łatwo mogła obrazić księcia, a przecież już raz zabił...

- Podejrzewam, że ledwie trzymasz się na nogach. Chyba ktoś będzie musiał zanieść cię do łóżka. - W głosie Williama brzmiało wyraźne rozbawienie.

Elizabeth rozżłościła się nie na żarty.

- Na pewno nie ty! - zawołała bez namysłu. Chyba się uśmiechnął. Nie mogła się odwrócić, żeby na niego spojrzeć. Zresztą niewiele było widać w szybko zapadającym zmroku.

- Nie - odparł. - Od takich rzeczy mam służących.

Obruszyła się.

- Skoro tak, to dlaczego siedzę na twoim koniu, panie? Czy nie powinnam raczej jechać między pachołkami?

- Nie jesteś pszczołką, lady Elizabeth. Tylko mój wierzchowiec uniesie podwójny ciężar. A poza tym próbuję być dla ciebie dobry. To część mojej pokuty.

Tym razem powstrzymała się od ciętej odpowiedzi. Książę

William był dla niej nie lada zagadką. Bez wątpienia umiał być groźny, a przy tym wcale nie wyglądał na zabójcę. Jego dotychczasowe zachowanie przeczyło ciężającej na nim opinii. Jednak pozory często mylą. Elizabeth postanowiła zatem trochę powściągnąć niewyparzony język i nie drażnić jego książęcej mości. Chciała bezpiecznie dotrzeć do klasztoru Świętej Anny.

Kiedy wyrwała się z więzienia, jakim był dla niej zamek Bredon, zachłysnęła się wolnością. Nie pomyślała, że na dobrą sprawę bardzo niewiele się zmieniło. Lepiej dalej udawać głupią i potulną, uznała.

- Tak, Wasza Wysokość - powiedziała lekko zalęknionym tonem, którego zawsze używała w rozmowach z ojcem. - Wkrótce z bożej łaski otrzymasz pełne rozgrzeszenie i będziesz pędził spokojny i uczciwy żywot.

William parsknął urywanym śmiechem.

- Tak sądzisz?

- A czyż może być inaczej, książę? Wiem o tym od ojca. Dobra córka wierzy w mądrość rodziców.

William uczynił coś, czego się nie spodziewała. Przerzucił wodze do jednej ręki, a drugą ujął ją pod brodę i zmusił, żeby nań spojrzała. W oczach Elizabeth zamigotały iskierki gniewu, ale w ciemnościach uszło to uwagi księcia.

- Twierdzisz, że jesteś aż tak dobrą córką, lady Elizabeth? - zapytał jakby od niechcena. - Świetną gospodynią i posłusznym dzieckiem, w dodatku obdarzonym zdolnością leczenia. Dobrze znasz się na ziołach i niewiele mówisz. W sam raz nadajesz się do klasztoru o tak ostrym rygorze.

- Oстрыm rygorze? - powtórzyła jak echo, z głową wciąż odwróconą w jego stronę.

- To nie wiesz, że u Świętej Anny obowiązują śluby milczenia? Że zakonnice większość dnia spędzają na modlitwach i medytacjach? Rzadko tam się zdarzy, żeby ktoś przemówił do ciebie inaczej niż po łacinie. Wygadaj się więc zawczasu.



Elizabeth szarpnęła głową. William opuścił rękę. Prawdę mówiąc, dotyk jego palców był nie mniej drażliwy niż ostatnie słowa. Jak to „śluby milczenia”? Jak to „po łacinie”? Chyba zwariuję, pomyślała.

Rzecz jasna baron Osbert nie zająknął się ani słowem na ten temat. Gdyby miał trochę oleju w głowie, to zaczęłaby go podejrzewać, że zrobił to specjalnie. Ale ojciec był za głupi nawet na taki podstęp. Poza tym w jego obecności Elizabeth prawie się nie odzywała, miał więc prawo sądzić, że śluby milczenia nie będą dla niej czymś bardzo uciążliwym. Zawsze wszystkich uciszał, z wyjątkiem samego siebie.

Bez względu na pokusę, używała ziół i naparów wyłącznie w zbożnym celu. Studząc zapędy ojca, ocaliła od hańby kilka służebnych panien. Po prawdzie, choć trudno w to uwierzyć, nie wszystkie chciały, żeby je ratować. Trucizny nigdy by nie sporządziła. To przecież grzech, który na zawsze splamiłby jej duszę. Nie usunęłaby go najcięższa pokuta.

Trudno... Trzeba brać od życia to, co nam daje. Elizabeth zupełnie poważnie zamierzała w jak najszybszym czasie zostać przeoryszą. Inteligencja, spryt i nabyta wiedza na pewno mogły jej się przydać w urzeczywistnieniu tych ambitnych planów. Znajdę jakiś sposób, aby ominąć surową regułę klasztoru, postanowiła. W ostateczności zacznę mówić do siebie, gdy będę sama w swojej celi.

- Niewiele mam do powiedzenia, książę Williamie - powiedziała cicho ugodowym tonem, jakby zwracała się do ojca.

Książę burknął coś pod nosem, co zabrzmiało jak „akurat”, lecz równie dobrze mogła się przesłyszeć. Zerwał się chłodny wiatr, który w lot przegnał resztki ciepłego wiosennego dnia. Przed nimi majaczyły złowieszczo znajome mury niewielkiego zamku.

To niemożliwe. Przecież do Thomasa z Wakebryght jechało się w zupełnie inną stronę niż do klasztoru Świętej Anny. W ten sposób nadłożyli co najmniej dzień drogi. Nie, to nie miało

najmniejszego sensu. Wiele zamków wygląda tak samo, pomyślała Elizabeth. Mury i strażnice, dla odstraszenia banitów, grasujących po lasach. A w dodatku po zmierzchu nie widać szczegółów. W Wakebryght była tylko raz, w dniu niedoszłego ślubu. To dopełniło czary goryczy. Przyrzekła sobie, że nigdy tam nie wróci.

- Powinnaś dobrze znać to miejsce - powiedział książę, nie wiedząc, co się w tej chwili działo w duszy Elizabeth. - W końcu jesteście sąsiadami. To zamek Wakebryght.

- Nie! - zawołała bezwiednie, zanim zdołała się powstrzymać. Na Williamie nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

- Nie? - spytał jak echo. - Ależ zapewniam cię, że tak.

- Zamek Wakebryght leży w inną stronę niż sanktuarium Świętej Anny.

- W rzeczy samej. To taki mały podstęp względem tych, którzy mogą czyhać na życie umiłowanego królewskiego syna. — W jego głosie pobrzmiwała nuta goryczy. - Nikomu nie wpadnie do głowy, że zawróciliśmy. To cię wprawia w konfuzję, lady Elizabeth? Zupełnie niepotrzebnie. Cóż bowiem znaczy jeden dzień w porównaniu z latami, które masz przed sobą? Z ciszą klasztoru... Zwłaszcza z ciszą.

- Nie pójdę tam.

Nie wydawał się zdziwiony jej odmową.

- Od początku powątpiewałem w twoje powołanie, ale nie mnie przecież kwestionować słowa twego ojca. Podejrzewam, że będziesz niemałym utrapieniem dla dobrej przeoryszy z klasztoru Świętej Anny.

- Nie o to chodzi - sprostowała Elizabeth. - Nie wejdę do Wakebryght. Prędzej umrę.

- Moja droga lady Elizabeth, obawiam się, że w tym przypadku wybór nie należy do ciebie. Jesteśmy na miejscu.

Rzeczywiście dotarli już do głównej bramy, gdzie zgromadził się mały komitet powitalny. Elizabeth dostrzegła w grupie twarz

czarownicy, matki Thomasa, lady Isobel. Zareagowała odruchowo, bez namysłu i natychmiast. Próbowwała zeskoczyć z konia.

Księżę tego się nie spodziewał, ale okazał się jeszcze szybszy. Elizabeth zobaczyła przed sobą twardą ziemię, lecz chwilę później coś ją szarpnęło w górę. Ze zduszonym jękiem opadła na siodło. William przycisnął ją do siebie z taką siłą, że ledwie mogła oddychać.

- Oj, niemądrze, milady - rzekł jej wprost do ucha. - Samobójstwo to grzech śmiertelny. Skąd ta nagła ucieczka? Boisz się gospodarza? Zaręczam ci, że bez powodu. Gdy wczorajszego ranka stąd odjeżdżaliśmy, jego żona właśnie leżała w połogu. Zaczyna Thomas albo jest przy niej, albo pije na cześć potomka. Ciągłe chodził jak ogłupiały.

Wiedziała o tym.

- Nie chcę tam iść - szepnęła. - Błagam... Wolę nocować w lesie. I nie musisz, łaskawy księżę, zostawiać przy mnie ludzi do obrony. Na pewno nic mi się nie stanie.

Nie zrozumiała, dlaczego nagle się roześmiał.

- Tę noc spędzisz pod dachem Thomasa z Wakebryght, milady. Jeśli będziesz się ze mną dalej kłócić, przywiążę cię do mojego łóżka.

Niezbyt przyjemna perspektywa. Chociaż jeżeli Thomas uzna ją za nałożnicę księcia, to może pożałuje poprzedniej decyzji.

Raczej nie. Jako dzieci bawili się bez przerwy razem. Zaręczeni jeszcze w kołysce, przez szczenięce lata byli dobrymi przyjaciółmi. Ale kiedy czternastoletnia Elizabeth przyjechała na ślub do Wakebryght, Thomas zadarł głowę, popatrzył w jej zielone oczy i najzwyczajniej w świecie odmówił.

Ślubne podarki zostały zwrócone. Niedoszła oblubienica niewygodnym wozem wróciła do zamku Bredon, kryjąc zawstydzoną twarz za grubym welonem. Thomas z Wakebryght poślubił drobną, piersiastą, jasnowłosą kuzynkę Margery.

Zły los znów przywiódł Elizabeth w jego progi.

- Wolałabym iść na pożarcie smokom - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- Przykro mi, żaden z nich nie gnieździ się w pobliżu. Dlaczego tak się boisz imć Thomasa? Złamał ci serce?

Elizabeth wyprostowała się w milczeniu. Nie musiała nic mówić. William i tak zrozumiał. Zapomniała, że był piekielnie bystry.

- Och - mruknął i pokiwał głową. - To przecież bez znaczenia. Pewnie nawet nie zauważy, że gości cię u siebie. Poród zapowiadał się wyjątkowo ciężko. Thomas się martwi, cieszy lub rozpacza. W każdym przypadku jest zbyt zajęty, żeby poświęcić ci uwagę.

- Łaska boska - szepnęła.

- Jeśli rozpacza, bo jest w żałobie, będziesz miała pole do popisu. Po prostu zajmiesz miejsce jego żony. Trudno o lepsze zakończenie.

Elizabeth ostro spojrzała na księcia, ale po ciemku widziała tylko niewyraźny zarys jego barczystej postaci.

- Bzdura, panie - powiedziała dobitnym głosem. - Nie zwykłam czerpać własnych korzyści kosztem nieszczęścia innych.

Nie odpowiedział. Skierował konia na jasno oświetlony dziedziniec.

Pod jednym względem miał na pewno rację - nigdzie nie było widać Thomasa z Wakebryght. Z całej rodziny tylko oschła matka i stryj Owen wyszli im na powitanie. Lady Isobel wykrzywiła usta w uśmiechu. Był to naprawdę niecodzienny widok. Bez wątpienia od razu spostrzegła Elizabeth, uwięzioną w uścisku Williama. Popatrzyła na nią zupełnie obojętnie i przeniósła spojrzenie na księcia.

- To wielki zaszczyt móc cię gościć ponownie, Wasza Wysokość - zabrzmiał jak zwykle chłodny głos lady Isobel. - Nie wiedzieliśmy, że tak szybko spotka nas znów honor znalezienia się w twoim towarzystwie. Wybacz, że nie ma tu mojego syna. Jego żona wciąż cierpi. Dałam mu jednak znać, żeby dołączył do nas

przy wieczerzy.

- Niepotrzebnie. Młodzi ojcowie są niesamowicie nudni. -  
Książę z gracją zeskoczył z siodła i wyciągnął ręce do Elizabeth.  
Zawahała się przez moment. Gdyby chwyciła wodze i wbiła pięty  
w boki konia, mogłaby jednym susem dopaść bramy i zniknąć w  
ciemnościach nocy. Byle dalej od tego przeklętego miejsca.

Jednak nie była pewna, czy zdołałaby zapanować nad  
potężnym rumakiem. Przecież równie dobrze mógł, ogarnięty  
strachem, popędzić w głąb dziedzińca. I co wtedy? Kolejne  
poniżenie.

Nie miała czasu, by dokończyć myśl. Książę ujął ją w pasie i  
zszedł na ziemię. Spódnica zafurkotała jej w nieprzystojny  
sposób. William stał tuż obok i jedną ręką wciąż obejmował  
Elizabeth. Była mu za to wdzięczna, bo nogi miała jak z waty.

- O ile mi wiadomo, doskonale znacie lady Elizabeth z Bredon -  
gładko powiedział książę.

Lady Isobel spojrzała na nią, jakby zobaczyła węża.

- Oczywiście - mruknęła. - Witam w Wakebryght.

Popatrzyła znów na Williama.

- Obawiam się, że dzisiejszy nastrój będzie daleki od wesołości,  
panie. Jutro opuścisz dom żałoby. Wszystko wskazuje na to, że  
lady Margery nie przetrzyma dzisiejszej nocy.

- A dziecko? - zapytała Elizabeth.

- Dziecko umrze wraz z nią - padła odpowiedź. - Nic się nie da  
zrobić.

Lady Margery skona w połogu, a Thomas znajdzie pocieszenie  
u boku Elizabeth. Lady Isobel im pobłogosławi i będą żyli długo i  
szczęśliwie. Tak jak zaplanowano kiedyś. Wystarczy tylko milczeć.

Elizabeth czuła na sobie wzrok księcia. Miała niemiłe uczucie, że  
znał jej najtajniejsze myśli. Uniosła głowę i śmiało popatrzyła w  
ciemne i nieprzyjazne oczy lady Isobel.

- Jestem dobrą położną - powiedziała. - Już wiele razy  
pomagałam różnym kobietom z Bredon. Zabierzcie mnie do lady

Margery. Chcę ją zobaczyć.

To był raczej rozkaz niż prośba, ale lady Isobel zrobiła taką minę, jakby chciała odmówić. W tej samej chwili rozległ się głos księcia.

- Zaprowadźcie ją do tej biedaczki - rzekł William. - Mam już dość rozmów na dziedzińcu.

Bezceremonialnie popchnął Elizabeth w plecy.

Peter patrzył za lady Elizabeth znikającą w posępnych korytarzach zamku Wakebryght. Rude włosy spływały jej kaskadą na smukłe ramiona. Szła spokojnie jak żołnierz kroczący na bitwę. Nie wiedziała, czy wygra, lecz musiała spróbować. Musiała podjąć tę walkę.

Wiedział o tym, bo sam nieraz bywał w podobnej sytuacji, uwięziony gdzieś w samym środku krwawej wojny o dalekie ziemie, które i bez tego w swej historii widziały wiele ludzkich nieszczęść. Nigdy nie był pewien, o co naprawdę walczy. Liche skarby, które zdobył mieczem pod palącym słońcem pustyni, wydawały się niczym, jeśli je wycenić miarą ludzkiego życia i śmiercią niewinnych.

To była Ziemia Święta - ale święta dla wszystkich, bez względu na wiarę. Wątpliwe, żeby jego Bóg zechciał ją siłą wyrwać tym ludziom, którzy modlili się do innego.

Wiedział, że Elizabeth będzie walczyć za matkę i jej nienarodzone dziecko z tą samą siłą, z jaką on walczył za Ziemię Świętą. I że z tej walki nie wyniesie skrwawionego miecza.

Prawdziwy książę przyglądał mu się z lekkim uśmiechem na ustach. Zdawałoby się, że czytał w myślach Petera. To był naprawdę niebezpieczny człowiek, który zbyt długo chadzał własnymi drogami. Tak, tak... William Fitzroy - podstępny i zimny zabójca. Najlepiej czuł się podczas krucjaty - lubił zabijać. Po powrocie życie w Anglii wydawało mu się straszliwie nudne. Już nie miał pogan, zwrócił się zatem w stronę zupełnie innych przyjemności. Cało wychodził z każdej opresji. Jego uwodzicielski



uśmiech sprawiał, że niewiasty zapominały, że potrafił być bardzo brutalny. On zaś znał ludzką naturę w takim stopniu, że na ogół umiał dopiąć swego.

Peter musiał podwoić czujność, jeżeli chciał uchronić Elizabeth. Owszem, William szukał towarzystwa tylko najpiękniejszych kobiet, ale to wcale nie oznaczało, że Elizabeth z Bredon jest zupełnie bezpieczna. Cóż z tego, że nie była delikatnym kwiatem? Jej wewnętrzna siła stanowiła wyzwanie dla ludzi pokroju Williama.

Adrian patrzył na brata Petera z zakłopotaną miną. Na swój sposób był nie mniej głupi od Williama. Także znał się na ludziach i wyczuwał nieoczekiwaną słabość Petera.

Ostatecznie nie było w tym wielkiej różnicy. Peter musiał osłaniać Elizabeth, a jeśli jej obecność budziła w nim od dawna uśpione pragnienia, mógł to przyjąć jako karę za poprzednie grzechy. Im bardziej jej pożądał, tym bardziej przez to cierpiał, a ból był dla niego drogą do zbawienia.

Ale to także nie miało większego znaczenia. W głębi duszy brat Peter uparcie podejrzewał, że w końcu przyjdzie mu zapłacić najwyższą cenę. Bóg go osądzi. Grzech, który rozważał, był o wiele cięższy od tego, którego unikał.

Obawiał się, że będzie musiał zabić księcia Williama. Podciąć mu gardło i pozwolić, aby utonął we własnej posoce.

Dość innych morderstw. Dość śmierci niewinnych. Zbyt wiele jęków umierających kobiet i dzieci leżało ciężkim brzemieniem na duszy Petera. Teraz był gotów na wszystko, by ocalić choć jedno istnienie.

Jednak zamierzał dać Williamowi czas na szczerą pokutę. Przecież zawsze istniała niewielka możliwość, że księżę doświadczy łaski odkupienia. Jak szybko potem rzuci się w wir grzechów?

Peter zabijał już tyle razy, że stracił rachubę zwłok, które padały mu pod nogi. Zabijał możnych i zwykłych chłopów,

starców i dzieci, kobiety, mężczyzn... Na wojnie śmierć była czymś normalnym.

Teraz zamierzał złamać przysięgę i zabić człowieka, którego miał bronić.

I niech Bóg ma w opiece jego biedną duszę.

RS

## ROZDZIAŁ CZWARTY

---

Przez trzy długie lata Elizabeth nie mogła spokojnie myśleć o wybrance Thomasa, czyli Margery z Chester. Miała wobec niej mieszane uczucia. Margery była jej całkowitym przeciwieństwem - drobna, pulchniutka, jasnowłosa, posłuszna, wesoła, o uroczym uśmiechu i rozumku nie większym niż u sroki. Wystarczyło, że Thomas tylko raz na nią spojrział, a zapomniał o obietnicach, honorze i obowiązku.

Elizabeth nie chciała, żeby poślubił ją wbrew swej woli. Ale w dalszym ciągu bolało ją serce, gdy o nim myślała. Teraz wybrała się do położnicy wiedzona wyłącznie chrześcijańskim poczuciem litości i obowiązku. Nie musiała lubić Margery, żeby pomóc jej w tak trudnej i niebezpiecznej sytuacji.

Służba zaprowadziła ją krętym korytarzem do komnaty, w której leżała żona Thomasa. Nie słychać było stamtąd żadnych krzyków. Zły to czy dobry znak? — zastanawiała się Elizabeth. Może Margery przestała krzyczeć, bo ból zelżał i zaczął się właściwy poród?

A może raczej była już za słaba, żeby wydawać z siebie dźwięki? Służący pchnął drzwi na oścież i Elizabeth stanęła w progu, przyglądając się scenie w komnacie. W kominku buzował ogień, a wokół łóżka, na którym złożono Margery, kłębił się tłum rozgadanych kobiet. Nie tylko kobiet, poprawiła się w myślach Elizabeth, widząc też obcego mężczyznę - zapewne medyka - i Thomasa z Wakebryght. W sumie przyszło tu ponad dziesięć osób, przekrzykujących się nawzajem. W komnacie panował upał i czuć było zapach krwi. Mam nadzieję, że się nie spóźniłam, pomyślała Elizabeth.

Tłum nagle rozstał się na boki i zobaczyła leżącą Margery. To już nie była ta sama piękna dziewczyna, którą wybrał Thomas.

Miała wydęty brzuch i opuchniętą, zalaną łzami, bladą twarz. Stopy wystające spod długiej koszuli też wyglądały na mocno spuchnięte. Jasne włosy przylepiały jej się do czoła mokrymi kosmykami.

Dzięki Bogu, nie ma plam krwi na pościeli, zauważyła Elizabeth. Woń brała się zapewne stąd, że medyk puszczał krew położnicy - ale tym tylko mógł pogorszyć sprawę. Biedna dziewczyna i tak była osłabiona, po co więc ją jeszcze męczyć?

- Wynoście się stąd! - rozkazała Elizabeth najbardziej stanowczym tonem, na jaki mogła się zdobyć. - Lady Margery nie ma czym oddychać, a ten hałas nawet najzdrowszego mógłby doprowadzić do szału. Jedna kobieta może zostać. Reszta musi opuścić komnatę.

Thomas popatrzył na nią nieprzytomnym wzrokiem. Pewnie nie spał już drugą dobę. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie poznał Elizabeth.

- Nie odejdę od żony - powiedział krótko i odwrócił się do Margery.

Trzymał ją za rękę i z miłością zmieszaną z przeogromnym strachem patrzył na jej bladą, wymizerowaną twarz. Bał się, że ją utraci, pomyślała Elizabeth. Być może rzeczywiście było już za późno.

Chciała jednak spróbować.

- To robota dla kobiet - zwróciła się do Thomasa tak łagodnie, jakby przemawiała do zrozczonego dziecka. - Margery na pewno nie chce, żebyś ją oglądał w takim stanie.

- Nic mnie to nie obchodzi! Dla mnie jest taka sama piękna jak zawsze! - krzyknął.

Lady Margery wyglądała teraz wyjątkowo marnie, biedna i nieszczęśliwa. Ostatni ślad goryczy zniknął z serca Elizabeth.

- Oczywiście - zgodziła się życzliwie - ale będziesz nam tylko przeszkadzał. Idź, zjedz coś i postaraj się trochę odpocząć. W razie potrzeby pošlemy po ciebie. - Nigdy nie była zręczną

dypłomatką, ale wolała mu nie mówić, jak to się może skończyć.

Thomas przez chwilę siedział bez ruchu. Potem przycisnął do ust bladą dłoń żony. Elizabeth zauważyła na jej palcu wspaniały rubinowy pierścień, który kiedyś przez parę krótkich godzin należał do niej. Thomas ułożył rękę Margery na prześcieradle.

- Uratujesz ją dla mnie, Bethy? - zapytał błagalnym tonem. Tylko on zwracał się do niej w ten sposób. Zwykle ją to drażniło, lecz tym razem po prostu skinęła głową.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, Thomasie. A teraz zabierz stąd tych ludzi i pozwólcie mi pracować w zupełnym spokoju.

- Ja zostanę, milady - oznajmiła stanowczo krępa niewiasta, odziana w spłowiały fartuch. - Opiekowałam się nią od dnia narodzin i teraz też jej nie opuszczę.

- Masz jakieś doświadczenie pod tym względem?

- Urodziłam jedenaścioro własnych dzieci. Wszystkie żyją, a mnie też chyba nic nie dolega. Pomagałam przy dziesiątkach innych. Możesz mi zaufać, pani.

- Berta ma rację - wyważonym głosem odezwała się inna z kobiet. - Jest mądrzejsza od całej reszty razem wziętej.

Elizabeth spojrzała w jej stronę. Wprawdzie widziała ją po raz pierwszy, ale po dostatnim stroju i dostojnym zachowaniu rozpoznała, że to musi być ktoś z rodziny. Była to kobieta nie pierwszej młodości, ale tak piękna, że urodą przyćmiewała nawet dawną lady Margery.

- Niech zostanie - zdecydowała Elizabeth. - I ty, pani, także. Z tego, co widzę, umiesz zachować spokój i rozsądek.

Piękna nieznajoma uśmiechnęła się smutno.

- Jesteś pierwsza, która to powiedziała, lady Elizabeth.

- Nie wiem, czy moja matka będzie zadowolona... - zaczął Thomas, ale Elizabeth przerwała mu w pół zdania. W skrytości ducha czuła satysfakcję, że może mu rozkazywać.

- W tej chwili opinia twojej matki zupełnie się nie liczy. We trzy możemy jeszcze uratować i Margery, i dziecko. Czas nagli.

Wyjdźcie stąd wszyscy. Natychmiast!

Uciekli niczym spłoszone myszy - niektórzy z widoczną ulgą, inni z rozczarowaniem, że ominie ich tak istotny fragment dramatu. Thomas wyszedł ostatni. Z wahaniem zatrzymał się w otwartych drzwiach.

Elizabeth podeszła do niego, położyła mu ręce na ramionach i delikatnie wypchnęła za próg.

- Zrobię wszystko, co tylko można, Thomasie - obiecała. - Idź się pomódl.

- Ocal ją, Bethy - szepnął. - Jeżeli staniesz przed wyborem, czy uratować ją, czy dziecko, myśl tylko o niej. Nie wyobrażam sobie życia bez Margery.

Elizabeth nawet nie mrugnęła okiem.

- Nie dojdzie do takiego wyboru, Thomasie - odparła. - Idź już.

Zamknęła za nim ciężkie drzwi i rozejrzała się po komnacie.

Opustoszały pokój okazał się o wiele większy, niż początkowo przypuszczała. Błada Margery nieruchomo leżała w łóżku, zbyt słaba, żeby płakać z bólu, który trawił jej ciało.

- Uchyl okno - zwróciła się Elizabeth do Berty. Zdjęła płaszcz i zawinęła rękawy sukni. - Trzeba tu wpuścić trochę świeżego powietrza. Gdyby zrobiło się jej zimno, to przykryjemy ją drugą kołdrą.

Podświadomie czekała na słowa protestu, ale Berta w milczeniu podeszła do okna i posłusznie spełniła polecenie.

- Ile to trwa?

- Poród? - spytała dostatnio ubrana dama. - Dwa dni. Dziś rano przestała płakać. Obawiam się, że dziecko już nie żyje.

Elizabeth położyła dłoń na wydatnym brzuchu Margery i poczuła wyraźne ruchy.

- Żyje - odpowiedziała. - Widziałam już gorsze przypadki, które zakończyły się całkiem szczęśliwie.

Może nie wszystkie, dodała w duchu, ale nie chciała mówić tego na głos. Jej mała armia potrzebowała raczej słów otuchy.



- A zatem módlmy się, żeby tym razem twoje czary też poskutkowały.

- To nie czary - odparła Elizabeth. - To wola boża.

- Rzeczywiście. Przecież jesteś w drodze do klasztoru - chłodno powiedziała nieznajoma. - Mam na imię Joanna. Należę do stryja Owena.

- Ożenił się? - mruknęła zaskoczona Elizabeth. Owen z Wakebryght był nieokrzesanym, lubieżnym mężczyzną tuż po pięćdziesiątce, który przez całe życie nie zdradzał zapału do żeniaczki.

- Jestem jego kochanką, lady Elizabeth - spokojnie wyjaśniła Joanna. - Nałożnicą. Zechcesz znaleźć kogoś innego do pomocy?

Elizabeth przyjrzała jej się trochę uważniej. Joanna nosiła nieco zbyt obcisłą suknię. Na jej szyi i rękach migotały klejnoty. Była starannie uczesana, piękna, ale jej niebieskie oczy miały wyraz, którego Elizabeth nie potrafiła rozszyfrować. Zresztą brakowało jej na to czasu.

- Zdejmij pierścionki - poleciła, zsuwając z palców własne, dużo skromniejsze niż Joanny. - Będą nam tylko zawadzały.

Joanna zdjęła ciężkie pierścienie i obojętnym ruchem ukryła je w mieszku wiszącym u pasa, jakby wrzucała tam garść nic niewartych świecidełek.

- Powiedz mi, co mam robić - odezwała się jakby z mniejszą rezerwą. - Lubię lady Margery i bardzo chcę jej pomóc.

Elizabeth spojrzała na nieszczęsną postać, leżącą na łóżku. Wprawdzie Margery odebrała jej dosłownie wszystko, ale nie zrobiła tego z własnej woli. To był wybór Thomasa. Przecież nie podjęłam walki, tylko sromotnie uciekłam do rozgniewanego ojca, pomyślała.

Być może jestem za wysoka, za mądra, za buńczuczna i mam rude diabelskie włosy, ale umiem ratować ludzi. Widziałam pięć umierających matek, które wydały na świat synów. Wiele się w życiu nauczyłam i wiem, co zrobić, aby ocalić położnicę i dziecko.

Tych dwoje także uratuję, choćbym sama miała zejść z tego świata.

To była długa noc, ciągnęła się bez końca, zwłaszcza dla Elizabeth, która wciąż odczuwała skutki zmęczenia konną jazdą. Margery wreszcie ocknęła się z odrętwienia i zaczęła krzyczeć. Trzy pozostałe kobiety pracowały bez wytchnienia z ponurą zaciętością.

- Trzeba ją rozciąć i wyjąć dziecko - powiedziała Berta zdesperowanym tonem. - Jeżeli tego nie zrobimy, to matka i tak umrze, a przynajmniej jedno z nich uratujemy. Zresztą niektóre wytrzymują...

- Bardzo rzadko - wtrąciła Elizabeth. - Zależy mi na obojgu.

- Mówiłaś, że to wola boża, milady - oschle przypomniała jej Berta.

- Wola boża, abyśmy walczyły do końca! - odcięła się Elizabeth. - Nie wolno się poddawać. Jeżeli nie masz już nic więcej do powiedzenia, to możesz odejść.

Berta zapadła w posępne milczenie. Joanna z lekkim rozbawieniem spojrzała na stojącą po drugiej stronie łóżka Elizabeth.

- Sam Bóg ci to podszeptał? - zapytała. Elizabeth była zbyt zmęczona, żeby starannie dobierać słowa.

- Bóg ma na pewno dość rozsądku, żeby w tych sprawach się ze mną zgadzać.

Berta aż się zachłysnęła, słysząc to bluźnierstwo. Joanna wykrzywiła usta w leciutkim uśmiechu.

- Oby tak było, milady. Bóg, którego ja znam, bywa kapryśny i okrutny. Mógłby bez skrupułów zniszczyć jedyne szczęśliwe małżeństwo, jakie widziałam.

Ku własnemu zdumieniu, Elizabeth przyjęła te słowa bez emocji. Nie zabołało jej, że Margery i Thomas rzeczywiście są szczęśliwi. Wręcz przeciwnie, skłoniło ją to do dalszej walki.

W pewnej chwili myślała, że przegrała. Wstawał świt. Pierwsze

promienie blasku wpadły do komnaty przez odsłonięte okna. Elizabeth poruszała się z najwyższym trudem. Dziecko szło buzią do dołu i nóżkami naprzód. Nie znajdowała żadnej możliwości, aby je odwrócić. Ruchy powoli słabły. Lady Margery była u kresu wyczerpania. Życie z niej ulatywało.

- Przyj, Margery! - krzyknęła Elizabeth, lecz położnica tylko pokręciła głową. Otępiła z bólu, nie chciała dalej słuchać.

Joanna mocno trzymała ją za ręce, a Berta za nogi. Próbowaly wydobyć dziecko, ale bez pomocy matki to nie mogło się udać.

Elizabeth podeszła do wezglowia łóżka, nachyliła się i szepnęła Margery wprost do ucha.

- Jeśli nie zaczniesz rodzić, to potem poślubię Thomasa i zmienię jego życie w ustawiczne piekło. Zemszczę się za to, że kiedyś wybrał ciebie.

Margery szeroko otworzyła oczy i popatrzyła na zaciętą twarz Elizabeth. Chyba uwierzyła, bo nagle zebrała resztki sił, uniosła się, wpiła palce w ręce Joanny i zaczęła przeć.

Rozległ się rozdzierający krzyk, niemal tak głośny jak późniejszy o kilka sekund płacz zdrowego dziecka. Lady Margery urodziła wspaniałego chłopca.

Elizabeth rzuciła okiem na noworodka. Energicznie wywijał nóżkami, najwyraźniej wciąż silny mimo długiego porodu. Z bożą łaską, Margery też przeżyje, pomyślała zmęczona Elizabeth. Nie sposób było sprawdzić, czy nie doznała przypadkiem wewnętrznych obrażeń. Pozostawało tylko czekać.

Joanna myła się ze stoickim spokojem, a Berta chuchała na maleńkie dziecko i czyściła je z resztek krwi. Elizabeth zerknęła na młodą matkę i zobaczyła, że lekki rumieniec na powrót zabarwił blade policzki. Spod zamkniętych powiek płynęły łzy - co też było dobrym znakiem - a usta poruszały się w bezgłośnej modlitwie.

Elizabeth pochyliła się, żeby sprawdzić, czy lady Margery przypadkiem nie zamierza polecić swojej duszy Bogu. Jej gruby warkocz przypadkowo musnął twarz położnicy.

Lady Margery natychmiast otworzyła oczy. Były pełne łez, lecz zniknęło z nich widmo śmierci.

- Nie dostaniesz żadnego z nich - szepnęła z gniewem.

Elizabeth roześmiała się, żeby ukryć prawdziwe uczucia.

- Zachowaj sobie Thomasa i syna. Masz moje pełne błogosławieństwo. Pamiętaj tylko, że musisz być silna, aby pozostać dobrą żoną i matką.

Potem wyszła z komnaty, zamknęła za sobą drzwi i oparła się plecami o chłodną kamienną ścianę. Zamknęła oczy. Zmęczenie wzięło nad nią górę.

Za parę godzin znów każą mi wsiąść na konia, pomyślała. A może lepiej skoczyć przez najbliższe okno? Wszystko już lepsze od dnia jazdy... Ani snu, ani odpoczynku...

Korytarz był pusty. Schowam się gdzieś, rzucę na podłogę i pośpię, zanim mnie odnajdą, doszła do wniosku Elizabeth. Teraz wszyscy zapewne kryją się po kątach w oczekiwaniu na tragiczne wieści.

Nadal nie otwierała oczu. Mogła spać na stojąco jak koń, byle tylko nikt jej nie przeszkadzał. Choć kilka minut...

Usłyszała skrzypnięcie drzwi i gwałtownie poderwała głowę. Zobaczyła przed sobą piękną i spokojną twarz Joanny.

- Chodź ze mną - powiedziała metresa. - Musisz się porządnie umyć, a parę godzin snu też ci nie zaszkodzi. Powiem im, żeby ci nie przeszkadzano.

- Komu? Księżciu? Sądzisz, że cię posłucha? Joanna uśmiechnęła się.

- Zwykle nie mam żadnych kłopotów z mężczyznami.

Oczywiście w granicach rozsądku. Wystarczy, że go zajmę czymś w czasie, gdy będziesz spała. Owen na pewno nie zaprotestuje. Dzielił się mną z gorszymi.

- Nie! Nie! - z przerażeniem zawołała Elizabeth. - Wcale nie musisz tego robić.

- Muszę co noc, milady. A twój książę jest całkiem, całkiem...

Byłby przystojny nawet jako zwykły stajenny.

- To nie jest „mój” książę! - poprawiła ją Elizabeth i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że zabrzmiało to co najmniej dziwnie. - Nie powinnaś iść z nim do łóżka. Nie słyszałaś, że potrafi zabić w miłosnym uniesieniu?

- Nieprawda.

- Słucham?

- Był tutaj przed wyjazdem do Bredon. Długo rozmawialiśmy. Owszem, są ludzie, dla których ból kojarzy się z rozkoszą, ale książę na pewno do nich nie należy.

- Tak ci powiedział? A ty mu uwierzyłaś?

- Nic mi o tym nie mówił. Myślisz, że książę zwierzałby się zwyczajnej ladacznicy? Znam się na ludziach, milady, lepiej, niż bym chciała. Książę William zupełnie nie pasuje do tego, co o nim opowiadają.

Elizabeth pokręciła głową.

- To tylko twoje przypuszczenia. Wolałabym nie ryzykować.

- Nie? - W głosie Joanny zabrzmiała nuta niekłamanego zdziwienia. - No cóż... Znam się także na kobietach. Nie patrz w ten sposób na mnie, drogie dziecko. Pomyśl o przyjemniejszych rzeczach. Przypomnij sobie, że przed chwilą wyrwałaś z objęć śmierci lady Margery i jej dziecko.

- To była wola boska... - zaczęła Elizabeth, ale Joanna nie pozwoliła jej dokończyć.

- Obie doskonale wiemy, czego dokonałaś. Masz niezwykły talent i silną osobowość. Zwyciężasz tam, gdzie inni się poddają. Klasztor będzie dla ciebie zbawieniem, milady. Znajdziesz się poza zasięgiem męskich knowań, a zarazem szybko poznasz, jak wykorzystać swoją siłę.

- Ale ja...

- Nie kłóć się ze mną, lady Elizabeth. Musisz odpocząć. Jesteś mądra, lecz ja mam dużo więcej doświadczenia. W tej chwili mnie nie pokonasz. Chodź, najpierw położę cię do łóżka, a potem

powiem Thomasowi, że został szczęśliwym ojcem. Chyba że sama chcesz go o tym powiadomić? Z tego co wiem, macie między sobą jakieś niedokończone sprawy, chociaż akurat na ten temat w zamku Wakebryght mówi się raczej niewiele...

- Bo nie ma o czym mówić. - Elizabeth westchnęła. - Po prawdzie nie chce mi się oglądać Thomasa.

- O, właśnie - zgodziła się z nią Joanna. - Choć Thomas jest ładny i miły w obejściu, to daleko mu do twojego księcia. Nie ganię cię, że wolisz emocje niż spokój.

- Niczego nie wolę! I to nie mój książę! - odrobinę za głośno krzyknęła Elizabeth. Była bliska płaczu.

- Ale lubisz go, prawda? Powtarzam ci: znam się na ludziach i wiem, że dla niego chętnie zrzucisz habit.

Elizabeth zmusiła się do chrapliwego śmiechu.

- Chyba oszalałaś. Nawet nigdy nie widziałaś nas razem.

Joanna otworzyła drzwi głęboko osadzone w kamiennym murze i przepuściła ją przodem.

- Nie musiałam. Wystarczy, że znam jego i ciebie.

Zauważyłam, jak się zachowujesz, kiedy o nim mowa. Z chęcią wskoczyłabyś do łóżka czarnego księcia... - powiedziała.

- Rzeczywiście? - z niekłamanym zainteresowaniem spytał książę William.

Siedział przy kominku w bogato przybranej niewielkiej komnacie. Stryj Thomasa, Owen, stał w pobliżu okna. Był krępy, silny i nosił wzorzystą tunikę, pochłapaną resztkami jedzenia. Spod oka zerknął na obie niewiasty - zwłaszcza na Joannę.

- Fe! - mruknął. - Wyglądacie jak po świniobiciu. Domyślam się, że żona mojego bratanka zeszła z tego świata. Zamierzasz zająć jej miejsce, lady Elizabeth? Zawsze o tym marzyłaś.

Książę William zapewne po raz pierwszy usłyszał o jej dawnych związkach z tutejszym domostwem, ale nie okazał ani krzty zdumienia.

- Nie słyszałeś, co powiedziała twoja metresa, Owen? - zapytał



leniwie i wyciągnął nogi w stronę ognia. - To ja jestem jej wybrankiem.

Elizabeth wcale nie było do śmiechu.

- Lady Margery urodziła zdrowego syna.

- Chwała Bogu - nabożnie mruknął Owen. - Może nareszcie wszystko wróci do normy. Wasza Wysokość pozwoli, że teraz się oddalę, aby przekazać tę radosną wieść pozostałym członkom rodziny.

Książę William odprawił go lekceważącym machnięciem ręki. Owen, gnąc się w pokłonach, tyłem podszedł do drzwi i po chwili zniknął na korytarzu.

- Ogarnij się - rzucił na odchodnym do kochanki. - Nie podobasz mi się w takim stanie. Przyjdę do ciebie zaraz po wyjeździe gości.

Joanna posłusznie skłoniła piękną głowę.

- Jak sobie życzysz, panie. - Ukłoniła się głębiej przed księciem i Elizabeth. - Z Bogiem, milady. Książę Williamie...

Wprawdzie twarz miała spokojną - niemal beznamiętną - ale w jej głosie pobrzmiwała wyraźna przekora.

A potem wyszła. William i Elizabeth pozostali sami w niewielkiej sypialni.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

---

**S**łownie wyglądasz - od niechcienia zauważył księżę. - Jak żołnierz wracający po długiej i krwawej bitwie.  
- I tak też się czuję.

Prawdę mówiąc, Elizabeth ledwo trzymała się na nogach. William leniwie rozpiął się w fotelu, lecz nie poprosił jej, żeby usiadła. W zasadzie powinna stać w jego obecności. A niech tam, pomyślała i zmęczonym ruchem opadła na drewnianą ławę. Czekwała na reakcję księcia.

Uśmiechnął się. Potrafił być irytujący.

- Czujesz się silna i władcza, milady? To krew lady Margery? Mam ci pogratulować?

- Co? - spytała, nie bacząc, że zabrzmiało to głupio. W głowie miała zupełną pustkę.

- Lady Margery zajęła twoje miejsce w Wakebryght, a ciebie odesłała do czułego ojca. Tak słyszałem. Twój wczorajszy przyjazd rozwiązał ludziom języki. Przypomnieli sobie, że kiedyś istniałaś. Po śmierci Margery możesz spokojnie stanąć u boku Thomasa.

- Ludzie zbyt dużo mówią - odparła chłodnym i wyważonym tonem. - Nie wątpię, księżę, że masz inne rozrywki niż słuchanie plotek.

- Niezupełnie. Oprócz pani Joanny nie ma tutaj żadnych pięknych kobiet, a poza tym nie powinnaś chyba zapominać, że odbywam pokutę. To nie sprzyja rozkoszom.

- Ktoś taki jak ty, panie, zawsze znajdzie czas na rozkosze - odrzekła bez namysłu. - Wybacz - dodała szybko.

- Och, nie przepraszaaj - odpowiedział beztrosko. - Z chęcią słucham twoich uszczypliwych uwag. Będzie mi tego brakowało przez resztę podróży.

- Skąd pomysł, że tu zostanę? Lady Margery urodziła zdrowego syna, a sama też jest dość silna i wkrótce wróci do pełnego zdrowia. Nie wątpię, że da Thomasowi jeszcze co najmniej tuzin pięknych dzieci.

- I to cię cieszy?

- Dlaczego nie?

Elizabeth popatrzyła na poplamioną suknię. Nawet nie miała w co się przebrać. Ojciec oznajmił, że na podróż ta jedna jej wystarczy, a w klasztorze dostanie habit. „Po co marnować dobre ubrania?” - spytał. „Lepiej rozdać je służbie”.

- Nie wiem, co ci dokładnie powiedziano, panie - ciągnęła Elizabeth - ale to głównie matka Thomasa była przyczyną mego poniżenia. Nigdy mnie nie lubiła i ochoczo poparła decyzję syna. Wszystko jednak dobrze się skończyło. Lepiej mi będzie w klasztorze.

William parsknął śmiechem.

- Nie widziałem jeszcze niewiasty, która mniej od ciebie nadawałaby się do klasztoru! - zawołał. - No, może poza twoją nową przyjaciółką, panią Joanną. Ale pod jednym względem masz rację. Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Thomas zanudziłby cię na śmierć już po trzech miesiącach. Podejrzewam, że w głębi duszy sama o tym wiedziałaś.

Elizabeth nie próbowała się z nim kłócić. Nikt nie sprzecza się z księciem krwi - nawet z nieprawego łoża.

- Wybrałam zakon - powiedziała. - Nie mam przymiotów pani Joanny, które... - zająknęła się. Gorączkowo szukała odpowiednich słów, bo nie zamierzała źle mówić o kobiecie, która tak jej pomogła. - Nie mam... Pani Joanna jest...

- Joanna jest nałożnicą - dokończył cierpko. - Kobieta, która pół życia spędza, leżąc na plecach. Jest także mądra i przebiegła, choć sama nie chcesz tego przyznać. Macie z sobą wiele wspólnego. Ty też jesteś niegłupia... i bardzo niebezpieczna.

Elizabeth oparła się plecami o kamienną ścianę. Poczowała chłód

przenikający ją do kości przez niezbyt grubą suknię. Była jednak zbyt zmęczona, żeby się poruszyć.

- W tej chwili mam w głowie pustkę - przyznała. - Kiedy ruszamy?

- A kiedy będziesz gotowa?

- To nie ja decyduję o dalszej podróży. Szczerze mówiąc, wyjechałabym stąd jak najprędzej.

Pokiwał głową.

- Musisz się umyć i zdjąć z siebie te szmaty.

- Nie mam innych szmat, żeby się przebrać, księżę - odparła.

- Na pewno coś się znajdzie. Nie zamierzam jechać przez las z niewiastą, od której czuć krwią i noworodkiem. To mogłoby zwabić dziki. I bez tego czeka nas jeszcze dość kłopotów.

- A gdybym tak... - Urwała nagle, przerażona własną myślą. To ze zmęczenia...

- Gdybyś tak miała miesięczkę? - spytał bez ogródek, niemal obojętnym tonem. - Na to też można coś poradzić. Chyba się zaczerwieniłaś, lady Elizabeth. Dziwne... Wydajesz się rzeczowa i praktyczna, a tu nagle nabierasz wody w usta. Przecież to tylko jedna z normalnych życiowych funkcji.

- Ale nie muszę o tym mówić! - zawołała. - Zwłaszcza z mężczyznami. Nie jestem... To znaczy nie mam...

- Tak łatwo się denerwujesz, jakbyś jednak miała. Wiem więcej o kobietach, niż możesz się spodziewać. Zawsze odczuwałem pociąg do medycyny.

Elizabeth zamknęła oczy i usadowiła się wygodniej.

- W to akurat nie wątpię, że dobrze znasz kobiecą anatomię, miłościwy panie. Trudniej mi uwierzyć w zapędy medyczne.

- Zarzucasz księciu kłamstwo? - spytał tak groźnym tonem, że Elizabeth spojrzała na niego z przestrawieniem. Była przekonana, że tym razem posunęła się jednak za daleko. Ojciec kazałby ją wychłostać już za połowę tego, co powiedziała w obecności Williama.

Jednak księżę pozostał niewzruszony.

- Wiele rzeczy by cię zdziwiło, gdybyś mnie lepiej znała. Tylko po co? - pomyślała.

- Nie, dziękuję. Uśmiechnął się.

- Musisz bardziej uważać w rozmowie, mila-dy. Większość mężczyzn nie jest tak wyrozumiała. Niektórzy potrafią być brutalni.

- W odróżnieniu od ciebie? - wymknęło jej się bez namysłu. Na szczęście zaraz przeprosiła. - Wybacz mi, książę. Jestem tak zmęczona, że sama nie wiem, co mówię.

- Jesteś zbyt zmęczona, żeby kłamać, pani. Mówisz to, co myślisz. Chcesz, abym wezwał lady Isobel i poprosił ją o suknię?

- Nie! Jest cięższa i dużo niższa. A poza tym mnie nienawidzi. Najchętniej by mnie utopiła w łyżce wody. Wystarczy mi odzienie pierwszej lepszej służącej. Dziewczyna pewnie spierze krew i zatrzyma tę suknię dla siebie. To całkiem porządna rzecz, chociaż nieco znoszona. Z dobrego materiału. Po części sama go tkalam.

- Masz wiele talentów, milady - odparł William. - Nie będę podróżował z dziewczyną przebraną za służącą. To by zniszczyło moją reputację. I nie mów, proszę, że już ją zniszczyłem. Pani Joanna jest słusznego wzrostu, choć może nie tak szczupła. Wprawdzie ma więcej w biodrach, ale za to w piersiach natura była dla was jednakowo szczodra. Jej stroje będą na ciebie pasować.

Zmęczona Elizabeth nie protestowała, słysząc tę pobieżną ocenę swoich wdzięków. Dopiero po chwili zdobyła się na uwagę.

- Lord Owen kazał jej na siebie czekać.

- Mam wrażenie, że pani Joanna chętnie skorzysta z byle pretekstu, żeby na chwilę wymknąć się spod opieki Owena z Wakebryght.

William wstał z fotela, a Elizabeth nareszcie przypomniała sobie o manierach i też z trudem dźwignęła się na nogi.

Zupełnie niepotrzebnie. Książę wsparł silną rękę na jej ramieniu i zmusił, żeby z powrotem usiadła na ławie. W ciągu dwóch dni

dotykał jej więcej razy niż jakikolwiek inny mężczyzna. Elizabeth miała wrażenie, że jego palce zacisnęły się lekko na jej skórze. Była to niemal pieszczota.

- Uważaj, lady Elizabeth... Książę William znany jest z wybuchowości. Jeżeli w obecności innych nie powstrzymasz się od ciętych uwag, to będę musiał zrobić coś, czego raczej wolałbym unikać.

Czyli? - spytała w myślach, ale udało jej się zachować milczenie.

- Grzeczna dziewczynka - mruknął William tonem pochwały. Potem pochylił się i, ku zdziwieniu Elizabeth, delikatnie pocałował ją w usta. Odszedł, zanim zdążyła coś zrobić lub powiedzieć.

Elizabeth przesunęła końcami palców po wargach. Nikt jej nie całował od czasów niezdarnych doświadczeń Thomasa. Nie było to zbyt podniecające. Natomiast zdawkowy pocałunek księcia Williama...

Zdawkowy? Dobre sobie. Owszem, przelotny, lecz jednocześnie niosący w sobie zapowiedź ogromnego bogactwa zmysłowych rozkoszy. Elizabeth poczuła ssanie w żołądku. To tylko z głodu, wmawiała sobie. Skoro książę William nie palił się do kobiet z zamku Wakebryght, to tym bardziej nie spieszno mu było do pyskatej baby, która wkrótce miała zostać zakonnica.

Jednak Elizabeth żałowała, że nie ma przy sobie żadnej towarzyszkii na resztę podróży do klasztoru Świętej Anny. Kogoś, kto mógłby z nią porozmawiać, dotrzymać kompanii i uwolnić ją od ciągłej obecności księcia. Przypuszczała, że William się nudzi. Po prostu szukał sobie jakiegoś zajęcia, zamiast rozpamiętywać popełnioną zbrodnię. A może matka Thomasa, uszczęśliwiona z wnuka, zgodzi się przydać mi którąś ze służących, rozmyślała Elizabeth. Przecież na dobrą sprawę powinna być mi wdzięczna choćby za to, że pozbędzie się mnie już na zawsze.

Oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Wciąż czuła dotyk dłoni księcia na swoim ramieniu, jego usta na swoich wargach. Im



szybciej trafię do klasztoru, tym lepiej, uznała.

Chyba zasnęła. Gdy się obudziła, za oknem był już pełny dzień. Przeciągnęła się z jękiem i w tej samej chwili zobaczyła Joannę, wymytą i uczesaną, z naręczem bogatych sukien.

- Kazałam im przygotować dla ciebie kąpiel, milady - powiedziała. - Twój książę prosił mnie też, bym ci pożyczyła przyodziewek. Niestety, obawiam się, że większość moich strojów jest zbyt śmiała dla kogoś tak niewinnego. Nie wszystkie też nadają się do konnej podróży. Zobaczmy jednak, może coś się znajdzie.

Rzuciła suknie na stół i odwróciła się do Elizabeth, która wciąż nie mogła nadziwić się jej urodzie. Joanna była co najmniej o dziesięć lat od niej starsza, miała pełną figurę i smutny, wszechwiedzący uśmiech, który nie znajdował odbicia w jej pięknych niebieskich oczach. Jasne włosy związała luźno, pozwalając im swobodnie spływać aż na plecy. Różowe policzki i karminowe usta kontrastowały z alabastrową cerą. Uśmiechnęła się, ukazując równe białe zęby.

- Ciągłe wyglądasz na zaspaną - zauważyła. - Książę chce wyjechać nie później niż w południe, a mnisi już burczą na to opóźnienie. Masz zatem godzinę. Jeśli to nie wystarczy, powiem im, że źle się czujesz.

- A wtedy odjadą i zostawią mnie na pastwę lady Isobel. - Elizabeth wzdrygnęła się mimo woli. - Ona mnie nienawidzi.

- Za mną też nigdy nie przepadała. Na szczęście razem z tobą jadę do Świętej Anny.

Elizabeth tak gwałtownie poderwała głowę, że uderzyła się o twardą ścianę. Wstała, pocierając dłonią obolałe miejsce.

- Naprawdę?

- Książę William doszedł do wniosku, że jednak powinnaś mieć kogoś do towarzystwa i pomocy. Spędzę wśród zakonnic pełne dwa miesiące, pozbędę się grzechów, a potem pewnie wrócę, żeby znowu grzeszyć. - Joanna wzruszyła ramionami, jakby

niewiele ją to obchodziło. - Rada jestem, że trochę odpocznę od Owena. Jest brutalny i wymagający. Chyba na pewien czas mam dość mężczyzn.

Elizabeth z początku nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Owszem, cieszyła się z tej niespodzianki, tym bardziej że od początku poczuła do Joanny sympatię. Jednak nie chciała nikogo narażać na niewczesne zapędy ze strony czarnego księcia. Owen z Wakebryght przynajmniej nigdy nie mordował...

- Jesteś pewna, że nic... ci nie grozi? - zapytała.

Joanna stanęła za nią i pomogła jej zdjąć poplamioną suknię.

- W pierwszej chwili to właśnie przyszło mi do głowy - odparła zupełnie szczerze. - Chociaż nie miałam nic przeciwko temu, żeby spędzić noc z księciem Williamem. Jest naprawdę przystojny.

- Zabił co najmniej dwie kobiety. Joanna wzruszyła ramionami.

- Jestem obojętna księciu. Nie zamierza mnie też oddać swoim ludziom. Sam mi to powiedział i mu wierzę. Jadę przede wszystkim ze względu na ciebie.

- W głowie się to nie mieści - zauważyła Elizabeth, ściągając prostą halkę, niczym nieróżniącą się od halki służącej. - Pierwszy raz w życiu spotykam kogoś, kto tak się o mnie troszczy. A przecież staram się go unikać. To on ciągle wchodzi mi w drogę.

Joanna roześmiała się cicho.

- Tak się dzieje od zawsze... Jesteś jeszcze bardzo młoda, prawda? Z czasem to zrozumiesz. Chociaż nie wiem... W klasztorze nie będzie okazji.

Elizabeth została tylko w zgrzebnej lnianej koszuli.

- Twój ojciec ubierał cię niczym służącą - zauważyła Joanna. - A może wolisz wybrać coś z mojej bielizny? To dobra tkanina.

- Nie powinnam brać twoich ubrań - nieśmiało zaprotestowała Elizabeth.

Joanna zaprowadziła ją do drugiej izby, gdzie już czekała balia pełna gorącej, pachnącej wody.

- Mam tego więcej, niż mi potrzeba. A w razie czego zawsze

mogę kupić. Prawdę mówiąc, w moim zawodzie suknie na ogół tylko przeszkadzają. Ależ nie czerwień się, maleńka - dodała ze śmiechem. Zdjęła z niej koszulę. Elizabeth stanęła zupełnie naga koło balii. - Tak już się dzieje na tym świecie.

Elizabeth dorastała w domu pełnym braci i nie przywykła występować nago w obecności innych osób. Szybko wskoczyła do balii, chlapiąc na podłogę i suknię Joanny. Zanurzyła się po samą szyję.

- Nie mów do mnie „maleńka” - powiedziała po chwili. - Jestem od ciebie wyższa.

- Jesteś wyższa od wszystkich - spokojnie stwierdziła Joanna, bez cienia złośliwości - ale na swój sposób wciąż pozostajesz dzieckiem.

Elizabeth nie chciała się z nią kłócić. Polubiła Joannę. Po chwili z rozkoszą poczuła, jak gorąca woda wyciąga z niej zmęczenie.

- Jestem starsza i mądrzejsza, niż ci się wydaje - mruknęła i zanurzyła głowę.

- Stara i mądra? - Joanna się roześmiała. - Na szczęście wkrótce znajdziesz się poza zasięgiem świata i nie muszę udzielać ci lekcji o prawdziwej męskiej naturze. Tymczasem księżę William na pewno zadba o to, żeby cię otoczyć najlepszą opieką.

- Księżę William nie musi mnie przed niczym bronić! - zawołała Elizabeth, wynurzając się z wody. - Nic go nie obchodzi.

W wodzie pływały suszone płatki róż, napełniając izbę przyjemnym aromatem.

- Postaram się, żebyś wierzyła w to tak długo, jak tylko możliwe - obiecała Joanna. - Może wezwę służącą, żeby pomogła ci przy czesaniu?

Elizabeth zbyt dobrze pamiętała nadąsane służące z zamku Wakebryght. Uważały, że Thomas był zbyt dobrą partią dla takiej jak ona. Nie chciała ich więcej widzieć i narażać się na docinki.

- Sama dam sobie radę - odparła. - Przywykłam do tego.

- W takim razie zostawiam cię i pójdę dopilnować pakowania.

Założę się, że po powrocie stwierdzę brak kilku ulubionych rzeczy. Owen na pewno się ucieszy, bo będzie mógł mi kupić coś nowego.

- Lubi wydawać na ciebie pieniądze? - spytała Elizabeth. Ojciec głośno żałował każdego pensa, wydanego na żonę albo nałożnicę.

- Wie przynajmniej, że w zamian może zażądać czegoś szczególnego. Uczyni wszystko, aby zaskarbić sobie moją wdzięczność... ale potem z premedytacją to wykorzystuje.

- Nie rozumiem, i tak przecież musisz go słuchać - powiedziała Elizabeth. Nigdy nie potrafiła powściągnąć ciekawości. To był jej główny grzech. Dobrze zdawała sobie sprawę z tego, że musi go zostawić przed bramą klasztoru.

- Do pewnego stopnia. Jestem kurtyzaną, a nie zwykłą dziwką. Jeżeli chce mnie skrzywdzić lub poniżyć, musi za to oddzielnie zapłacić.

- I wtedy nie stajesz się dziwką? - ze zdumieniem spytała Elizabeth. Dopiero po sekundzie zrozumiała, o co naprawdę pyta. Zaczerwieniła się po same uszy. - Błagam, wybacz. Chyba nie powinnam...

- Szczerść dziecka - orzekła Joanna. - Masz rację. Nazwijmy sprawy po imieniu. Po prostu mam większy wybór, z kim i co chcę robić. I kocham się na czystym prześcieradle, a nie na sianie w stajni.

Elizabeth w duchu wyrzucała sobie tę niezręczność.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj. Ciebie na pewno to ominie. Chodzę dobrze ubrana, najedzona i nieźle sypiam, kiedy jestem sama. To lepsze od klasztornej celi.

- Wolałabym resztę życia spędzić w ciemnym lochu niż w łóżku Owena z Wakebryght. - Elizabeth ponownie nie zapanowała nad językiem.

- Zatem ciesz się, że los ci tego oszczędził. Za kilka dni znajdziesz się w klasztorze. Jeśli do tego czasu zdołamy cię utrzymać z daleka od księcia, to wszystko będzie dobrze.

- Książę nie ma z tym nic wspólnego! - zaprotestowała Elizabeth. Ile razy miała to powtarzać? - Chce zakończyć pielgrzymkę, pozbyć się eskorty i wrócić do dawnego życia, pełnego rozpusty.

- Skoro tak mówisz, milady - cicho odparła Joanna i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

RS

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

---

Elizabeth ubierała się o wiele dłużej, niż początkowo zamierzała. Złożyła to na karb zmęczenia i niewyspania. Najpierw spędziła cały dzień w końskim siodle, potem w nocy walczyła o życie lady Margery i jej dziecka, a teraz czekał ją kolejny etap uciążliwej podróży. Nic dziwnego, że przez długą chwilę stała przed lustrem, przyglądała się swemu odbiciu i nie wiedziała, co zrobić z suknią Joanny.

A suknia była z wykwintnej zielonej tkaniny. Chyba nawet zieleńszej niż oczy Elizabeth. Przyjrzała się swoim długim rudym włosom, pociemniałym teraz od wody. Najpierw próbowała je zapleść w dwa ciasne warkocze, ale to sprawiło, że ją rozboleła głowa. Związała je luźno i przerzuciła przez ramię. Sięgały poniżej pasa. W klasztorze pewnie mnie ostrzygą, pomyślała od niechcena. Nic nie szkodzi. Od dawna nie lubiła swoich włosów i bez żalu mogła się ich pozbyć.

Uporała się już z czesaniem, lecz w dalszym ciągu miała pewien kłopot z suknią. Stanik okazał się za ciasny, co przyjęła z pewnym zakłopotaniem, bo Joanna nie mogła narzekać na zbyt małe piersi.

Spódnica zaszeleściła cicho, miękka halka łagodnie ocierała się o jej ciało. Elizabeth jeszcze przez chwilę patrzyła w zwierciadło, zastanawiając się, jak wyglądałoby jej przyszłe życie, gdyby była piękna. Gdyby spędzała noce z ukochanym...

Stanowczo pokręciła głową, odwołując się do zdrowego rozsądku. Dobrze wiedziała, że najwspanialsze stroje świata nie zrobią z niej innej kobiety. Była za sprytna, zbyt wygadana, zanadto niecierpliwa i nazbyt wysoka dla większości mężczyzn.

Suknia miała za duży dekolot, ale na szczęście zakrywała kostki nóg. Nie zawijała się na biodrach - bo praktycznie nie było na



czym. Ojciec powtarzał, że kobieta musi mieć szerokie biodra, aby rodzić dzieci. To nie dla mnie, pomyślała Elizabeth. Po nocy spędzonej przy akompaniamencie bolesnych krzyków lady Margery nie żałowała, że ją to ominie. Chociaż trzeba przyznać, że widok noworodka wycisnął jej łzy z oczu. Zawsze się wzruszała w takich chwilach. Odczuwała wtedy słodko-gorzka radość, nieporównywalną z żadnym innym uczuciem.

Właśnie dlatego bardzo często asystowała przy porodach. Brała lekcje u akuserek, mieszkających w zamku Bredon. Skoro nie mogła mieć potomstwa, a lubiła dzieci - nawet najbardziej dokuczliwe - chciała w jakiś sposób pomóc. Mężczyzn nie darzyła zbyt wielkim sentymentem - zwykle zasługiwali na los, który ich spotkał. Jednak niewiastom należały się względy i życzliwość.

Na dobrą sprawę tylko mężczyzna czerpał satysfakcję z płodzenia potomków. Matka, owszem, po pewnym czasie odnajdowała miłość i radość z macierzyństwa, lecz przedtem musiała sypiać z wielkim, spoconym samcem, który brutalnie naruszał sanktuarium jej ciała. Potem następowały najtrudniejsze miesiące, zakończone potwornym bólem i dość często śmiercią. Wszystko ku przyjemności mężczyzny.

Oczywiście były sposoby, żeby uniknąć ciąży. Akuszerki znały także i ten sekret, powtarzany cichcem między kobietami. Gdyby Kościół się o tym dowiedział, każda z nich byłaby skazana na wieczne potępienie.

Dobre zakonnice z klasztoru Świętej Anny o takich tajemnicach nie miały pojęcia. Elizabeth liczyła na to, że nawet w zakonie znajdzie sposób, aby nie rezygnować z praktyki zielarstwa. Wiele klasztorów, oprócz medytacji, zajmowało się też leczeniem. Siostry ze Świętej Anny chętnie spełniały dobre uczynki. Może pozwolą mi mieć dostęp do dzieci, rozmyślała, choć sama już nigdy nie będę brzemienna.

Nie czuła wstrętu do Thomasa z Wakebryght. Był przystojny, łagodny i miły - i tak pozbawiony wszelkiej wyobraźni, że

pokładziny z nim musiały mijać bardzo szybko.

Gdyby ją teraz zobaczył w zielonej sukni, mógłby pożałować przedwczesnej decyzji. Lady Margery wyglądała dużo gorzej niż zwykle, z podpuchniętymi oczami i bladą, wymizerowaną twarzą. A przecież Thomas miał słabość do kobiet.

Elizabeth szybko stanęła tyłem do lustra. A jednak mogła się podobać. Gdyby ojciec lepiej dbał o jej wygląd, już dawno znalazłaby męża. Poślubiłby ją jakiś baron, zainteresowany tylko jej wdziękami. Na co dzień pewnie miałyby święty spokój.

Nie, taka przyszłość zupełnie jej się nie uśmiechała. Teraz była dużo szczęśliwsza, zwłaszcza w towarzystwie powabnej Joanny. Nawet nie bała się już podróży. Wiedziała, że przy Joannie nikt nie spojrzy w jej stronę. Nikt - łącznie z czarnym księciem.

Rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu płaszcza. Nigdzie go nie było. Ach, prawda...

Został w komnacie lady Margery. Postanowiła, że nie wezwie służby, ale pójdzie po niego sama. Przy okazji zobaczy, jak się czuje matka i jej nowo narodzone dziecię. A jeśli natknie się na Thomasa... to tym lepiej. Niech wie, co przed trzema laty stracił przez własną głupotę.

Zanim wyszła, wyjrzała przez okno na dziedziniec. Zgromadzili się tam zbrojni i część zakonników, między innymi brat Matthew, jak zawsze na dorodnym rumaku, ale trzymający się nieco na uboczu. Pochylił głowę, lecz mogła wyobrazić sobie jego wyraz twarzy. Zapewne uśmiechał się wdzięcznie, co czyniło go tak odmiennym od ironicznie uśmiechniętego księcia Williama.

Elizabeth odwróciła się od okna. Od chwili, gdy wyjechała z ojcowskiego domu, coś się w niej zmieniło. W dalszym ciągu wiedziała, co dla niej najlepsze, ale te płóche myśli związane z Thomasem albo z bratem Matthew były czymś nowym.

Nie mówiąc o tym, że paliło ją wspomnienie pocałunków księcia Williama.

W ciągu dwóch dni pocałował ją dwa razy. Najpierw w czoło, a

potem w usta. Gdyby ta zabawa miała potrwać dłużej, to lepiej nie myśleć, gdzie następnie sięgnie...

Wiele hałasu o nic, pomyślała nagle. Książę William - diabeł wcielony - narzucał się z pocałunkami tylko po to, żeby wprawić mnie w zakłopotanie. Nawet mu się to udało. Następnym razem przychylniejszym okiem spojrz na Joannę, nawet gdyby rzeczywiście pragnął do końca pokuty wytrzymać w strzeżliwości. Od dzisiejszego dnia będzie szerokim łukiem omijał Elizabeth z Bredon. Nareszcie... Tego mogę być zupełnie pewna.

Musiała spytać o drogę do komnaty lady Margery. Poprzednim razem - kiedy szła z Joanną - nie zwracała najmniejszej uwagi na otoczenie. Drzwi były zamknięte dla ochrony przed zimnem, lecz weszła tam bez pukania pewna, że Margery nie ma tajemnic przed niedawną położną.

Zatrzymała się tuż za progiem, zmieszana i zaskoczona. Thomas z Wakebryght leżał koło śpiącej żony, trzymał ją za rękę i z ogromną miłością spoglądał na jej bladą, wymizerowaną twarz. W rogu siedziała mamka, która karmiła noworodka. Thomas jednak w ogóle nie zwracał na to uwagi. Widział tylko Margery. Elizabeth z zapartym tchem patrzyła na tę scenę.

Chyba wyczuł, że coś się dzieje, bo nagle odwrócił głowę i radosny uśmiech zajaśniał na jego przystojnym obliczu. Elizabeth dopiero teraz zauważyła, że miał miękki podbródek, trochę za mały nos i niemal zrosnięte brwi.

Zerwał się z łóżka i podbiegł do niej. Elizabeth zeszywniała lekko, nie wiedząc, czego się spodziewać. Nie przypuszczała, że uściska ją z całej siły.

- Niech cię Bóg błogosławi, Bethy - szepnął głosem nabrzmiałym od z trudem skrywanego płaczu. - Przywróciłaś mi życie.

Delikatnie uwolniła się z jego objęć. Nawet jeżeli zauważył zieloną suknię, nie skomentował tego ani słowem. Znów patrzył

na uśpioną lady Margery. I tyle z mojej zemsty, pomyślała Elizabeth.

- Szczęśliwy człowiek z ciebie, Thomasie - rzekła spokojnie. - Ze wszystkich sił walczyła o ciebie i twojego syna. Dokonałeś dobrego wyboru.

Nie zrozumiał, co chciała mu przez to powiedzieć. Zerknął na nią nieobecny wzrokiem i na powrót podszedł do łóżka.

- Cała rodzina jest ci wdzięczna, Bethy.

- Nawet twoja matka? - spytała oschłym tonem.

- Tak, nawet ona. - Usiadł na łóżku. Zrobił to ostrożnie, żeby nie obudzić żony. - Przecież wiesz, że nie żywiła do ciebie urazy. Po prostu bała się, że zaczniesz ją rządzić. Margery jest posłuszną synową. Mama woli chadzać własnymi drogami.

- To prawda. Posłuszną pewnie bym nie była - zgodziła się Elizabeth. Widok tych dwojga już nie sprawiał jej cierpienia. Czuła jedynie rezygnację. Usłyszała płacz dziecka, szybko więc podeszła w tamtą stronę, spojrzała na czerwoną buzię i lekko dotknęła palcem maleńkiej piąstki.

- Mam nadzieję, że będzie ci dobrze u Świętej Anny - powiedział Thomas. Chyba sam w to nie wierzył. - Wreszcie znajdziesz spokój...

Zabrzmiało to jak wyrok śmierci.

- Tak - głucho odparła Elizabeth. Odwróciła się od maleństwa, wzięła płaszcz leżący na stole przy oknie i zarzuciła go na ramiona, żeby zasłonić nowo odkryte krągłości. Znów była bardziej sobą - wysoką i brzydką Elizabeth, podążającą ku nowemu życiu.

- Niech was Bóg błogosławi - powiedziała wyważonym tonem.

- I ciebie także - odparł Thomas, chociaż myślami był gdzie indziej. Elizabeth cicho zamknęła drzwi.

Joanna wyszła na dziedziniec i głęboko wciągnęła w płuca haust świeżego powietrza. W dzieciństwie uwielbiała przebywać na dworze - niańka ledwo mogła ją zagonić do domu na noc. To

wcale nie znaczy, że Joanna z Kimbrough była upartym lub krnąbrnym dzieckiem. Wręcz przeciwnie, kochała rodziców i ze spokojem spoglądała w przyszłość, widząc się w chlubnej roli dobrej matki i żony.

Jednak las ją wciąż wzywał i nie umiała zwalczyć tej pokusy. Bez względu na lanie, które dostawała czasami od niańki, czy łzy matki, całymi godzinami przesiadywała w borze, pod gęstą koroną drzew, we wszechobecnej ciszy.

Wydano ją za mąż tak szybko, jak się dało. Trzynastoletnie dziecko wiedziało o mężczyznach mniej więcej tyle co o alchemii. Pierwszy małżonek był od niej dużo starszy, łagodny i spokojny. Bardziej tęsknił do jej towarzystwa niż do cielesnych uciech. Kiedy zmarł, opłakiwała go szczerze. Nawet nie przeczuwała, co los ma dla niej w zanadrzu.

Drugi mąż okazał się brutalem. Owen z Wakebryght mógł się wydawać przy nim wzorem czułego kochanka. Harald był prymitywnym okrutnikiem. Nie dbał o dzieci - wszędzie miał synów - i wyżej cenił pewne „zabawy”, których nauczył się podczas krucjaty. Joanna nigdy nie przypuszczała, że mogłaby szczerze bronić Ziemi Świętej. Uwielbiał zadawać ból, a młodą żonę często oddawał swoim kompanom i patrzył, jak się z nią kochają.

Gdyby nie umarł, pewnie w końcu zginąłby z jej ręki.

Dwa razy była drugą żoną i oba małżeństwa w sumie nic jej nie dały - nawet marnego spadku. Rodzice zmarli przed laty, a majątek przeszedł w ręce odległego kuzyna. Po tylu przygodach z mężczyznami nie mogła liczyć na następny trwały związek. Swym mężom nie urodziła dzieci, zatem była bezużyteczna jako żona. Mimo to nie mogła się opędzić od adoratorów, którzy ujęci jej urodą, wdziękiem i uległością, widzieli w niej ideał kochanki. Wciąż powtarzała sobie, że to nie najgorzej, że mogła skończyć na ulicy.

Teraz jednak cieszyła się, że kilka tygodni spędzi sama, bez

towarzystwa mężczyzn. Kto wie, jeżeli siostry od Świętej Anny okażą się naprawdę miłe, to może do nich dołączyć? - pomyślała. Miała wystarczająco dużo ukrytych oszczędności i zdążyła polubić Elizabeth z Bredon. Wreszcie miała z kim porozmawiać, co rzadko jej się trafiało w zamku Wakebryght. Nawet Thomas nie grzeszył zbyt dużą inteligencją, a Owen stawiał coraz większe żądania.

Potrzebowała odpoczynku, dla dobra ciała i ducha. Gdyby Owen przypadkiem nie wytrzymał rozstania i znalazł sobie inną, tym lepiej. Życie bez udziału mężczyzn wydawało jej się w tej chwili rajem na ziemi.

Nikt jej nie żegnał przed wyjazdem. Owen leżał nagi i chrapał donośnie. Przynajmniej on był szczęśliwy - choćby przez kilka godzin. Tuż przed wyjściem Joanna zabrała wszystkie swoje klejnoty, zawięła je w chustkę i wepchnęła do haftowanego mieszka, który nosiła u pasa. W ten sposób nie musiała już po nic wracać do Wakebryght. Ów majątek na pewno nie starczyłby na długo - jej kochankowie nie byli aż tak hojni - ale przynajmniej mogła zyskać na czasie, żeby spokojnie przemyśleć następną decyzję. Może przeorysza z klasztoru Świętej Anny ma czułe serce dla upadłych kobiet?

Po drugiej stronie dziedzińca stała lady Elizabeth. Samotnie, tak jak Joanna. Co prawda, była w swoim starym płaszczu, ale pod spodem miała wspaniałą zieloną suknię. Joanna specjalnie ją wybrała, żeby sprawdzić, jak zmieni się wygląd lady Elizabeth, która miała piękne oczy, lśniące włosy i ponętne usta. To cud, że dotąd uniknęła niewczesnych zalotów. Joanna wyrządziła jej niedźwiedzią przysługę, ucząc czesania i dając elegancką suknię. W końcu dziewczyna szła do klasztoru - a w tej chwili jedynie przyciągała wzrok księcia Williama.

Nie sprawiał na niej wrażenia okrutnika. Nie mogła uwierzyć, że jest zdolny udusić niewinną dziewczynę. Wyglądał bardziej na kogoś, kto dobrze poznał niełatwą sztukę miłości, i wie, jak zaspokoić potrzeby kobiet. Jak dawać rozkosz, a nie poprzestawać



wyłącznie na żądaniach.

Joanna postanowiła w duchu, że zrobi wszystko, aby utrzymać go z dala od Elizabeth. Jednak zdawała sobie sprawę, że jej przeciwnikiem jest jeden z najpotężniejszych ludzi w Anglii. Na nią zupełnie nie zwracał uwagi, to mogła stwierdzić z całym przekonaniem. Widziała ukradkowe spojrzenia, jakie rzucał w stronę Elizabeth z Bredon. Na dobrą sprawę powinnam ich do siebie zbliżyć, pomyślała z nagłym rozbawieniem. Elizabeth mogła sporo wygrać, skoro pożądał jej syn króla... Jedyny syn króla. Wdzięczność tak bogatego i wpływowego człowieka była naprawdę czymś nie do pogardzenia. Mieć przyjaciela na królewskim dworze...

Elizabeth budziła w niej głęboki podziw i szacunek. Wystarczy wspomnieć tylko, jak walczyła o życie nieszczęsnej kobiety, która jej zabrała miejsce u boku niedoszłego męża. Walczyła i wygrała.

Klasztor przyjmie ją zawsze, nawet jeśli z księciem połączy ją romans. Może tylko zażądać rekompensaty. Ale to chyba najmniejsze zmartwienie. Wszak niejeden wiedział, że William - za zgodą ojca - nieraz sięgał głęboko do królewskiego skarbcza, żeby zapłacić za wyrządzone przez siebie szkody. Dopiero po zabójstwie ściągnął na siebie karę.

Tak, tak... Zakonnice dostaną sowitą nagrodę, a odpowiednia suma uciszy wszelkie domniemane żale Elizabeth z Bredon.

Joanna też mogła mieć w tym swój mały udział...

Postanowiła działać. Przynajmniej spróbuję, postanowiła. Wewnętrzny głos jej podpowiadał, że książę nie jest winien wszystkich czynów, o które go oskarżano. Musiała jednak to koniecznie sprawdzić.

Na początek uznała, że najlepiej będzie, jeśli ograniczy się do obserwacji. A może, wbrew postanowieniom, nie była zdolna do intrygowania? Może jednak wzdragająca się poświęcić niewinną Elizabeth? Skoro sama nie mogła odzyskać niewinności...

Zimny, wilgotny wiatr targał poły grubego płaszcza. Elizabeth

opatuliła się po szyję, żałując, że tak łatwo dała się namówić na zieloną suknię. Wprawdzie niewiele miała tu do powiedzenia, ale na dobrą sprawę co jej szkodziło spytać, czy w kufrach lady Margery nie znajdą się stroje odpowiednie dla przyszłej zakonnicy. Margery była dużo niższa, ale z dwojga złego Elizabeth wolała odstawiać nogi niż piersi. Zwłaszcza że wspomniane nogi - przynajmniej jej zdaniem - były chude i brzydkie.

Na dziedzińcu trwał wyteżony ruch. Zbrojna eskorta księcia Williama już siedziała na koniach, a mnisi zbili się w ciasną gromadę. Wszyscy, z wyjątkiem brata Matthew. Młody zakonnik stał z boku z nisko pochyloną głową. Elizabeth dała dwa kroki w jego stronę, ale spostrzegła, że poruszał wargami, zapewne szepcząc modlitwę. Zatrzymała się więc. Nie wiedzieć czemu widziała w nim obrońcę przed księciem Williamem, chociaż tak naprawdę nikt nie miał dość władzy, żeby ją obronić. Od strony budynku szła pani Joanna, dumnie wyprostowana, z rozpuszczonym warkoczem. Nie wstydziła się nosić kolorowej sukni. Widząc ją na dziedzińcu, w jasnym świetle, Elizabeth zadała sobie w duchu pytanie, czy rzeczywiście to był dobry pomysł, aby dalej jechały razem. Joanna przyciągała spojrzenia wszystkich mężczyzn z wyjątkiem pobożnego brata Matthew. Elizabeth była strapiona, że część tych zachwyty przypadkowo spadnie na jej szczupłe barki.

Rozejrzała się, szukając swojego wierzchowca. Nie zamierzała znowu jechać w jednym siodle z Williamem. Prędzej umrę, niż na głos przyznam się do zmęczenia, postanowiła sobie. Nie pozwolę, żeby mnie więcej dotykał. Owszem, miał delikatne dłonie, ale jego zachowanie budziło w niej trudny do zniesienia niepokój.

A później zjawił się brat Adrian i mało brakowało, żeby Elizabeth rozplakała się ze szczęścia. Zakonnik przyprowadził wóz ciągnięty przez cztery silne konie. Wóz był toporny i raczej niewygodny, ale dziewczynie wcale to nie przeszkadzało. Cieszyła się, że ominą ją dalsze katusze na końskim grzbiecie lub w

objęciach Williama.

Zanim Adrian podjechał bliżej, Joanna stanęła tuż obok nowej przyjaciółki.

- To najgorszy pojazd, jakim jechałam w życiu - powiedziała. - Nic dziwnego, że Thomas ochoczo się go pozbył. Prawdziwa machina tortur. Lepiej chyba dosiąść konia.

Elizabeth już otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale uprzedził ją brat Adrian.

- Jego Wysokość życzy sobie, aby obie panie zajęły miejsca na wozie - powiedział, patrząc w ziemię.

- Dlaczego? - zapytała Joanna. - Przecież będziemy podróżowali dużo wolniej.

Elizabeth chciała spytać o to samo, ale bała się, że księżę zmieni zdanie i rzeczywiście każe przyprowadzić wierzchowce.

- Księżę William odbywa ciężką pokutę. Widok kobiet stanowi niemałe zagrożenie dla jego nieśmiertelnej duszy - odparł brat Adrian, uparcie przypatrując się swoim stopom. - Lepiej, żebyście jechały za zasłoną.

- Moim skromnym zdaniem nic już nie zaszkodzi jego nieśmiertelnej duszy - zauważyła Elizabeth. - Skoro chce nas wozić, nie mam nic przeciwko temu. Chodź, Joanno. Kiedy pogawędzimy o życiowych sprawach, błyskawicznie zapomnimy o wszelkich niewygodach.

Brat Adrian poderwał głowę i spod oka spojrzął na Joannę.

- Bez obaw, dobry bracie - roześmiała się Elizabeth. - Pewne rzeczy na pewno pominiemy.

Adrian przez chwilę stał jak skamieniały. Chyba nawet nie słuchał. Po prostu gapił się w niebieskie oczy Joanny. Potem bez słowa okręcił się na pięcie i uciekł tak szybko, że niemal przydeptywał habit.

- Nie powinniśmy jej zabierać - orzekł Adrian.

Peter obrzucił go baczny spojrzeniem. Jechali daleko na przedzie kawalkady i nikt nie mógł ich usłyszeć. Reszta orszaku

ciągnęła się z nieznośną powolnością.

- Dlaczego? - spytał Peter, chociaż doskonale rozumiał skrupuły Adriana. Wolał go jednak spokojnie wysłuchać. Brat Adrian był wyjątkowo bystry i czasem jego rady mogły się przydać.

- To niebezpieczne. Budzi pokusę. Zresztą sam o tym wiesz najlepiej. Wystarczy tylko na nią spojrzeć, żeby nabawić się grzesznych myśli. Narażasz na szwank naszą misję.

Peter westchnął.

- Masz rację. Chociaż z drugiej strony muszę przyznać, że nie spodziewałem się tego po tobie. Zawsze myślałem, że świątobliwy brat Adrian jest ponad wszelkie pokusy.

- Świątobliwym bratem jestem tylko do czasu, aż staniemy w klasztorze. Później znów stanę się zwyczajnym rycerzem. Przy niej zaś nawet święty Paweł mógłby się zapomnieć - ponuro stwierdził Adrian. - Aż dziw bierze, że sam jesteś nieczuły. Ma takie kuszące usta...

Peter na chwilę zamknął oczy, żeby lepiej sobie przypomnieć smak ust, o których mówił jego towarzysz podróży. Nigdy nie kosztował takiej niewinności. Ciepła...

- Rzeczywiście - stwierdził i z ukosa popatrzył na Adriana, jakby tknięty nagłą zazdrością. Co za głupiec ze mnie, pomyślał. Przecież Adrian ma pełne prawo rozglądać się za dziewczętami. Habit zakonnika to tylko przebranie.

- Za tydzień już będzie po wszystkim, Adrianie. Cóż z tego, że dziewczyna ci się spodobała? Nic na to nie poradzisz.

- To ty tak myślisz - burknął Adrian. Peter poczuł nowe ukłucie zazdrości.

- Nie wyobrażaj sobie zbyt wiele. Ona nawet nie spojrzy na ciebie ani na żadnego innego zakonnika.

- Wiem... i przez to jest mi jeszcze gorzej. Choć przecież mogę powiedzieć jej prawdę.

- Złożyłeś przysięgę milczenia, Adrianie. Nikt nie ma prawa

wiedzieć, kim jesteśmy, bo w przeciwnym razie nic nie będzie z naszego planu. Chyba nie złamiesz raz danego słowa? Nie warto ryzykować dla zielonych oczu.

- Jej oczy są niebieskie - sprostował Adrian. - Lady Elizabeth ma zielone.

Peter popatrzył na niego uważniej.

- Mówisz o pani Joannie?

- Oczywiście. A o kim innym? - Adrian nie krył zdziwienia. - Lady Elizabeth nie zdoła poruszyć serca żadnego mężczyzny. Jej miejsce jest w zakonie.

- Tak myślisz? - mruknął Peter. Odwrócił się i spojrzał przez ramię na wóz żółtym tempem ciągnący po trakcie. Buda chwiała się lekko, ale niewiast nie było widać. Pokusa Adriana zniknęła bez śladu. Elizabeth też się dobrze ukryła...

Ale to przecież jeszcze za mało. Wciąż pamiętał zdumiony wyraz jej pobladłej twarzy w chwili, kiedy ją całował. Z trudem powstrzymał się, żeby nie chwycić jej w ramiona i nie pokazać, czym jest prawdziwy pocałunek.

Po prawdzie, nie musiała tego wcale wiedzieć. A on nie powinien ciągle o tym myśleć. Znał przecież swoje obowiązki i wiedział, co się z nimi łączy. Grzech śmiertelny popełniony w obronie niewinności. Spłata dawno zaciągniętego długu. Co za różnica... I tak był od dawna potępiony. Żadna pokuta nie mogła go uchronić przed ogniem piekielnym. Wysłannicy diabła nawet tu, na ziemi, następowali mu na pięty.

Śmierć była jego przeznaczeniem, a nie miłość. Tylko tą ścieżką powinien kroczyć, nie rozglądając się na boki. Zasłużył sobie, żeby cierpieć na widok lady Elizabeth. Musiał zapewnić jej bezpieczeństwo. Trzymać Williama z dala. W razie potrzeby nawet go zabić, kiedy dopełni się przysięga.

Później zaś targnąć się na własne życie, aby nie skrzywdzić już nikogo.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

---

Elizabeth obudziła się z przestraczem. Miała zły sen. Ziemia rozstępowała się jej pod nogami. Wreszcie wpadła w głęboką szczelinę i leciała gdzieś w dół, w smolistą ciemność. Czyjaś ręka sięgała w jej kierunku, ale nie po to, by ją wyratować, tylko pociągnąć jeszcze głębiej, na samo dno otchłani. Kopnęła ją z okrzykiem przerażenia i próbowała uciec. Usłyszała zduszone przekleństwo... i otworzyła oczy.

Wokół niej było ciemno, a w powietrzu unosił się ciężki zapach perfum. Przeraziła się jeszcze bardziej, ale po chwili usłyszała spokojny głos Joanny.

- Co się stało, milady?

- Kopnęłam cię? Wybacz, proszę. Jak długo spałam? - spytała Elizabeth.

- Cały dzień. Na szczęście mnie też sen zmorzył. To wszystko po nieprzespanej nocy, którą spędziłyśmy przy lady Margery. Orszak stanął na krótki popas, lecz nie mogliśmy cię dobudzić. Książę powiedział, żebyś spała dalej. Bardzo się o ciebie troszczy.

Elizabeth powstrzymała się od złośliwej odpowiedzi. Za nic nie chciała budzić opiekuńczych uczuć u Williama. Wstała ostrożnie, zsunęła długie nogi z wozu i powoli ześliznęła się na ziemię. Był ciepły wieczór. Orszak rozpadł się na mniejsze grupki. Zbrojni rozpalali ogień i rozkul-baczali konie, a mnisi... nic nie robili. Po prostu się przyglądali. Książę William zniknął.

Elizabeth spojrzała na brata Matthew i powoli ruszyła w jego stronę. Przynajmniej on mógł zapewnić jej ochronę, wsparcie duchowe i pocieszenie. Tęskniła za jego nieśmiałym uśmiechem. Szła pomału, zadowolona, że mimo zmęczenia może utrzymać się na nogach.

Brat Matthew siedział na ziemi, w pewnym oddaleniu od reszty



zakonników, z głową pochyloną w modlitwie. Elizabeth zawahała się, bo nie chciała przeszkadzać mu w takiej chwili, ale on nagle spojrzał na nią, jakby instynktownie wyczuł jej obecność. Uśmiechnął się i wstał.

- To dla mnie wielki zaszczyt, milady - powiedział cicho i ujął jej rękę w swoje miękkie i chłodne dłonie.

- Nie chciałam ci przeszkadzać, bracie - odparła szybko.

Nie przywykła do tego, by jej dotykano. Cofnęła rękę. Matthew puścił ją z lekkim wahaniem.

- Nie przeszkadzasz - powiedział. - Właśnie skończyłem medytacje. Jeżeli tylko zechcesz usiąść...

- Najśłodsza Mario, wcale nie chcę siadać! - zawołała Elizabeth. Po chwili zrozumiała, że niezbyt fortunnie dobrała słowa. - Cały dzień siedziałam - dodała.

- W takim razie może się przejdziemy? Jeszcze nie jest ciemno, a i do wieczery zostało nieco czasu.

Elizabeth nerwowo spojrzała przez ramię. Księcia nigdzie nie było widać, a Joanna stała koło wozu, z zakłopotaniem patrząc w jej stronę.

- Może pani Joanna zechce nam towarzyszyć? - spytała Elizabeth, nieco zawstydzona, że zostawiła ją samą.

- Pani Joanna nie jest właściwym towarzystwem dla kogoś twojego pokroju, moje dziecko - półgłosem powiedział brat Matthew. - Przykro to mówić, ale wolałbym, żebyś rzadziej przebywała z nią, a częściej ze mną. To Magdalena, zrodzona z grzechu.

Wprawdzie nie trzymał jej za rękę, a mimo to zdołał ją poprowadzić z dala od obozowiska.

- Maria Magdalena odpokutowała za swoje grzechy i w końcu została świętą - przypomniała mu Elizabeth. - Czy nasz Pan i Zbawca nie umiłował jej bardziej niż celnika? - spytała, jak to zwykła czynić w dyskusjach z ojcem Bennettem, przebywającym w zamku Bredon.

Matthew uśmiechnął się.

- Jesteś wykształconą młodą damą. Niestety, ladacznica, która podróżuje z nami, nie czyniła jeszcze pokuty. A gdyby nawet, to nie ma tutaj Pana naszego, żeby udzielił jej rozgrzeszenia. Ja na to się nie odważę. Jesteś zatem w niebezpieczeństwie, lady Elizabeth. Przy mnie niczego nie musisz się obawiać.

Już drugi raz zapewniał ją, że z jego strony nic jej nie groziło. Elizabeth spojrzała na niego podejrzliwie. Skoro to takie oczywiste, po co wciąż o tym mówić? Czego mogłaby się spodziewać po tak bogobojnym mnichu?

Wychowywała się wśród mężczyzn i wierzyła swoim przeczuciom. A przeczucia mówiły jej, że czarny książę jest dużo gorszy od najprzystojniejszego chłopca w zakonnym habicie. Wstyd jej było, że mogła zwątpić w czystość intencji brata Matthew.

Odeszli już dosyć daleko od obozu. Wąska ścieżka wiała się między drzewami. Ludzkie głosy i parskanie koni ginęły w oddali. Elizabeth odwróciła się i spostrzegła siwą smugę dymu, bijącą w niebo. Jeszcze co najmniej godzina, nim będą wieczerzać. Na razie mogła porozmawiać z bratem Matthew. Uśmiechnęła się do niego.

- Czuję się bezpieczna - powiedziała. - Cieszę się, że jesteś z nami, bracie, że właśnie tobie dano nadzór nad grzesznikiem.

- Nie musisz się obawiać księcia. Moja w tym głowa.

Wprawdzie brat Adrian pełni nad nim szczególną pieczę, lecz od początku powątpiewałem w słuszność tej decyzji. Książę William lubi uwodzić dziewczęta i chłopców, a brat Adrian jest jeszcze bardzo młody...

Elizabeth popatrzyła na niego z przerażeniem. Nigdy w życiu nie była bardziej zaskoczona.

- Nie widziałam żadnej oznaki...

- To szczwany lis - powiedział Matthew. - Wszystkich potrafi wywieźć w pole. A jego żądze są nienasycone. Mógłby nawet zalecać się do ciebie, pani.

Elizabeth poczuła się lekko urażona tym stwierdzeniem. Miałaby być ostatnią? Z zachowania Williama wynikało, że zauważył ją już na początku.

- Zrobił to - przyznała.

Idący obok niej zakonnik potknął się o korzeń, ale zaraz odzyskał równowagę.

- Narzucał ci się? - spytał cicho.

- Nie. Tylko mnie pocałował - wyznała Elizabeth. - Dwa razy.

Natychmiast pożałowała swoich słów. Rozumiała, że brat Matthew miał pełne prawo o wszystkim wiedzieć, lecz mimo to nie chciała przed nim się wygadać. Pokręciła głową.

- Chyba masz rację, bracie - powiedziała. - Nie należę do pociągających kobiet. Księżę rzeczywiście musi być zboczeńcem.

- Nie wiesz, dziecko, jak bardzo jest zdeprawowany - grobowym głosem stwierdził Matthew.

Smętne wyznanie Elizabeth nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Chyba naprawdę niewiele miał do czynienia z kobietami, skoro tak szybko zgodził się z jej oceną. Postanowiła natychmiast zmienić temat, bojąc się, że za chwilę zwymyśla łagodnego mnicha.

Usłyszała szmer wody i poczuła, że jest spragniona.

- Ta ścieżka chyba prowadzi do strumienia.

- Masz rację. Usiądziemy na brzegu i porozmawiamy.

Ale ona już poszła przodem, nieco urażona. Gdyby to było lato... i gdyby miała nie więcej niż dziesięć lat... i gdyby nikt w pobliżu się nie kręcił... pewnie zrzuciłaby odzienie i poszła się wykąpać. Szum wody działał na nią z nieprzepartą siłą.

Elizabeth zaczęła biec wąską ścieżyną, wydeptaną zapewne przez zwierzęta. Brat Matthew poruszał się dostojniej i został nieco w tyle. Po chwili zniknął jej z oczu. Elizabeth została sama - nareszcie sama! Dobiegła nad strumień płynący kamiennym łożyskiem.

Zakonnika ciągle nie było widać. Mogę zdjąć trzewiki i zanurzyć

stopy w chłodnej wodzie! - pomyślała gorączkowo. A może uda mi się przekonać brata Matthew, żeby wrócił beze mnie? A może najzwyczajniej w świecie skoczyć do strumienia i udawać, że się pośliznęłam?

Niestety, suknia Joanny była dość obcisła, łatwo więc wyobrazić sobie, jakby wyglądała po takiej kąpieli. W dodatku Elizabeth obawiała się, że inne stroje pięknej kurtyzany mogą odsłaniać jeszcze więcej wdzięków. Stała więc i ze smutkiem zmieszonym z nadzieją spoglądała w spienioną wodę.

- Zimna jak lód.

Znajomy głos sprawił, że podskoczyła i omal nie wpadła do strumienia. W ostatniej chwili złapała równowagę. Uniosła głowę i spojrzała prosto w ciemne oczy księcia.

Stał niedaleko niej, ubrany tylko w koszulę i nogawice. Miał mokre włosy. Zapewne był świeżo po kąpieli. Jak to dobrze, że Elizabeth nie zjawiała się odrobinę wcześniej i nie zastała go nagiego. Sama myśl o tym ją przerażała. Z odrobiną ciekawości, ale przerażała.

- Wcale nie chciałam wchodzić do strumienia - skłamała. - Od takich wybryków można się rozchorować.

- Podczas pobytu w Ziemi Świętej nabrałem zwyczaju, żeby się regularnie kąpać - oznajmił książę William. - Chłodna woda potrafi zdziałać cuda zwłaszcza podczas długich podróży.

- Brałeś udział w krucjacie? - spytała ze zdziwieniem. Nawet nie przyszło jej do głowy, że królewski syn mógłby narażać życie, walcząc w obronie innych lub o zbawienie własnej duszy.

- Prawdę mówiąc, pojechałem tam w poszukiwaniu przygód, chociaż otwarcie głosiłem co innego.

- I co znalazłeś?

Przez twarz księcia przemknął wyraz bólu, ulotny wprawdzie, lecz tak wyraźny, że zapadł w serce Elizabeth.

- Lepiej, żebyś o tym nie słyszała, lady Elizabeth. Raduj się swoją niewinnością i nie pytaj o zło, które czynią ludzie.

W tej samej chwili na brzegu strumienia zjawił się lekko zdyszany brat Matthew. Stał jak wryty na widok księcia. Elizabeth wyczuła rosnące napięcie.

- Nie wiedziałem, że tutaj jesteś, Wasza Wysokość - chłodnym i karcącym głosem odezwał się brat Matthew. - Może przeszkadzam?

- Rozmawialiśmy właśnie o tym, ile zła panoszy się na świecie. Zamierzałem wyjaśnić lady Elizabeth, że jesteśmy otoczeni kłamstwem, które potrafi przybrać najbardziej niewinną postać. Lepiej, aby na przyszłość trzymała się reszty grupy.

- Na pewno zdołam ją ochronić przed każdym zagrożeniem - zimno odparł Matthew.

- Nie wątpię, bracie - przytaknął William. - Pytanie tylko, co począć z tobą? Kto ciebie mógłby powstrzymać?

Elizabeth zdała sobie sprawę, że już nie rozmawiają o niej. Po jednej stronie łagodny mnich, po drugiej - czarny książę o wyuzdanych gustach na tyle wstrętnych, aby wzbudzić niechęć nawet jej rodzonego ojca. To była walka zła i dobra. Który z nich pierwszy rzucił rękawicę? Elizabeth odniosła niemiłe wrażenie, że ona stała się tą rękawicą.

- Dobre pytanie. Wszak jestem zakonnikiem, zupełnie niegroźnym. Ktoś mógłby powiedzieć... impotentem. Przede mną stoi książę Anglii, zwany potworem, ponoć nieczuły na ludzką krzywdę, łotr i gwałtownik, zdolny do morderstwa. Kogo powinna bać się lady Elizabeth?

Żaden z nich na nią nie patrzył.

- Nie wątpię, że dobrze znasz grzechy księcia - odpowiedział William. - W każdym człowieku tkwi ciekawość zła. Akurat ona wie o tym najlepiej.

- A może chciała odkryć ją u siebie, zanim na zawsze ucieknie od świata? - zapytał Matthew.

- Ta próba mogłaby się dla niej źle skończyć. Zakonnik uśmiechnął się.

- Jesteś niezwykle mądry jak na królewskiego syna, księżę Williamie. Dotychczas chyba cię nie doceniałem. Zatem obaj będziemy czuwać nad bezpieczeństwem lady Elizabeth, zgoda? Zobaczmy, komu się uda.

- Łaskawy Jezu! - krzyknęła Elizabeth, mając już dość tego pojedynku. - Co was opętało? Kłóćcie się, jakby mnie tu nie było! Przypominacie mi dwa psy, walczące o kość leżącą na dziedzińcu. Jednak nie jestem kością! Jeżeli już musicie, to pokłóćcie się o Joannę. Mnie zostawcie w spokoju. Obaj - dokończyła, łypiąc gniewnie na brata Matthew. - Idę coś zjeść. Umieram z głodu. A jeśli któryś z was się zbliży, to przyrzekam, że wepchnę go do ogniska.

Matthew rzeczywiście wyglądał na przejętego, ale księżę wybuchnął głośnym śmiechem. Na pewno wiedział, że w istocie nic mu nie mogła zrobić.

- Staniesz się utrapieniem dla zakonnic, pani! - zawołał wesoło. - Czyż nowicjuszka nie powinna być cicha i uległa?

- W klasztorze tak, ale nie tutaj. - Po tych słowach Elizabeth odwróciła się i odeszła wielkimi krokami. Głosy obu mężczyzn stawały się coraz cichsze, aż wreszcie całkowicie umikły.

- Tylko jej dotknij, a cię zabiję - powiedział Peter i odgarnął z czoła mokre włosy.

Już z daleka rozpoznał głosy Elizabeth i fałszywego zakonnika. Wyskoczył z wody i ubrał się w rekordowym czasie. Miecz zostawił na ziemi, ale w zasięgu ręki, a do nogi miał przytroczony niezawodny sztylet. Tak na wszelki wypadek.

- Nie dbam o to, czy jesteś synem króla, czy rzeźnika - ciągnął złowieszczym tonem. - Tknij ją, a wyrwę ci serce.

Piękną twarz Williama rozjaśnił anielski uśmiech, wyćwiczony przez długie lata.

- Tak ci zależy na tej tyczce? Przecież złożyłeś śluby, choć teraz gramy tę komedię. Pamiętaj: mnich jej nie dostanie. Ale ja mogę... Załóżmy tylko, że żałuję poprzedniego życia i naprawdę



się w niej zakochałem. Weźmiemy ślub i zostanę porządnym człowiekiem.

- A kury zaczną mówić ludzkim głosem, świnie zaś latać - zimno odparł Peter. - Do tego czasu trzymaj się od niej z daleka.

- Coś mi się zdaje, że jesteś dla niej prawdziwym zagrożeniem, bracie Peterze. Ile już lat żyjesz w celibacie? Siedem, od chwili, gdy wróciłeś z krucjaty i postanowiłeś zamknąć się w klasztorze. Byłeś na dworze mojego ojca... Wiesz, to niesamowite, że pozostawałeś nieczuły na wdzięki najpiękniejszych dwórek w całej Anglii, a teraz zadurzyłeś się w Elizabeth z Bredon. Wprawdzie nie jest najmłodsza, ale za to wysoka, chuda, piegowata, przemądrzała i ruda - a to przecież znak diabła. Trzeba być szaleńcem, by taką pokochać. Nie wierzysz? Zapytaj choćby brata Adriana. Na pewno się ze mną zgodzi.

- W takim razie i tobie ona niepotrzebna. Wolisz zadawać ból małym dzieciom.

- Pod tym względem jestem podobny do mojego kochanego ojca. Poznałeś jego nową żonę? Miała dwanaście lat, kiedy ją poślubił. Z tego co wiem, moja własna matka zmarła w trzynastym roku życia.

- Łaskawy Bóg zaoszczędził jej widoku syna, który wyrósł na potwora.

- Kuisz los, bracie Peterze. Owszem, dopóki nie staniemy w sanktuarium Świętej Anny, masz pełne prawo zadbać o moje duchowe i fizyczne bezpieczeństwo. Ale co będzie, gdy pokuta minie i zostanę oczyszczony z grzechów? Każdy z nas wróci na swoje miejsce. Ty staniesz się na powrót zgorzkniałym mnichem, który przed laty złożył śluby czystości, ubóstwa i posłuszeństwa, a ja znów będę jedynakiem angielskiego króla. Mamy już jeden dawny zatarg. Nie myśl, że o tym zapomniałem.

- Aż drzę ze strachu - warknął Peter. - Powiadam: tknij ją, a zabiję.

William potrząsnął głową z fałszywym współczuciem.

- Uważaj... możesz zgubić swą nieśmiertelną duszę. To pewnie diabeł tak cię kusi. Diabeł zakłęty we włosach tej dziewczyny. Jakże inaczej mógłbyś zapomnieć o dawnych ślubach?

- Nie zapomniałem. Dobrze ci radzę, żebyś raczej zajął się swoją nieśmiertelną duszą, a nie moją. Dokończ pokutę. Jeśli przybędziesz do Świętej Anny bez nowych grzechów na sumieniu, to dawne będą ci wybaczone i rzeczywiście zaczniesz nowe życie.

- Moje sumienie jest czyste - gładko odparł William. - Zgrzeszyłem bez poczucia winy. Kto z nas więc jest szaleńcem?

- Jeszcze w to wątpisz? - Peter mógł zabić go choćby teraz. Jeden cios w gardło i po wszystkim. Nikt by się nigdy nie dowiedział prawdy. Mógłby powiedzieć, że zabójca zniknął w głębi kniei, zostawiając za sobą zimne ciało. Proste, prawda?

Tyle razy zabijał, że już dawno stracił rachubę. W jego wspomnieniach Ziemia Święta jawiła się jako morze krwi. Siedem lat za to pokutował. Nieważne, że jadąc tam, miał czyste intencje, i że chciał walczyć za sprawę Chrystusa. Nocami ciągle słyszał krzyki umierających. Nie tylko żołnierzy, ale kobiet, dzieci... Widział ocean ognia. Poprzysiągł sobie, że już nigdy nie dobędzie broni, chyba że w obronie niewinnej istoty. Do tej pory był wierny tamtej przysiędze.

Teraz jednak opadły go wątpliwości. „Pokuta” księcia była jedynie zwykłą maskaradą. Ochłapem rzuconym zrozpaczonemu ojcu. Za kilka dni William wróci do dawnego życia - i jeśli przedtem nie zdoła skrzywdzić Elizabeth z Bredon, to później nic już go przed tym nie powstrzyma.

Peter wyrzucał sobie, że to jego wina. Gdyby tak ostro nie stawał w jej obronie, książę nie zwróciłby na nią uwagi. Wybrałby raczej któregoś z młodszych rycerzy. Przecież już zdążył zaskoczyć Adriana nagłym przyływem niewczesnych atencji. Mężczyźni mieli przynajmniej prawo wyboru.

A może złamać kolejne śluby i wyznać wszystko Elizabeth? - zastanawiał się Peter. Wprawdzie przysięgał, że w tajemnicy

zachowa prawdziwą tożsamość „brata Matthew”. Nawet w zamku Wakebryght nikt się nie poznał na zamianie. Prawdę znało tylko ich trzech: Peter, Adrian i oczywiście księżę. Tak było najbezpieczniej.

William roześmiał się, jakby chciał rozładować rosnące napięcie.

- Zbyt się martwisz, bracie Peterze. Wcale nie palę się do tej damy. Sądziłem, że znasz mnie odrobinę lepiej. Najwyżej cenię młode, jędrne ciało i urodę. Przy mnie jest całkiem bezpieczna. Zapewniam cię, że bez żadnych przygód dotrzemy do klasztoru Świętej Anny.

Peter nie dał tak łatwo się oszukać.

- Przyjmuję słowa Waszej Wysokości. W takim razie nie widzę przeszkód, żebym otoczył ją opieką. Nie jest zbyt piękna, ale z braku kobiet każdemu grozi chwila słabości. Ty zaś masz dotrzeć do miejsca przeznaczenia tak czysty jak po spowiedzi w dniu wyjazdu z Londynu. Zgadzasz się ze mną?

- Jakże by inaczej? - cierpko przytaknął William. - Kilka dni mniej lub więcej nie robi różnicy. Jednak śmiem wątpić, by dobrze czuła się w klasztorze. Za dużo mówi.

Peter nie odpowiedział. Przysiągł własnemu opatowi, Bogu i królowi, że będzie chronił księcia od wszelkich niebezpieczeństw i w stanie łaski sprowadzi go z powrotem. Nie złamie ślubu i nie wbije miecza w czarne serce Williama.

Chyba że będzie musiał.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

---

**W**ygładasz, jakbyś zobaczyła ducha! - zawołała Joanna, kiedy zdyszana Elizabeth jak burza wpadła do obozu. - Tak? - Elizabeth odruchowo odgarnęła zmierzwione włosy z czoła i usiłowała przybrać obojętną minę. W ogóle jej się to nie udało. Po chwili pod czujnym spojrzeniem Joanny dała za wygraną.

- Bardziej należy bać się żywych niż martwych.

- Chyba masz rację. Gdzie byłaś? Myślałam, że razem odbędziemy spacer. Po dniu spędzonym w tym ciasnym wozie nogi aż rwą się do przechadzki.

Elizabeth miała poczucie winy. Nie było to przyjemne.

- Wybacz... Najpierw wdałam się w rozmowę z bratem Matthew, a potem poszliśmy nad strumień. Tam spotkaliśmy księcia Williama. Nie wiedzieć czemu, zaczęli się kłócić. O wiele bardziej wolałabym być z tobą.

Joanna uniosła brwi ze zdziwienia.

- Księżę i mnich? To musiał być piękny widok. O co się pokłócili? O ciebie?

- Niby dlaczego? - zaperzyła się nagle Elizabeth. - Nie odpowiadaj. Doskonale wiem, że jestem brzydka. Żaden mężczyzna nie chce na mnie spojrzeć.

- Mam nadzieję, że w klasztorze nauczą cię lepiej kłamać - odparła Joanna z miną niewiniątka.

Elizabeth zdawała sobie doskonale sprawę, że jej zapewnienia nie były prawdziwe. Ale co miała powiedzieć? Sama nie wiedziała, dlaczego wpadła w oko czarnemu księciu, człowiekowi o wielkiej władzy, grzesznemu i przystojnemu. Przecież mógł wybierać. Pani Joanna górowała nad nią urodą i doświadczeniem. A jeśli wolał chłopców, to nawet pod tym względem nie powinien narzekać. W

skład orszaku wchodziło zadziwiająco wielu urodziwych młodzieńców. Choćby brat Matthew, który był równie ładny jak Joanna.

Elizabeth doznała nagłego olśnienia. Znowu stała się pionkiem w rozgrywce między mężczyznami. W domu było to samo. Żaden z nich mnie nie chce, pomyślała. Tutaj chodzi wyłącznie o męską ambicję. Obaj usiłują sobie przeszkodzić.

To była przygnębiająca myśl. Elizabeth wyraźnie posmutniała.

- Głodna jestem - powiedziała, żeby zmienić temat. - Co na wieczerzę?

- Królik. Często wyjeżdżałaś poza mury zamku, milady? Uwierz mi, nie ma nic lepszego niż świeżo upolowana zwierzyna, pieczona nad ogniskiem.

- Wierzę ci na słowo - z powątpiewaniem odrzekła Elizabeth. - Do tej pory zawsze sypiałam pod dachem we własnym domu, a raz w zamku Wakebryght. To dla mnie zupełnie nowe doświadczenie. W jaki sposób spędzimy noc?

- Na ziemi, milady. Zawiniemy się w płaszcze i koce wyjęte z wozu.

- Mówisz tak, jakbyś miała się z czego cieszyć.

- Bo to prawda. Uwielbiam las i otwartą przestrzeń. Świeże powietrze i rozgwieżdżone niebo pozwalają zapomnieć o wszelkich niewygodach.

- A kąpiel w zimnym strumieniu jest lepsza od nagrzanej balii?

- spytała Elizabeth i przypomniała sobie księcia Williama nad potokiem. Miał mokre włosy, koszulę przylepioną do wilgotnego ciała i nogawice...

- Przynajmniej można się orzeźwić.

- Zdziwiasz mnie, pani Joanno. Na pierwszy rzut oka sprawiasz wrażenie rozpieszczonej damy, nieprzywykłej do trudów i niewygód. Tymczasem tęsknisz za przygodą.

- To jedyna wolność, jaka mi pozostała - odpowiedziała z prostotą Joanna. A potem uśmiechnęła się, ale uśmiech nie

rozjaśnił smutnych oczu. - Nie zwracaj na mnie uwagi, milady. Po prostu przypomniałam sobie, jak dawniej uciekałam z domu, żeby biegać po lesie. Nic nie zastąpi nam wspomnień z dzieciństwa, prawda?

Elizabeth zastanawiała się przez chwilę. Porywczy ojciec o ciężkich pięściach, złośliwi bracia, samotność po utracie kolejnej macochy... Zanim zdążyła dobrze poznać smak dzieciństwa, już musiała wziąć na siebie rolę gospodyni, prowadzącej dom dla grupy leniwych i zepsutych mężczyzn.

- Coś mi się zdaje, że więcej radości znajdę w nowym życiu.
- Być może.

Elizabeth spojrzała na drugą stronę polany. Podróżujący rozpadli się na mniejsze grupy. Przy jednym ognisku siedzieli rycerze. Stamtąd też bił smakowity zapach pieczonego królika. Sześciu mnichów skupiło się przy drugim ogniu. Także coś pichcili, ale woń była jakby nieco gorsza. Na ogół duchowni jadali dość suto. Może tym razem mieli powód do umartwiania się? Jakkolwiek było, poprzestali chyba na jarzynach, pachnących niczym gotowane chwasty.

Brat Matthew stał z boku, przypatrując się pozostałym. Sprawiał wrażenie, jakby na swój sposób dowodził grupą zakonników. Rzadko pomagał im w codziennych zajęciach. Zwykle tylko patrzył. Zapewne poczuł na sobie wzrok Elizabeth, bo zerknął na nią i uśmiechnął się w sposób, który potrafił skruszyć najbardziej nieczułe serca.

- Na twoim miejscu byłabym ostrożna, lady Elizabeth - mruknęła Joanna tuż nad jej uchem.

- Mam obawiać się zakonnika? - zapytała zdumiona. - Przecież przy nim będę najbardziej bezpieczna.

- Mężczyźni są zupełnie inni, niż nam się wydaje. Wszyscy - stanowczo oznajmiła Joanna. - Nieważne, czy to mnich, rycerz, czy udzielny książę.

- A niewiasty? Zawsze są szczerze?



- Wystarczy, że popatrzysz na mnie. Wyglądam jak ladacznica, bo rzeczywiście jestem ladaczną. Kiedy się znudzę mężczyznom, gdy zbrzydnę i się zestarzeję, zapewne skończę na ulicy jako żebraczka.

Elizabeth milczała przez długą chwilę. Potem pokręciła głową.

- Bzdury - powiedziała rażno. - Zawsze możesz odmienić swoje życie. Jestem pewna, że siostry z klasztoru Świętej Anny powitają cię serdecznie.

- Wątpię.

- Wystarczy, że dostaną spory datek - zauważyła Elizabeth. - Nie jestem tak zupełnie głupia, pani Joanno. Trochę znam się na tym świecie. Wiem, że trzeba mieć pieniądze, żeby wkupić się w łaski Pana. Mój kochany ojciec bardzo długo i głośno wypominał mi, ile musiał stracić, żeby nareszcie pozbyć się mnie z zamku. Masz klejnoty, nie jesteś więc biedna. Możesz zostać w klasztorze, oczywiście jeśli będziesz chciała.

Joanna lekko dotknęła mieszka wiszącego u pasa, jakby chciała sprawdzić, czy tam jeszcze się znajduje.

- Przychodzę z ciężkim brzemieniem grzechów. Naprawdę uważasz, że to okupię garścią świecidełek?

- A jako świecka duchowna?

- Musisz się jeszcze dużo nauczyć, moja mała. Duchowieństwo świeckie niewiele się różni od darmowej służby. Ciężka praca w zasadzie za nic.

- Ależ to właśnie robią wszystkie zakonnice! Niosą ludziom dobroć, nie oczekując w zamian nagrody.

- Takie jest twoje powołanie, siostrze Elizabeth? Wydawało mi się, że jesteś za mądra i zbyt ciekawa świata, aby tęsknić za życiem pełnym wyrzeczenia.

- No cóż, pod tym względem przyznaję ci rację. - Elizabeth westchnęła. - Szczerze mówiąc, wolałabym więcej czasu poświęcić na naukę, choćby ziołolecznictwa, niż mamroczać pacierze, sprzątać klasztorną stajnię. To próżne marzenia. Z pokorą przyjmę

każde poniżenie.

- Dlaczego? Każdy ma w sobie ukryty talent. Z pewnością w naszym kraju znajdzie się dość takich, którzy lepiej od ciebie nadają się do stajni. Większość ludzi uważa, że to rola dla mnie, ale ja z kolei wolę wciąż żyć w grzechu, byle spać w ciepłym łóżu i chodzić z pełnym brzuchem. Po co mi łachmany, nawet w stanie łaski?

- Nawet jeśli to łóże Owena z Wakebryght? Piękne usta Joanny wykrzywił bezlitosny uśmiech.

- Wszystko ma swoją cenę. To już powinnaś wiedzieć. W życiu nie ma nic za darmo. Sama dokonałaś pierwszego wyboru - odrzuciłaś wiedzę w zamian za domniemaną wolność. Nie będziesz mieć dzieci, bo nie lubisz mężczyzn.

- A ty masz dzieci? - z ciekawością spytała Elizabeth.

- Nie. Moje ciało do tego się nie nadaje.

- Moje też nie.

- Skąd wiesz? Myślałam, że jesteś dziewicą.

- Oczywiście, że jestem! Ale nie zapominaj, że pomagałam przy wielu porodach. Wszyscy mówili mi, że mam za wąskie biodra, aby myśleć o macierzyństwie. To są, rzecz jasna, tylko czcze domysły, bo nie zamierzam wpuścić mężczyzny pod spódnicę - nawet wtedy gdy któryś z nich mnie zechce. To niemożliwe.

Joanna pokręciła głową.

- Jak na tak bystrą młodą damę wydajesz się ślepa.

- Wręcz przeciwnie. Mam dobre oczy.

Ktoś nerwowo chrząknął za ich plecami. Elizabeth odwróciła się i zobaczyła brata Adriana. Niemal dorównywał jej wzrostem, ale pochylił głowę, żeby nie musiał patrzeć w oczy żadnej z kobiet. Przyniósł gorącą strawę, pieczonego królika.

- Bracie Adrianie! - z radością wykrzyknęła Elizabeth. - Jesteś zbawieniem dla niewiasty!

Sięgnęła po cynowy talerz.

Adrian zaburczał coś pod nosem i niemal wypuścił z rąk drugą

porcję, ale Joanna była szybsza. Ich palce zetknęły się na krótki moment. Adrian odskoczył jak oparzony, lecz ciągle nie podnosił głowy. Odwrócił się gwałtownie i uciekł bez jednego słowa. Gnał, jakby go diabeł gonił.

Joanna popatrzyła na swoją towarzyszkę. Elizabeth z namysłem spoglądała za umykającym mnichem.

- Ciekawe, co go tak przestraszyło - powiedziała Joanna. - Pewnie myśli, że wszystkie kobiety to nasienie szatana.

- Mnie się nie boi.

- Nie? W takim razie obecność zatwardziałej grzesznicy tak źle działa na jego święte uczucia. W tobie widzi jedynie przyszlą zakonnice - *orzekła* Joanna bez cienia urazy. - A może raczej się obawia, że nie dotrzyma ślubów?

- Nie mów tak! To okropne. Brat Adrian jest miłym i bogobojnym chłopcem...

- Co ty powiesz? Spotkałam w życiu paru miłych chłopców i uwierz mi, że bez względu na to, czy nosili habit, czy koronę, myśleli o jednym. Zwykle kończyło się nie tylko na myśleniu. Pamiętaj o tym, kiedy już bezpiecznie znajdziesz się za murami klasztoru.

- Nie przywykłam uwodzić mężczyzn, którzy złożyli śluby czystości.

Joanna obrzuciła ją niespiesznym, taksującym spojrzeniem i wzięła do ust kęs pieczeni.

- Zobaczymy - odrzekła krótko. Nie bacząc na strojną suknię, usiadła wprost na ziemi.

Elizabeth poszła za jej przykładem. Kiedy zjadła, poczuła przypływ energii. Niestety, Joanna najwyraźniej nie podzielała jej ożywienia. Owinięta w płaszcz, położyła się pod drzewem i zaczęła przysypiać.

Reszta oddziału też szykowała się do snu.

Rozległ się chór głosów. To zakonnicy recytowali wieczorną modlitwę. Elizabeth oparła się o pień drzewa i przymknęła

powieki. Lekki wiatr targał jej długie włosy. Zastanawiała się, czy po prostu nie obciąć ich nożem, nie czekając na oficjalne postrzyżyny. Nie dość, że były rude, to jeszcze ciągle przeszkadzały. Z krótkimi zrobię lepsze wrażenie na przeoryszy, uznała.

Joanna miała niewielki sztylet z bogato zdobioną rękojeścią. Kłopot w tym, że już smacznie spała, a Elizabeth nie chciała jej budzić. Zresztą od niej nie mogła oczekiwać pomocy. Piękna kurtyzana na swój własny sposób oceniała urodę przyjaciółki. Jeszcze trochę i wmówi mi, że mogę się podobać, pomyślała Elizabeth. Wbrew temu co zawsze powtarzał mi ojciec... Kłopot w tym, że Joanna nie była jedyna. Cóż bowiem powiedzieć o zachowaniu księcia Williama i brata Matthew?

Zakonnicy skończyli pacierze i poukładali się wokół małego ogniska. Noc była bardzo ciepła i nikt nie zatroszczył się o to, by dołożyć do ognia. Wystarczył zaledwie żar dla rozproszenia mroku. Elizabeth rzuciła okiem w kierunku rycerzy. Jeszcze nie spali. Z daleka słychać było ich szorstkie głosy. Ciekawe, który z nich to książę? - pomyślała. Przecież powinnam łatwo go rozpoznać. Jest najwyższy z nich wszystkich...

Elizabeth głęboko zaczerpnęła tchu, tknięta nagłą myślą. Przecież to takie proste! Jej zainteresowanie księciem, które u innych dziewcząt wypadałoby nazwać głębszą fascynacją, wynikało z arytmetyki. William był tak wysoki jak stary ksiądz Bennett. Elizabeth musiała zadzierać głowę, żeby na niego spojrzeć. Na wszystkich innych patrzyła z góry, nic więc dziwnego, że książę budził jej ciekawość.

Teraz, kiedy już to wiedziała, mogła powściągnąć uczucia. Bo niby co ją miało łączyć z tym niebezpiecznym i okrutnym człowiekiem? W jej przyszłości nie było dla niego miejsca. Zresztą nie tylko dla niego. Dla wszystkich mężczyzn. I bardzo dobrze, upewniła się w duchu.

W tej samej chwili spostrzegła księcia. Trzymał się nieco na

uboczu, podobnie jak brat Matthew. Chociaż był synem króla, nikt nie zatroszczył się o to, żeby zapewnić mu schronienie. Nikt nie postawił nawet szafasu. Może to także część pokuty? William stał z wysoko uniesioną głową, jakby patrzył w niebo. Elizabeth poszła za jego spojrzeniem. Zobaczyła księżyc w kwadrze, rzucający srebrną poświatę na pobliskie drzewa. Wiatr pędził kilka przypadkowych chmur. Zapowiadał się piękny wiosenny dzień, w sam raz dogodny do podróży. Elizabeth po cichu żałowała, że nie pozwoliła jej wsiąść na konia.

Nie ułożyła się do snu. Równie dobrze mogła spać na siedząco. Nieraz jej się to zdarzało podczas mszy w kaplicy w zamku Bredon. Wystarczyło zamknąć oczy i odpocząć... Zapomnieć o wszystkich pytaniach, które dręczyły ją na jawie. Myśleć o Bogu, o klasztorze, o świątobliwych zakonnicach...

Nagle przypomniał jej się William - w mokrej koszuli, z gniewnym spojrzeniem skierowanym na wychodzącego z krzaków mnicha.

Gwałtownie otworzyła oczy, żeby odpędzić to wspomnienie. W tej samej chwili jej wzrok padł na księcia.

Wyczuła, że na nią patrzy, chociaż twarz miał ukrytą w mroku. Czuła żar bijący od tego spojrzenia. Grzał ją mocniej niż ogień, wdzierał się pod skórę, przenikał do brzucha, błędził wokół piersi, zdawał się dotykać wszystkich zakamarków ciała.

To szaleństwo. Na pewno nie mógł jej zobaczyć. Była noc... Zapewne siedział zatopiony w myślach. Lubił krzywdzić niewinnych...

Tak, ale w pobliżu była tylko jedna niewinna istota. Elizabeth nie chciała, żeby o niej myślał.

Nie poruszał się. Nie wiadomo, czy czuwał, czy zasnął.

Odepchnęła się ręką od drzewa i wstała. Joanna spała, a księżę wciąż siedział nieruchomo. Naprawdę mu się spodobałam? - pomyślała Elizabeth. A może mam przywidzenia, związane ze zmęczeniem długą podróżą? Albo Joanna podsunęła mi ten

niedorzeczny pomysł?

Ale to przecież nie Joanna kazała mu ją pocałować. Nie za jej podszeptem klócił się nad strumieniem z bratem Matthew.

Elizabeth powoli ruszyła w stronę księcia. Nikt na nią nie zwracał najmniejszej uwagi. Zakonnicy spali, a rycerze popijali wesoło, siedząc przy ognisku. William ich nie obchodził. A on ciągle patrzył. Teraz to już wiedziała. Gdyby miała choć trochę zdrowego rozsądku, skręciłaby między drzewa, udając, że musi udać się na stronę.

Jednak ona szła dalej, jakby popychana wewnętrznym nakazem. Była już blisko, a mimo to William nie wyszedł jej na spotkanie. Po prostu stał pod rozłożystym drzewem, patrzył na nią i czekał.

Niczym myśliwy, czyhający koło pułapki na króliki. A ona mimo wszystko nie mogła mu się oprzeć.

Adrian leżał na boku, bacznie obserwując tę scenę. Bał się poruszyć i bał się dalej leżeć. Brat Peter przydzielił mu ważne zadanie, a on nie zwykł kwestionować jego poleceń. Miał dniem i nocą - nawet kosztem własnego wypoczynku - pilnować fałszywego brata Matthew. Książę Anglii był naprawdę groźny. Nie należało stawać do niego tyłem. Nie należało nawet zamykać oczu szczególnie wtedy, gdy w pobliżu kręciły się kobiety.

Kobiety, pomyślał Adrian. Wszystko byłoby o wiele prostsze, gdyby stąd zniknęły. Właśnie widział, jak lady Elizabeth bez cienia wahania szła w stronę człowieka, o którym słyszała, że jest okrutnym i groźnym mordercą. Boże, uchwaj nas od sprytnych niewiast, myślących, że są nietykalne!

Mnie zaś uchwaj od pięknej i mądrej damy, która śpi za blisko mojego pośłania, modlił się w duchu Adrian. Od Madonny i Magdaleny zaklętych w jedno ciało.

Czuł ucisk w piersiach na wspomnienie smętnego uśmiechu pani Joanny. A kiedy poruszała się z niewymowną gracją...

Adrian znał swoje obowiązki. Miałyby je porzucić dla wdzięków



damy? No cóż, brat Peter zachowywał się jeszcze gorzej. Nie potrafił oderwać oczu od rudowłosej, chudej jak tyczka dziewczyny.

Lady Elizabeth podeszła do brata Petera. Jej suknia szeleściła cicho przy każdym kroku. Peter nie uczynił nawet najmniejszego ruchu, żeby się odwrócić. Księżyc świecił nadzwyczaj jasno, ale prócz Adriana nikt na nich nie patrzył.

Odejdź od niej, pomyślał Adrian. Sam nie wiesz, na co się narażasz.

Peter na pewno by go wyśmiał. Twierdził, że jest nieczuły na takie wyzwania. Jednak Adrian widział tęsknotę w jego oczach. Czuł to samo, kiedy spoglądał na piękną panią Joannę.

Wszyscy z nich byli potępieni.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

---

Peter stał bez ruchu, czekając na dziewczynę. Bo to była dziewczyna, chociaż nieco starsza od wielu, które dawno już wyszły za mąż i dorobiły się gromadki dzieci. Zdumiewała go swoją naiwnością. Bez najmniejszego cienia obawy narażała się na niebezpieczeństwo. Choćby teraz... Szła, furkocząc suknią niczym nocna zjawa. Gdyby miał dość rozsądku, schowałby się pomiędzy drzewa.

Ale nie! Stał w świetle księżycy i czekał.

Wiedział, że to będzie wyjątkowo ciężka próba. W przeszłości nie stronił od cielesnych uciech, na pokutę wybrał więc zakon o bardzo surowej regule. Nie dla niego było towarzystwo dobrze odżywionych cystersów. Wyszukał sobie coś innego: życie pełne trudów i wyrzeczeń, w prawdziwie spartańskich warunkach.

Kłopot w tym, że wtedy powrócił z krucjaty i nie w głowie mu były żadne przyjemności. Zasłużył na najcięższą i najdłuższą karę. Praca powstrzymywała go od szaleństwa.

Pewien czas spędził nawet na dworze króla Jana, otoczony rojem pięknych, zmysłowych i wyperfumowanych kobiet. Damy dworu wręcz uważały, że ich obowiązkiem jest zaciągnąć do łóżka przystojnego mnicha. Ich umizgi nie były mu zupełnie obce, bo przed laty w pełni korzystał z uroków życia. Rankiem niejedna dwórka odprowadzała go rozanielonym wzrokiem.

To jednak należało do przeszłości. Od siedmiu lat nie uległ żadnej. Owszem, pozwalał im flirtować, śmiać się, zaglądać w oczy i kłaść rękę na ramieniu. Sam pozostawał bierny i nieprzenikniony. Dlaczego zatem widok długonogiej, chudej, rudowłosej dziewczyny sprawiał, że nagle chciał zerwać z abstynencją?

Łatwiej odeprzeć grzech, kiedy się go unika, lecz Peter nigdy nie szedł na łatwiznę. Wolał cierpieć w pobliżu lady Elizabeth i

myśleć o jej słodkich ustach, niewinnych oczach... i o tym, do czego mógłby ją namówić.

Opierał się o drzewo i patrzył w jej stronę, ale podświadomie napinał wszystkie mięśnie, jakby szykował się do ucieczki. Może nie zdołam pokonać pokusy? - myślał. O wiele łatwiej radził sobie z nudnymi pięknościami. Pierwszy raz w życiu miał do czynienia z niewinną świeżością - taką jak Elizabeth z Bredon.

- Jesteś głupia - odezwał się tonem swobodnej konwersacji, kiedy zbliżyła się do niego na odległość zaledwie paru kroków.

Elizabeth stanęła jak wryta i przybrała zdziwioną minę. Lekki wiaterek rozwiewał jej długie włosy. Peter miał chęć podbiec do niej i chwycić ją w ramiona... Tymczasem nawet nie drgnął.

- Słucham, Wasza Wysokość? - powiedziała niemal bez tchu. Zatem wiedziała, na co się naraża. Przynajmniej częściowo.

- Wracaj na swoje posłanie. Nie powinnaś sama włóczyć się w nocy po lesie. Pełno tu dzikich bestii... i jeszcze dzikszych ludzi.

Przyglądała mu się uważnie w bladym świetle księżyca. Nie przywykł do tego, żeby patrzeć kobietom prosto w oczy. Nie dostrzegł w jej spojrzeniu nawet cienia fałszu albo kłamstwa.

- Ty, panie, jesteś jedynym dzikusiem, jakiego tu poznałam - odpowiedziała.

- Przecież mówiłem już, że jesteś głupia. A może nosisz się z nadzieją, że zostaniesz świętą męczennicą? Wiedz zatem, że jeśli teraz cię zgwałcę i zabiję, to nie doczekasz się uznania. Pochowają cię i zapomną. Znajdź sobie inną drogę do świętości.

- Nie zgwałcisz mnie i nie zabijesz – odparła z tak spokojną pewnością siebie, że niemal się roześmiał.

- A to dlaczego?

- Bo nie należę do niewiast, które rozpalają namiętność i chęć mordy.

- Zatem powtórzę po raz trzeci: jesteś głupia. Możesz mi wierzyć, że niejeden z ochotą by cię zabił. Nawet najłagodniejszy z nas.

- Brat Matthew nie podziela tych morderczych uczuć - odparła. Peter ze zgrozą uniósł wzrok ku niebu. Przecież sam prosił Boga o jak najcięższą karę... Widać Pan wysłuchał jego żarliwych modlitw.

- Ile masz lat, lady Elizabeth?

- Siedemnaście.

- W takim razie jesteś wystarczająco dorosła, aby wiedzieć, że pozory mylą. Nie każdy mężczyzna jest taki, na jakiego wygląda.

- Wychowywałam się wśród mężczyzn i, moim zdaniem, to zupełnie proste, tępawe istoty. Pochlebiam sobie, że znam się na ludzkich charakterach.

- Naprawdę? To dlaczego stoisz nocą, zupełnie sama, przed człowiekiem, o którym powszechnie wiadomo, że zgładził kilka niewiast? Albo dajesz tym dowód, że brak ci rozsądku, albo nie wierzysz plotkom. Powiedz, rzeczywiście myślisz, że jestem miły, łagodny i wszystko, co o mnie mówią, to wierutne kłamstwa?

Błąd. Podeszła krok bliżej, a on nie mógł się cofnąć. Nie wiedziała, że igra z ogniem, i spokojnie patrzyła mu prosto w oczy, jakby usiłowała z nich wyczytać prawdę. On zaś w ogóle nie krył przed nią rozterki. Nie przybrał beznamietnej maski, za którą krył się w obecności ludzi. Chciał, by dziewczyna spojrzała mu w głąb serca, i zrozumiała, że ma do czynienia z monstrem.

Elizabeth powoli pokręciła głową. Rudy pukiel zawinął się jej wokół szyi.

- Widzę mrok - powiedziała. - Dotkliwy ból, coś straszego. - Wydawała się zaskoczona tym odkryciem, lecz nie uciekła.

Przeciwnie, wyciągnęła rękę i delikatnie położyła mu dłoń na przedramieniu. Peter z trudem powstrzymał się od jęku.

- Uchodź stąd, pani - szepnął. - Trzymaj się jak najdalej od wszelkich niebezpiecznych stworzeń, czy to w postaci księcia, czy też zakonnika. Żaden z nas nie jest dobry.

- Ostrzegasz mnie przed bratem Matthew? Klął w duchu jej przenikliwość. Podobno znał się na kobietach, a zapomniał, że

jak się je odpędza, to podchodzą bliżej.

- Ostrzegam cię przed całym światem - odrzekł.

- Uważasz zatem, że brat Adrian też ukrywa, że jest lubieżnikiem?

- Nie martw się o Adriana. Bez względu na okoliczności, potrafi dotrzymać ślubów.

- A Matthew nie? Spoglądałam mu prosto w oczy, panie, i dostrzegłam tam jedynie dobroć. Nie było w nich poczucia winy ani skruchy. Ma czystą duszę.

- Czystą, bo nie popełnił grzechu czy też nie czuje się odpowiedzialny? Na dobrą sprawę nawet sam diabeł ma wobec siebie czyste sumienie.

- Teraz mi wmawiasz, że brat Matthew jest wcielonym diabłem?

Z trudem powstrzymał się, żeby nie chwycić jej za ramiona i nie potrząsnąć, by oprzytomniała. Wierzył, że zobaczyła jego ciemną duszę, lecz nie rozumiał, jak mogła patrzeć w oczy Williama i nie rozpoznać, kim jest naprawdę.

Zapragnął o wszystkim jej powiedzieć. Ujawnić podstęp i przypomnieć, co świątobliwy braciszek Matthew zrobił córce barona Neville'a.

Chciał, ale nie mógł. Jedyne, co mu pozostało, to bezpiecznie dowieźć ją do klasztoru Świętej Anny.

- Czego ode mnie żądasz, lady Elizabeth? - spytał znużonym głosem i znacząco popatrzył na jej dłoń, ciągle spoczywającą na jego ręku. Nosiła bardzo skromną biżuterię. To dziwne. Nawet przeorysza klasztoru Świętej Anny miała na palcach ciężkie pierścienie. - Szukasz przygód, zanim na zawsze schowasz się w zakonie? Znajdź sobie zatem kogoś, kto będzie mniej groźny.

I mniej w ciebie zapatrzonej, dodał w duchu.

Mnisi i rycerze widzieli w nim dowódcę, chociaż nie znali jego prawdziwej tożsamości. Nikt nie sprzeciwił się jego rozkazom.

- Taki jest właśnie brat Matthew. Mniej groźny od ciebie,

panie. Może zaprzeczysz?

Była tak blisko, że czuł zapach kwiatów bijący od jej włosów. Nikt na nich nie patrzył. Peter pomyślał, że dwa razy ją pocałował - raz w czoło, raz w usta. A przecież chciał obsypać pocałunkami jej całe ciało - ramiona, piersi, brzuch...

Delikatnym, lecz stanowczym ruchem odsunął jej rękę.

- Czego ode mnie chcesz, lady Elizabeth? - powtórzył. - Chyba nie przyszłaś do mnie w środku nocy, żeby rozmawiać o zakonniku.

- Tak. Właśnie po to - odparła. - Nie rozumiem, dlaczego jesteś dla niego tak oschły, panie. Przestań mu dokuczać.

Spojrzał na nią.

- Mam... przestać? - spytał z niedowierzaniem.

- Na czas pokuty powinieneś oczyścić swą duszę, panie.

Arogancja i złośliwość w niczym ci nie pomogą.

Od dawna nikt go nie oskarżał o arogancję. Ciekawe... Przecież to jeden z jego dawnych grzechów, którego bardzo chciał się pozbyć. Widocznie mu się nie udało.

Nie wiedział, czy w tej chwili powinien ją uderzyć, czy raczej pocałować. Rzecz jasna zachował spokój. Zatęsknił za klasztorną celą, w której nie było miejsca dla tak denerwujących istot jak Elizabeth z Bredon.

- Jeśli jedynie chciałaś bronić brata Matthew, to wiedz, że z pokorą przyjąłem tę nauczkę. A teraz wbij sobie do głowy, że jeśli jeszcze raz zobaczę was gdzieś na przechadzce, to resztę podróży spędzisz na wozie związana i zakneblowana.

Warto było to powiedzieć, żeby zobaczyć wyraz zaskoczenia, malujący się na jej twarzy.

- Nie odważyłbyś się!

- Myślisz, że nie? A z kim rozmawiasz? Zapomniałaś, do czego jestem zdolny? - Tak jak tego się spodziewał, nic nie powiedziała.

- Jeśli skończyłaś, to wracaj do pani Joanny i więcej nie wtrącaj się w męskie sprawy.



- Nie skończyłam. - Elizabeth wciąż stała przed Peterem. W głębi duszy podziwiał jej odwagę. Odwagę oraz umysł, a także niewinne spojrzenie, pełne usta, łabędzią szyję...

- Mów dalej - powiedział lodowatym tonem.

- Potrzebny mi nóż.

Tym razem poczuł się zbity z tropu.

- Nie masz noża? To czym kroisz jedzenie?

- Miałam małeńki sztylet z inkrustowaną rękojeścią. Pamiątkę po matce. Tuż przed wyjazdem zabrał mi go jeden z braci. Powiedział, że w klasztorze nie będzie mi potrzebny. „Tam musisz być uległa” - to jego własne słowa. Uznałam, że w podróży też mi się nie przyda.

- Teraz zmieniłaś zdanie? W rzeczy samej, na trakcie zdarzają się różne rzeczy. Jednak nie wyobrażam sobie, żebyś kogoś dźgnęła.

Obrzuciła go przeciągłym spojrzeniem.

- Nigdy nic nie wiadomo - mruknęła.

Miał szczerą ochotę parsknąć śmiechem. Nie było na nią sposobu. Nie powstrzymywały jej groźby, zaklęcia ani błagania.

Peter zawsze nosił przy sobie mały nóż zatknięty za pas pod koszulą, tuż przy ciele. Bez wahania sięgnął za pazuchę i podał go Elizabeth, trzonkiem do przodu.

Od razu zrozumiał swój błąd. Nawet książkę z nieprawego łoża - ale książkę — miałby broń bogato zdobioną klejnotami. Jego nóż był oprawny w zwykłe drewno. Ot, proste narzędzie ubogiego mnicha.

Elizabeth wzięła nóż bez słowa i schowała go do rękawa.

- Muszę obciąć włosy - powiedziała. Peter drgnął.

- Dlaczego?

- Są rude, a to znak diabła... i zwracają za dużą uwagę. Poza tym przeszkadzają. Przecież i tak w klasztorze czekają mnie postrzyżyny. Jeżeli je obetnę teraz, zrobię zdecydowanie lepsze wrażenie na przeoryszy.

- Do tej pory tak pilnie nie dbałaś o wygląd.  
- Bo nie mogłam - odpowiedziała krótko. - Przez siedemnaście lat te włosy były moim przekleństwem i zmartwieniem. Chcę je obciąć.

- Skoro wytrzymałaś aż siedemnaście lat, to wytrzymasz jeszcze te dni, które nas dzielą od klasztoru Świętej Anny - odparł Peter. - Zrobisz wrażenie na przeoryszy. O ile ją znam, sama zechce je obciąć i spalić.

- Znasz przeoryszę od Świętej Anny, panie? Znów dał się złapać. Jest zbyt rezolutna! Skąd książę William, syn angielskiego króla, miałby znać prostą zakonnice z odległego wiejskiego klasztoru na południu kraju? Nawet nie próbował jej tego wyjaśnić.

- Nie obetniesz włosów - orzekł nieznośnym sprzeciwu tonem. - Nóż jest ostry i zapewne rozciąłabyś sobie rękę. Kiedy wykrwawisz się na śmierć, kto poniesie za to winę? Znów wszystko spadnie na mnie. Nie, dziękuję. Nóż możesz zatrzymać. Przyda ci się, gdybyś chciała odstraszyć jakiegoś napastnika. Chociaż myślę, że twój język jest dużo skuteczniejszą bronią. Włosów nie tykaj.

Oczywiście nie zamierzała poddać się bez walki. Doprawdy była utrapieniem.

- Wyglądają niczym ognisko w lesie! - zaprotestowała. - Mogą ściągnąć uwagę bandytów.

- Zatem noś kaptur! - wykrzyknął Peter. - A teraz idź już spać i daj mi święty spokój. Chyba że chcesz położyć się przy mnie.

To było dobrze powiedziane. W sam raz w stylu lubieżnego księcia. Z tą różnicą, że prawdziwy William bez pytania wzięłby ją pod siebie.

Kłopot w tym, że ostatnie zdanie nie padło z ust Williama. To Peter pytał, Peter zgrzeszył i z zapartym tchem czekał na odpowiedź.

- Szaleństwo płynie w krwi Andegawenów, prawda? Czy to

odziedziczyłeś raczej po matce? - spytała.

- Świat będzie dużo lepszy, kiedy wreszcie znikniesz za klasztorną bramą - odrzekł. - Nigdy nie przestaniesz gadać? Z ochotą bym ci odciął język.

- Wątpię. Kiedy dotrzemy do Świętej Anny, pewnie umilknę na resztę życia. Sam przecież mi mówiłeś, panie, że to zakon kontemplacyjny, wierny modlitwie i medytacjom. Wciąż jednak nie wiem, skąd u ciebie tak dokładne wieści. Nie przypominam sobie, abyś w przeszłości miał coś wspólnego z duchowieństwem.

Jeszcze jeden błąd, który mógł go drogo kosztować. Chociaż tym razem całkiem świadomie ją okłamał. Zakonnice od Świętej Anny paplały tak samo jak wszystkie kobiety. Pod tym względem słodka Elizabeth do nich pasowała. Była jak mały zażarty terier, który wpił zęby w szczura i nie zamierza puścić swej zdobyczy.

On zaś poczuł się trochę zmęczony tą zabawą i ze wszystkiego najbardziej chciał jej zamknąć usta. Najlepiej pocałunkiem.

- Ostatni raz powtarzam, lady Elizabeth. Idź, połóż się obok pani Joanny albo wejdź ze mną w głąb lasu i podwiń spódnicę.

Zamilkła ze zdumienia na krótką błogosławioną chwilę.

- Nie!

- Wolisz tutaj? Nie mam nic przeciwko temu. - Sięgnął dłonią do pasa. - Publiczność mi nie przeszkadza.

Uderzyła go w twarz. Policzek był wystarczająco głośny, żeby zwrócić uwagę zbrojnych, siedzących przy ognisku. Nawet niektórzy zakonnicy rozglądali się zaszpanym wzrokiem, szukając źródła hałasu.

Nikt nie wiedział, kto kogo uderzył. Niewiasty nigdy nie były mężczyzn, a już na pewno nie księcia. Wszyscy zatem uznali, że zrobił to William. Gdyby tak jednak było, biedna Elizabeth leżałaby na ziemi, a on drapieżną ręką darłby na niej suknię.

Dziewczyna wyglądała na szczerze przestraszoną.

- Błagam o wybaczenie! - zawołała roztrzęsionym głosem. - Nie wiem, co mi się stało. Nigdy w życiu nikogo nie uderzyłam.

- Jak widzisz, przyjąłem to raczej ze spokojem - zauważył Peter. Cios był naprawdę silny i policzek szczypał go jak wszyscy diabli. - Co mam zrobić w zamian? Kto podnosi rękę na królewskiego syna, nie może ujść kary.

Elizabeth była blada jak ściana. W świetle księżyca widział strach malujący się w jej pięknych oczach.

- Możesz mnie uderzyć - szepnęła cicho. Pokręcił głową.

- Licha przyjemność.

Jeszcze jedno kłamstwo, ale miał nadzieję, że tym razem dziewczyna tego nie zauważy. Nie dlatego, że sam lubił bić kobiety. Taka reakcja nie pasowała do wizerunku księcia, który na pewno znała Elizabeth.

Otworzyła usta, aby coś powiedzieć, jednak natychmiast je zamknęła. Chyba nareszcie zrozumiała, że zapędziła się za daleko.

- Bardzo mądrze - pochwalił. - Podjęłaś niebezpieczną grę. Pamiętaj, że nigdy nie wolno lekceważyć wroga.

- Jesteś moim wrogiem, panie? - zapytała tak cicho, że ledwie mógł rozróżnić poszczególne słowa. Słyszał jednak w jej głosie nutę pojednania. Elizabeth patrzyła nań jak zraniona sarna, a jej usta były tak miękkie, niewinne i kuszące...

Dobry Boże, pomyślał Peter. Jeżeli zaraz stąd nie pójdę, to na zawsze zaprzędam duszę.

Przecież już dawno został potępiony i do końca życia nie zdoła się oczyścić z grzechów. W takim momencie jeden maleńki pocałunek nie robi różnicy.

Reszta oddziału patrzyła w ich kierunku. Nie zwracał na to uwagi. Wiedział, że Adrian wpadnie w przerażenie, zbrojni się roześmieją, a zakonnicy skrzywią. A jeden z mnichów - ten fałszywy - będzie gryzł palce ze złości.

Nie dbał o to. Objął Elizabeth w tali i przyciągnął ją bliżej. Przez koszulę poczuł dotyk miękkich piersi. Drugą ręką wziął ją pod brodę i kciukiem lekko przesunął po jej ustach.

Usłyszał jęk strachu. Nie wiedział, czy to Adrian, czy Elizabeth,

czy jego własne udęczone sumienie... To nie miało najmniejszego znaczenia. Pochylił się, żeby ją pocałować.

RS

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

---

Całował ją. Tym razem namiętnie. Elizabeth czuła żar bijący od jego ciała. Jedną ręką trzymał ją pod brodę. Nie wiedziała, jak to się stało, że odruchowo rozchyliła usta. Ogarnęła ją chęć, żeby wtulić się w jego silne ramiona i przeniknąć w każdy zakątek jego ciała.

Położyła mu ręce na piersi, tak jakby chciała go odepchnąć, ale dłonie powędrowały wyżej; objęła go za szyję. Już dawno zamknęła oczy i odpędziła wszelkie myśli. Nie opierałaby się, gdyby zażądał więcej.

Peter oderwał usta od warg Elizabeth i odchylił głowę. Oczy miał przesłonięte mgłą. Ujął ją za ramiona i odsunął od siebie. Elizabeth zadygotała. Odniosła wrażenie, że skądś powiało wilgotnym chłodem. Ze wszech miar chciała wrócić w objęcia stojącego przed nią mężczyzny.

Nie zrobiła tego. Chwiała się lekko, ale poza tym nie uczyniła najmniejszego ruchu. Liczyła na to, że brat Adrian albo Matthew pospieszą jej na ratunek. Czekwała, że czarny książę wybuchnie głośnym śmiechem i powie, że to były kpiny. Że nigdy jej nie pragnął i tylko się z nią drażnił, aby na drugi raz dokładniej przemyślała swoje postępowanie.

Wziął ją za rękę i nagle pociągnął między drzewa, z dala od ognia i wścibskich oczu, w smolistą ciemność lasu. Poszła za nim bez słowa, bez zastanowienia.

Olbrzymie drzewa przesłaniały resztkę księżycowego blasku. Szarpnięta mocniej Elizabeth oparła się plecami o szorstki pień starego dębu. Peter znów zamknął ją w ramionach i pocałował. Gdy próbowała umknąć, chwycił ją za nadgarstki i przytrzymał.

Wystraszona, usiłowała wyrwać się z tej pułapki, ale był silniejszy. Mimo skromnego doświadczenia wiedziała, co się z nim



dzieje. Przez ubranie czuła, jak bardzo jej pożądał. Bała się, ale także odczuwała radość. Ktoś wreszcie uznał, że jest warta grzechu...

Peter zadarł jej spódnicę. Elizabeth poczuła jego twardą, szorstką dłoń na swoim nagim udzie. Jęknęła głucho. Czekwała na więcej.

Zawstydziła się własnych pragnień, ale jednocześnie miała ochotę zedrzeć z niego skórzany kaftan i koszulę i też dotknąć muskularnego ciała. On jednak ciągle jej nie puszczał.

Wreszcie odsunął się, ale tylko po to, aby rozwiązać tasiemki jej płaszcza. Elizabeth spytała:

- Chcesz mnie zgwałcić?

Powiedziała to bardzo cicho, ale on nagle zamarł. Chwilę później oparł się czołem o jej czoło i chrapliwie zaczerpnął tchu. Chyba w końcu odzyskał rozsądek, bo puścił jej rękę. Elizabeth położyła mu dłonie na ramionach. Nie odpychała go i nie tuliła. Po prostu dotykała.

Nie musiała odpychać. Odstąpił sam, i to tak gwałtownie, że gdyby nie pień dębu, na pewno by się przewróciła. Spódnica opadła z szelestem.

Twarz nadal miał ukrytą w mroku. Elizabeth nie 'wiedziała, czy dokucza mu poczucie winy, żal czy znudzenie. Czy pozostało może w nim coś z pasji? Mogła jedynie podziękować Bogu, że nie doszło do najgorszego. A mimo to była rozczarowana.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytała. Niemal nie poznawała własnego głosu. Ani następnych słów: - Dlaczego przerwałeś?

- Jesteś niewinna. Nie krzywdzę dziewic - odparł ledwie słyszalnym szeptem.

- Od kiedy?

Cofnął się jeszcze dalej i jego twarz pojaśniała nagle w wąskiej smudze księżycowego blasku. Elizabeth zobaczyła gorejące oczy i wykrzywione usta. Potem książkę przybrał spokojną minę, jakby przypomniał sobie, kim jest w istocie.

- Od czasu gdy wybrałem się na tę pielgrzymkę - odparł głośniej. - Kilka dni pokuty w zamian za lata grzechów, tych dawnych i późniejszych. To chyba niewielkie poświęcenie. Gdybym naprawdę potrzebował, wezwałbym panią Joannę. Pewnie nie byłaby tym zachwycona, ale obyłoby się bez problemów. Z tobą zaś tylko kłopot.

- Wciąż mi to powtarzają - odpowiedziała Elizabeth, nie odrywając wzroku od Williama. Oddychał ciężko, z trudem.

A co ja czuję? - pomyślała. Chyba... rozterkę. Nie umiała znaleźć lepszego słowa. Gorąca męska dłoń na moim udzie... smak pocałunków...

W tej samej chwili wśród zarośli rozległ się donośny szelest i na przecinkę wypadł zakłopotany brat Adrian. Elizabeth zdołała już odzyskać pewność siebie i spojrzała na intruza z chłodnym zainteresowaniem. Przecież nie zmieniła się po kilku pocałunkach. Zresztą w ciemnościach nocy i tak niewiele mógł zobaczyć. Machinalnie przesunęła koniuszkami palców po ustach.

- Wasza Wysokość! - wydyszał Adrian, zatrzymując się gwałtownie. - Nie wolno... - Urwał w połowie zdania.

- Czego „nie wolno”, bracie Adrianie? - beznamiętnie zapytał William. - Oboje nie mogliśmy zasnąć i wybraliśmy się na przechadzkę, mając nadzieję, że w księżycowym blasku znajdziemy ciszę, spokój i ukojenie. Nic więcej.

Brat Adrian wyglądał na bardziej zgnębnego niż powinien, biorąc pod uwagę reputację księcia.

- Po stokroć przepraszam Waszą Wysokość. Bałem się...

- Że złamię śluby? Kiedy tak wiele od nich zależy? Więcej wiary, braciszku. Nie ulegnę pokusie, choćby była największa.

Elizabeth patrzyła na nich. Miała niejasne wrażenie, że rozmawiają o czymś zupełnie innym. Nie wiedziała, o co im chodzi. Zresztą to nie była jej sprawa. Księżę William wyraźnie uległ przelotnej słabości. Tak, tak... To dodatkowy objaw jego obłądu. Potem mu przeszło, a brat Adrian zjawił się w samą porę.

- Odprowadź lady Elizabeth do miejsca, w którym śpi pani Joanna - powiedział książę do zakonnika, nie patrząc na dziewczynę. - Ja jeszcze pozostanę w lesie.

Adrian był wyraźnie zmieszany.

- Tak, panie. Dopilnuję, żeby nic jej się nie stało. Nikt jej nawet nie dotknie. - Znowu coś ukrywał pomiędzy wierszami.

William odezwał się w niekłamanej ulgą.

- Nikt. O to właśnie chodzi. Liczę na ciebie, bracie.

Odwrócił się i bez jednego słowa więcej odszedł w głąb kniei, w kierunku strumienia.

Chciał się wykąpać? Zimną wodą ochłodzić rozpalone ciało? A gdybym tak... — przekornie zastanawiała się Elizabeth. A gdybym tak wymknęła się spod opieki Adriana i poszła za nim? Gdybym rzuciła suknię i...

Przenajświętszy Jezu, chyba oszalałam! Popatrzyła na zachmurzoną twarz brata Adriana i zmusiła się do uśmiechu.

- To bardzo miło z twojej strony, bracie, że tak się o mnie troszczysz - powiedziała. - Może zostaniesz z księciem? Sama znajdę drogę. Nasz oddział jest na tyle duży, że nikt nas nie napadnie.

- Myślę, że książę chciałby w samotności zastanowić się nad swoją grzeszną duszą - powiedział Adrian z posępną miną, która nie pasowała do jego młodej twarzy. - Milady?

Poszli razem. Na odchodnym Elizabeth szybko spojrzała przez ramię w stronę, w której zniknął książę William. Nie zobaczyła nic poza ciemną ścianą drzew.

Gdy wrócili, na polanie wciąż panowała cisza. Na pewno minęło zaledwie parę minut od chwili, kiedy książę pociągnął mnie w głąb lasu, pomyślała Elizabeth.

Owinięta płaszczem położyła się obok śpiącej Joanny. Ziemia była twarda, lecz Elizabeth była zbyt zmęczona, aby się tym przejmować. W głowie kłębiło jej się od natłoku myśli. Ciągle widziała przed sobą księcia. Czuła smak jego pocałunków...

- To nie było zbyt mądre z twojej strony, lady Elizabeth.  
Głos Joanny zabrzmiał niczym tchnienie wiatru. Nie otwierała oczu.

- Kto igra z ogniem, może się poparzyć. Elizabeth jeszcze przez chwilę udawała, że śpi, ale wiedziała, że Joanna nie da się na to nabrać.

- Potrzebowałam jego noża.

- Żeby go zabić?

- Żeby obciąć włosy.

- Mogłaś mnie o to poprosić.

- A zgodziłabyś się?

- Nie. - Joanna rozwarła powieki. - Jeszcze mamy przed sobą trochę czasu, zanim dotrzemy do klasztoru. Dużo może się zmienić. Nie wiem, czy nadajesz się na zakonnice, lady Elizabeth.

- A mam wybór?

Joanna uśmiechnęła się i ponownie zamknęła oczy.

- Nie jestem wróżką, ale jeżeli chcesz nietknięta dojechać do klasztoru Świętej Anny, to unikaj księcia Williama. Wciąż będziesz mi wmawiać, że go nie obchodzisz?

Dlaczego nie? - pomyślała Elizabeth. Dlatego, że wciąż czuję jego dotyk, odpowiedziała sobie w duchu.

- Strzela oczami za każdą kobietą - mruknęła.

- Dzięki Bogu, że mnie to nie dotyczy.

- Dzięki Bogu? - ze zdziwieniem powtórzyła Elizabeth. - Jak to? Chyba byłby dla ciebie lepszym opiekunem niż Owen z Wakebryght?

- Na razie mam szczerze dość wszelkich takich atencji - szepnęła Joanna. - Chcę pojechać do Świętej Anny i wyznać grzechy. Potem będzie dość czasu, żeby podjąć decyzję. Może wrócę do Owena, a niewykluczone, że udam się gdzie indziej. Albo zostanę w klasztorze. W każdym razie zupełnie się nie widzę u boku księcia Williama.

- W dalszym ciągu tego nie rozumiem. Jest silny, bogaty,

potężny i bardzo... - Elizabeth urwała.

- Przystojny na swój sposób. Tak, to prawda. Zależy mu na niewinności, a ja niewinna już nie będę. - Joanna odwróciła się plecami do przyjaciółki i ściślej owinęła się płaszczem. - Bardzo się z tego cieszę. Nie chciałabym znów skończyć ze złamanym sercem. Bądź ostrożna, milady. Złamane serce nigdy się nie zrasta.

- Kto ci to zrobił?

Zapanowała cisza. Elizabeth myślała, że Joanna nie odpowie jej na to pytanie.

- Życie, milady. Wolałabym, aby ciebie to nie spotkało.

Nad nimi szumiał uśpiony las. Elizabeth zamknęła oczy. Słyszała stłumione głosy nocnych ptaków, szept liści poruszanych lekkim wiatrem i plusk strumienia.

Dopiero po kilku godzinach William wrócił na polanę. Elizabeth nie spała. Wiedziała, że to on. Nieco wcześniej kilku mężczyzn wstało, aby na chwilę pójść do lasu za potrzebą. Żadnego z nich nie pomyliła z księciem. Na pamięć znała jego kroki...

Odniosła wrażenie, że widział ją w ciemnościach. Że wyczuwał jej wzrok. Ale nie, przecież to niemożliwe. Leżała ciasno owinięta w płaszcz, a z takiej odległości trudno było po ciemku odróżnić jedną śpiącą postać od drugiej. Księżyc zaszedł, ognisko przygasało, kroki księcia ucichły i tylko lekkie skrzypienie skórzanej odzieży dało jej znać, że William się położył.

Co najmniej połowa ludzi chrapała, lecz owe dźwięki działały na nią dziwnie kojąco. Długa noc pomału zbliżała się do końca. Głośne chrapanie tworzyło mur wokół obozowiska, oddzielając je od ściany lasu. Elizabeth zamknęła oczy i zasnęła. Śniła o cudnych, przeokropnych grzechach.

Atak nastąpił bladym świtem.

Niebo zaledwie pojaśniało. W lesie panowała głucha cisza. Elizabeth otworzyła oczy, zastanawiając się, co ją obudziło. Nic nie słyszała. Nawet ptaki przestały śpiewać. A potem rozpętało się

piekło.

Chaos i zgroza - zgrzyt stali dźwięczącej o stal, kwik koni uciekających przez polanę, okrzyki bólu. Elizabeth zerwała się na równe nogi. Dokoła panowało straszliwe zamieszanie. Konie miały się wśród walczących rycerzy i mnichów. Wszędzie krew... Elizabeth chciała zawołać Joannę, ale ta zniknęła. Tłum napastników nacierał z każdej strony, tnąc, rąbiąc i kłując.

Elizabeth zagarnęła spódnicę i na oślep rzuciła się do ucieczki, byle dalej od miejsca bitwy. Domyśliła się, że to nie banicy - byli na koniach i dobrze uzbrojeni jak zawodowi żołnierze. Nie szukali bogatego łupu, tylko zemsty.

Przystanęła na moment, aby rozejrzeć się za księciem. Prawdopodobnie zginął pierwszy. Pewnie leżał w kałuży krwi. Wraz z jego śmiercią walka powinna się zakończyć. Jednak nie, właśnie padł kolejny z zakonników, brocząc posoką z przebitego gardła. Elizabeth zrozumiała nagle, że napastnicy chcą zabić wszystkich świadków tej potwornej zbrodni. Odwróciła się i pobięła dalej, między drzewa. Za sobą słyszała tętent kopyt.

Gdyby udało jej się ukryć w lesie, pewnie przestaliby ją ścigać. Konie nie przeszłyby przez gęste krzewy. Elizabeth biegła jak szalona. Rude włosy powiewały za nią.

- Łapcie tę wiedźmę! - ktoś krzyknął. Wiedziała, że chodziło o nią. Czyżby już wszyscy zginęli i jedynie ona została? Chcieli ją zabić jak tego biednego starszego mnicha czy też szykowali jeszcze coś gorszego?

Nie pora teraz o tym myśleć. Najważniejsza jest ucieczka. Elizabeth potknęła się i upadła na twardą ziemię. Zanim wstała, zobaczyła księcia Williama. Wciąż żył i ciął mieczem na lewo i prawo, z wolna przebijając się do grupki ocalałych mnichów.

Spostrzegła też brata Matthew. Zachowywał się spokojnie, chociaż wokół niego padali ranni i zabici. Księżę przesuwał się w jego stronę. Elizabeth aż dech zaparło. William i Matthew byli wrogami, a jednak księżę ryzykował życie, aby mu iść na pomoc.



Z przejęcia nie usłyszała, że ktoś do niej podjechał. W ogóle nie zdawała sobie sprawy, co się dzieje, aż napastnik chwycił ją za włosy i gwałtownie szarpnął ku sobie.

Krzyknęła z bólu i próbowała uciec, ale posępny, zakrwawiony żołdak najzwyczajniej w świecie przerzucił ją przez siodło i przytrzymał.

Czuła woń krwi, ludzkiego ciała i smród końskiego potu. Wiła się jak oszalała. Spłoszony wierzchowiec skoczył w bok. Jeździec uderzył ją, lecz ona walczyła nadal, biła go i kopała. Brat Matthew gdzieś zniknął. Nie było widać też księcia Williama.

Najpierw usłyszała dziwny gulgot i charczenie. Potem chlusnęła na nią lepka, gorąca struga.

Krew. Rozpoznała ją węchem i dotykiem. Jeździec zwiotczał i osunął się niczym sflaczały worek, a dwie silne ręce ściągnęły ją z siodła.

Miała zaledwie tyle czasu, żeby zobaczyć zbryz-ganą krwią twarz Williama.

- Uciekaj! - krzyknął.

Sparaliżowana strachem, przez krótką chwilę nie mogła ruszyć się z miejsca.

- Joanna... - wykrztusiła, ale William złapał ją za ramię i potrząsnął.

- Za późno. Uciekaj, do kroćset! - zawołał. Rzuciła się do biegu. Jak szalona wpadła w głąb lasu.

Nie zatrzymała się, kiedy dotarła do strumienia. Nurt był zbyt szybki, żeby myśleć o przeprowie wplaw; pobiegła dalej, wzdłuż koryta. Uciekała, aż wreszcie straciła siły i ciężko dysząc, upadła na brzegu na kolana.

Po pewnym czasie serce przestało jej bić jak oszalałe i odzyskała oddech. W lesie było przeraźliwie cicho. Nie wiedziała, czy tak długo biegła, że przestała słyszeć odgłosy bitwy, czy też nastąpił koniec tej straszliwej rzezi. Wszystkich zabili? Joannę, księcia Williama i całą resztę? Brat Matthew pewnie leżał gdzieś w

trawie. Przypomniała sobie, że nigdzie nie widziała też brata Adriana. Książę był w samym środku zamętu. Na pewno poległ z mieczem w dłoni.

Zebrała resztki siły i usiadła. Wiedziała, że nie może zostać tu zbyt długo. Mogą jej szukać. Napastnicy nie chcieli zostawić przy życiu świadków. Zauważyli, że uciekłam? Postanowiła odpocząć jeszcze chwilę, a potem ruszyć w dalszą drogę.

Wiele razy widziała zmarłych. Śmierć była nieodłączną częścią życia. Umierały dzieci, umierali starcy z choroby lub w wypadku. Lecz coś takiego jak przed chwilą... Joanna miała rację, pomyślała. Byłam niewinna, lepiej chroniona przed złem tego świata, niż mi się zdawało. W parę minut wszystko uległo całkowitej zmianie.

Zaduch krwi kręcił ją w nosie. To musiał być śmiertelny cios. Suknię miała przesiąkniętą czerwoną posoką. Nie mogła tak iść dalej.

Tuż obok szumiał strumień. Nie zastanawiając się ani chwili, zzuła skórzane trzewiki i skoczyła do wody.

Aż się zachłysnęła z zimna. Strumień był głębszy, niż się spodziewała, o silnym, porywistym prądzie. Suknia szybko nasiąkała wodą i zaczęła jej potwornie ciążyć. Elizabeth rozpaczliwie próbowała utrzymać się na powierzchni. Nie dała rady. Zimne fale zalewały jej twarz i włosy. Może się poddać? - pomyślała. Lepiej utonąć, niż wpaść w ręce tamtych mężczyzn.

Wynurzyła się i zakasłała. Być może łatwo jest utonąć, lecz ona nigdy nie poddawała się bez walki. Usiłowała płynąć, ale ciężka suknia znowu wciągnęła ją pod wodę. Trzy razy się zanurzysz i więcej nie wypłyniesz, przestrzegła się w duchu. Po kilku próbach udało jej się zaczerpnąć łyk zbawczego powietrza. Po chwili znowu poszła na dno i tym razem wiedziała, że to koniec, że zaraz umrze. Ciekawe, jakie będą jej ostatnie myśli?

Oczami wyobraźni zobaczyła Williama, obejmującego ją silnym ramieniem. Potem się poddała.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

---

**I**le już lat minęło od czasu, gdy Joanna ostatni raz swobodnie biegała po lesie? To nieważne. Teraz uciekała przed straszliwą śmiercią, a mimo to czuła się zadziwiająco rześko. Niemal z uśmiechem wciągała w płuca świeże powietrze ranka. Odgłosy bitwy gasły gdzieś w oddali. Nie słuchała bolesnych jęków i brzęku stali.

Kiedy była małą dziewczynką, lubiła biegać po lesie wyłącznie dla przyjemności. Dziś zostawiła za sobą rannych i umierających, nie powinna więc z niczego się cieszyć. Tymczasem poczucie siły i wolności pchało ją coraz dalej. Pędziła bez wytchnienia, aż wreszcie zmordowana upadła na ziemię, zwinęła się w kłębek i potoczyła w krzaki.

Wszyscy zginęli? Dlaczego bandyci zaatakowali tak duży oddział złożony głównie z mnichów i rycerzy? Przecież musieli wiedzieć, że w takiej kompanii nie znajdą bogatych łupów. Owszem, księżę William miał wielu wrogów, ale kto chciałby zabić jedyne syna króla Anglii? Kto byłby na tyle głupi?

Wątpliwe, żeby ktoś poza nią zdołał uciec z polany, uznała Joanna. Napastnicy podkradli się wyjątkowo cicho, a jednak jakiś szmer zdołał ją obudzić. Otworzyła oczy i rozejrzała się po uśpionym obozowisku. Lady Elizabeth spała zawinięta w płaszcz. Rycerze i mnisi chrapali jak najęci. Nawet wartownik chyba drzemał, oparty o drzewo.

Joanna wstała, weszła między krzewy i już miała wracać, kiedy rozległy się pierwsze krzyki napastników. Nie zastanawiała się ani chwili. Za późno, żeby ostrzec pozostałych. Za późno, żeby kogokolwiek uratować. Musiała myśleć tylko o sobie.

Oddychała już swobodniej. Przycisnęła rękę do piersi, aby uspokoić kołaczące serce. Cisza panująca w lesie pomogła jej

zebrać myśli. Z żalem wspominała biedną lady Elizabeth. Mogła jedynie mieć nadzieję, że zbytnio nie cierpiała. Mężczyźni potrafią być brutalni nawet w małżeńskim łóżu. Gwałt i śmierć z rąk bandyty były najgorszym okrucieństwem.

Joanna podniosła się powoli, strzepnęła liście z sukni i otarła łzy z policzków. Co się stało, to się nie odstanie. Nic już tego nie zmieni. Gdyby miała choć trochę zdrowego rozsądku, poszłaby dalej w las, w swoją stronę. Po słońcu poznała, że biegła na zachód; prędzej czy później dotarłaby na brzeg morza.

Wciąż nosiła przy sobie mieszek z klejnotami. Na wszelki wypadek odczepiła go od pasa, zawiesiła na szyi i ukryła między piersiami. Jeśli ktoś tam sięgnie, na ratunek będzie już za późno.

Potężnej postury ksiązę wyglądał na takiego, który tanio nie sprzeda swojej skóry. Ale śmierć nie wybiera. A lady Elizabeth? Taka młoda, naiwna i zdeterminowana.

Nie wiedzieć czemu Joanna pomyślała o bracie Adrianie. Stanowczo nie pasował do jej wyobrażenia o zakonniku. Chociaż z reguły chodził z nisko spuszczoną głową, zdążyła zauważyć, że miał zmysłowe usta, stworzone do całowania. Joanna posmutniała mimo woli. Zawsze zdradzała wielką słabość do pocałunków. Mężczyźni, których znała, nie przywiązywali do tego wagi. Całowali ją raczej rzadko, najczęściej po mniej lub bardziej wybrednych igraszkach.

Popatrzyła na zachód, w stronę odległego morza, a potem w głąb lasu. Naprawdę zginęli? Jeżeli napastnicy uciekli w pośpiechu, to istniała pewna niewielka szansa, że ktoś jednak przeżył.

Gdyby zachowała choć trochę rozsądku, biegłaby dalej, nie dbając o los swoich towarzyszy.

Przez całe życie z pokorą przyjmowała wyroki opatrności.

Tym razem rozsądek ją opuścił. Joanna powoli zaczęła skradać się z powrotem, aby zobaczyć, czy w obozie nie został ktoś żywy, komu mogłaby udzielić pomocy.

Posuwała się pomału, ostrożnie, cofając się po własnych śladach. Wydawało jej się, że biegła zaledwie kilka minut, a powrót trwał całe wieki. Podświadomie bała się tego, co czekało ją na polanie. Wiedziała, że zdoła jedynie pomodlić się za zmarłych i pójść dalej własną drogą.

Poczuła smród krwi i śmierci. Zatrzymała się, dłonią zakryła usta, walcząc z mdłościami. Niedługo ściągną tu zwierzęta. Żarłoczne dziki zajmą się smukłym ciałem lady Elizabeth. Może chociaż ją pochowam? - pomyślała Joanna. To okropne umrzeć w tak młodym wieku. Było w niej tyle energii i życia...

Niespodziewanie natknęła się na pierwsze zwłoki. Niemal potknęła się o ciało jednego z zakonników. Prawdopodobnie zginął podczas ucieczki. Teraz leżał w kałuży krwi, z głową zmiażdżoną uderzeniem pałki lub maczugi.

Polana była zasłana trupami. Mnisi i rycerze spoczywali pospołu - równi wobec śmierci. Joanna ostrożnie szła pobojewiskiem, klucząc między zwłokami. Nigdzie nie widziała ciała Elizabeth. Ani śladu rudych włosów, ani skrawka zielonej sukni.

Pozostawały dwie możliwości. Albo uciekła, albo została porwana przez bandytów, a wtedy, Panie, miej opiekę nad jej duszą.

Na zdrowy rozum raczej wpadła w ręce wrogów. O ile jeszcze żyła, to na pewno modliła się o szybką śmierć. Joanna też mogła jedynie zmówić pacierz w tej samej intencji.

Może jednak uciekła? Była sprytna i miała długie nogi, które z pewnością szybko zaniiosłyby ją w głąb lasu. Zatem istniała pewna nadzieja.

Na polanie leżało wiele trupów, ale Joanna w żadnym z nich nie rozpoznała księcia. Niektóre były zmasakrowane, a krew zabarwiła ubrania na czarno. Joanna podchodziła do każdego ciała, dotykała lekko i modliła się przez chwilę. Jednemu nieszczęśnikowi nawet zamknęła oczy. Nie zdobyła się jednak na to, aby odwracać tych, którzy spoczywali twarzą do ziemi. Ostatecznie, jakie to miało

znaczenie?

Zbliżyła się do zakonników, z tą samą posługą. Kilka słów modlitwy i krótkie dotknięcie. Ostatni leżał na brzuchu, w ciemnej kałuży krwi, nieco dalej od pozostałych. Chyba uciekał, ale na jego plecach nie było widać rany. Zatem nie zginął z rąk tych, którzy go ścigali.

Joanna delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu. Był ciepły, jęknął.

Z przestraczem zerwała się na równe nogi. Potem jednak z powrotem opadła na kolana i ostrożnie przewróciła rannego na plecy.

To był brat Adrian. Obrzuciła go baczny spojrzeniem. Miał zamknięte oczy i zakrwawioną pierś, ale żył. I żyć będzie, pomyślała Joanna. Przeczuwała to, wracając na polanę, zamiast zadbać o własne bezpieczeństwo.

Przyłożyła mu rękę do serca. Biło dość mocno. Nie mógł stracić za wiele krwi, bo wcale nie był blady.

- Bracie Adrianie - powiedziała - słyszysz mnie?

Na krótką chwilę otworzył oczy. Miały zamglony wyraz. Chyba jej nie rozpoznał.

- Książę... - wyszeptał.

- Książę nie żyje. Musimy stąd uchodzić, zanim bandyci wrócą. Możesz wstać?

- Nie - odpowiedział, potem jednak wsparł rękę na jej ramieniu i podniósł się z wyraźnym trudem. Niewiele brakowało, a oboje by upadli.

Joanna szybko odzyskała równowagę i objęła zakonnika w pasie. Adrian próbował ją odepchnąć, lecz zabrakło mu siły.

- Nie szarp się, chłopcze - zbesztła go Joanna. - Zachowaj energię na przyszłość. Trzeba uciekać.

- Nie jestem... chłopcem... - zdołał wybełkotać.

- Cicho! - Ostrożnie zrobiła kilka kroków.

Bała się, że Adrian znów się przewróci. Na szczęście powoli



posuwał się naprzód.

To była mozolna wędrówka. Wlekli się noga za nogą. Adrian niemal całym ciężarem ciała spoczywał na barkach Joanny. Starła się nie myśleć o bólu, zmęczeniu i coraz bardziej dokuczliwszym głodzie. Zbliżało się południe i słońce przygrzewało coraz mocniej. Na szczęście z każdą chwilą oddalali się od ponurego cmentarzyska na polanie.

Po jakimś czasie Adrian zatrzymał się i oparł o drzewo.

- Muszę odpocząć - szepnął.

- Jeżeli teraz się zatrzymasz, to już nigdy nie ruszysz z miejsca - zauważyła Joanna. Czuła się niemal jak troskliwa matka doglądająca chorego dziecka.

- Masz rację - przytaknął brat Adrian - ale nie dam rady. Lepiej pomyśl o sobie. Uciekaj. Albo ktoś mnie tu znajdzie, albo umrę. Wola boża... Zawiodłem. Miałem go pilnować. Czuwać, żeby przypadkiem znów kogoś nie skrzywdził.

- Kto?

- Księżę. Usiłowałem go powstrzymać. W czasie napadu pobiegłem za nim. Wolałem, żeby zginął, niż uciekł. Ale okazał się silniejszy... Miał nóż.

- William cię zranił? - Joanna nie wierzyła własnym uszom.

- Myślał, że nie żyję. Niewiele brakowało. - Adrian zamknął oczy. - Idź dalej beze mnie.

- Nie. Byłam już daleko, ale coś mi kazało wrócić. Musiałam cię znaleźć. To właśnie była boża wola, o której przed chwilą mówiłeś. Nie wolno mi się jej sprzeciwiać. Ani tobie, bracie Adrianie. Bóg jeden wie, czy przeżyjesz, ale na pewno cię tu nie zostawię.

- Może to diabeł kazał ci zawrócić? - szepnął.

- Nie słucham poleceń diabła - odpowiedziała z pełnym przekonaniem. - Posprzeczymy się o to później. Teraz musimy iść dalej. Obiecuję ci, że odpoczniesz, jak tylko dotrzemy do jakiegoś schronienia. Tam ci opatrzę ranę.

- Nie! - zawołał jak wystraszony chłopak. - Nie możesz mnie dotykać...

- Już od pewnego czasu cię dotykam, bracie - i odparła miękko, czując nagły przypływ macierzyńskich uczuć. - W dodatku, jeśli natychmiast się nie ruszysz, to ci solidnie skopię tyłek. W drogę! Przy odrobinie szczęścia znajdziemy jakiś klasztor, w którym cię chętnie przyjmą, ale na razie musisz polegać wyłącznie na mnie. I przestań się wreszcie kłócić! Musisz oszczędzać siły.

To było na razie wszystko, co mogła dla niego zrobić. Dobrze zdawała sobie sprawę, że brat Adrian jest ogromnie wyczerpany. Nie wiedziała, ile jeszcze wytrzyma. Szli godzinę, a potem Adrian zwałił się nieprzytomny na ziemię.

Joanna uklękła przy nim, przerażona, że umarł. Ale nie... Był ciepły - niemal gorący - i serce biło mu nadzwyczaj silnie. Musiała jak najszybciej przemyć i zabandażować ranę. W przeciwnym razie dostałby gorączki, a ona mogłaby jedynie siedzieć i patrzeć na jego agonię.

Trzeba iść dalej, pomyślała. Próbowwała pociągnąć go za ramiona, ale jęknął tylko, nie otwierając oczu. Krew obficie popłynęła z rany. Joanna zastanawiała się przez chwilę. Potem, tknięta nagłą myślą, zdjęła płaszcz i rozpostarła go szeroko na ziemi. Z wysiłkiem przetoczyła na bok brata Adriana, zawinęła go, chwyciła w ręce koniec płaszcza i powoli ruszyła naprzód.

Wydawało jej się, że minęły stulecia, zanim zobaczyła niewielką chatynkę. W jej serce wstąpiła nadzieja. Zostawiła rannego i pobiegła naprzód, głośno wzywając pomocy.

Dom jednak był opuszczony. Brakowało mu połowy dachu i wyglądał bardziej na szałas lub szopę. W pobliżu płynął zimny strumień, a przegniłe ściany mimo wszystko dawały schronienie. Brat Adrian mógł tu spokojnie odpocząć i odzyskać nadwątlone siły. Nawet kilka godzin zwłoki robiło ogromną różnicę.

Ostatni etap ich wędrówki okazał się najtrudniejszy. Adrian

chyba dwukrotnie przybrał na wadze, choć i tak był piekielnie ciężki jak na szczupłego młodzieńca. Joanna najchętniej usiadłaby i płakała, ale nie było na to czasu. Ranny słabł coraz bardziej.

Wreszcie bliska omdlenia wciągnęła go do chaty. Na legowisku znalazła trochę słomy. Miała nadzieję, że nie gnieźdzą się tam szczury. Ułożyła Adriana, wcisnęła się w kąt za nim i zamknęła oczy.

Przez krótką chwilę Elizabeth była przekonana, że ma przywidzenia. Że ręka, którą widziała przed sobą, istnieje tylko w jej wyobraźni. Może to ręka Boga, sięgająca z nieba? Poczowała, że coś ją ciągnie w górę i wynurzyła się nad wodę. Zaczepnęła tchu. Twarz, którą zobaczyła, nie była twarzą Boga, tylko diabła. Książę wciąż żył. Trzymał ją pod ramię i płynął w stronę brzegu.

- Nie szarp się, bo cię puszcze i wtedy utoniesz - rzekł zupełnie niepotrzebnie.

Elizabeth nie miała siły się przed nim bronić. Pływał od niej o wiele lepiej i nie był skrępowany ciężką suknią. Dotarł do brzegu, chwycił Elizabeth za rękę i pociągnął za sobą wyżej, na suchą ziemię. Upadła na plecy i leżała ledwie żywa, patrząc na wierzchołki drzew i słuchając odgłosów lasu. Tuż obok z szumem przelewały się spienione fale. Dlaczego wcześniej nie spostrzegłam, że to nie jest strumyk? - przebiegło jej przez głowę. W górze szybowały ptaki. To dobry znak: żaden intruz nie czai się w pobliżu. Koło niej ktoś ciężko dyszał, powoli więc odwróciła głowę.

Nie bardzo jej się podobało, że książę trzyma ją za rękę. On sam zapewne o tym nie wiedział. Leżał z zamkniętymi oczami, a strużki wody spływały mu na twarz z mokrych włosów.

Chyba poczuł na sobie wzrok Elizabeth, bo nagle spojrzał na nią nieprzytomnie.

- Skąd tu się wzięłeś? - zapytała chropawym głosem. Odchrząknęła i zakasłała.

- Z tego samego miejsca co ty - odparł. - Już nie pamiętasz?

- Ostatni raz, kiedy cię widziałam, walczyłeś z bandytami.

Dlaczego uciekłeś?

Wyszło to niezbyt zręcznie.

- Zrozumiałem, że nie wygramy.
- Chcieli cię zamordować, prawda? To nie byli zwykli banici.

Mieli dobrą broń, konie i zbroje. Szukali zemsty za dziewczynę, którą zabiłeś.

- Mam wielu wrogów - odpowiedział beznamiętnym tonem. -

Nie jeden z nich życzy mi śmierci.

- Wszyscy nasi zginęli.

- Ty nie - mruknął.

- Bo uciekłam.

- Bo powiedziałem ci, że masz uciekać. A może chciałaś dostać miecz i walczyć wraz z innymi?

- Nie umiem władać mieczem.

- Prawda, zapomniałem. Tam, dokąd teraz pójdziemy, potrzebny ci będzie miecz i sztylet. Nauczę cię podstaw szermierki.

Elizabeth usiadła. Była przemoczona do suchej nitki i drżała z zimna. Chłodny wiatr przenikał do szpiku kości. Poruszyła ręką, ale książkę nadal nie chciał jej puścić.

- Dokąd idziemy? - zapytała.

- Oczywiście do klasztoru Świętej Anny. Tam się pokajam, a ty wstąpisz do zakonu. Może ostatnie kilka mil przejdę na kolanach, by udowodnić swoją skruchę.

- Tak jak twój dziadek.

- Słucham?

- Wszystkim wiadomo, że twój dziadek odbył pielgrzymkę na kolanach po tym, jak kazał zabić świętego Tomasza Becketa.

Wielu zabójców było w twojej rodzinie.

- Ach, tak. Dziadek. Rodzinne dzieje nie są moją najmocniejszą stroną. Wolę żyć dniem dzisiejszym. - Usiadł i potrzęsął głową jak pies po kąpieli. Krople wody osiadły na twarzy Elizabeth. - Za

szybko biegłaś. Myślałem, że cię nie dogonię. Niewiele brakowało, abyś utonąła. Co się stało? Potknęłaś się?

- Skoczyłam.

Przez chwilę panowała cisza.

- Samobójstwo to grzech śmiertelny.

- Nie myślałam o tym, żeby się zabić. Nie mogłam znieść zapachu krwi. Zdecydowałam, że przepłynę strumień i w ten sposób trochę się umyję.

- O mało nie straciłaś życia. Sądziłem, że jesteś mądrzejsza. Przecież nie skacze się do rzeki, jak ktoś nie wie, jak tam głęboko.

- Nigdy przedtem nie pływałam w rzece. Ciągle siedziałam w domu ojca, z dala od wszelkich niebezpieczeństw.

- Dopiero teraz odkrywasz uroki życia? To chyba nawet gorsze niż gburowaty ojciec. A gdzie masz buty?

- Zostawiłam na brzegu, zanim wskoczyłam do wody - odpowiedziała i popatrzyła w górę strumienia. - Zimno mi... Mimo to wolałabym raczej umrzeć, niż zostać na zamku Bredon.

- Nie boisz się?

Dobrze wiedziała, co w tej chwili powinna odpowiedzieć. Sęk w tym, że pytanie księcia poruszyło w niej czułą strunę. Po raz pierwszy przyznała się do czegoś, o czym nigdy nikomu nie mówiła.

- Nie. Lubię dreszcz emocji.

- Co takiego?!

Wreszcie zburzyła jego obojętność.

- Lubię niebezpieczeństwo. Oczywiście nie pragnę niczyjej krzywdy ani śmierci, ale... jest w tym coś podniecającego.

Podejrzewam, że tak jak w walce. - Popatrzyła na niego z nadzieją. - Nauczysz mnie władania mieczem? Od biedy umiem się obronić nożem, ale miecz to zupełnie co innego. Dużo bardziej skomplikowane.

Peter przyglądał jej się bardzo długo.

- Zawsze mnie czymś zadziwisz, moja pani - powiedział. -

Przecież na dobrą sprawę powinnaś głośno krzyknąć i zemdleć z przerażenia.

- Wtedy musiałbyś mnie wziąć na plecy, a ja nie lubię, kiedy mnie dotykasz - odparła i znacząco spojrzała na swoją rękę. Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Nie zamierzał jej puścić.

- Mało jest w życiu tego, co naprawdę się lubi. Zapewniam cię, że walka nożem wcale nie jest łatwa i wymaga brutalnej siły. W zasadzie można wygrać tylko przez zaskoczenie.

- To chyba najmniejszy kłopot. Kto by się spodziewał ataku ze strony dziewczyny?

- Każdy, kto choć przez kilka dni będzie miał z tobą do czynienia. Jak daleko chciałaś dopłynąć?

- Nie wiem. Wydawało mi się, że co najmniej godzinę siedzę w wodzie.

Peter wreszcie puścił jej rękę i podniósł się z ziemi. Elizabeth nie poszła za jego przykładem. Gdyby teraz wstała, znalazłaby się stanowczo za blisko.

- Siedź tutaj. Pójdę w górę strumienia i poszukam twoich trzewików. Mamy przed sobą długą drogę i nie możesz paradować boso.

Nie uśmiechała jej się myśl, że zostanie sama, choćby na krótką chwilę.

- Mogę pójść z tobą.

- Nie. Podejrzewam, że to byli ludzie barona Neville'a. Nie wiem, czy wciąż nas śledzą, ale w razie czego będzie dużo lepiej, żebym nie musiał się o ciebie martwić. Posiedź sobie tutaj na słońcu, szybciej wyschniesz. Zaraz wrócę. Tylko nie próbuj gdzieś sama chodzić. Jeśli to zrobisz, to własnoręcznie cię utopię.

Prawdę mówiąc, przyszło jej to do głowy. Bała się samotności, ale drżała na myśl, że zostanie z księciem. Przerażały ją zwłaszcza noce w drodze do klasztoru.

- Nie zrobiłbyś tego - powiedziała bez przekonania.

- Może nie... Przynajmniej dałbym ci parę klapsów, a przed



chwilą mówiłaś, że mam cię nie dotykać. Nie drażnij mnie, to dam ci święty spokój.

- Kiedyś już byłam bita - wyznała.
- Nie w ten sposób.

Umilkła, zaniepokojona tym, co usłyszała. Nie chciała przekonać się na własnej skórze, do czego ten drań jest zdolny, kiedy wpadnie we wściekłość. Zbyt wiele o tym mówiono.

- Zrobię, co każesz - obiecała z lekko tylko nadąsaną miną.
- Nie masz innego wyboru.

Zerknęła na niego. Patrzył na nią z góry, aż miała ochotę poderwać się z ziemi, aby nie czuć się taka bezbronna. Jeszcze nie przywykła do pełnej uległości. To było dla niej coś całkiem nowego.

W głębi serca wiedziała, że opór nic nie da.

Słońce wyszło zza drzew. Ciepłe promienie padły na przemoczoną suknię. Elizabeth ułożyła się nieco wygodniej.

- Z chęcią zaczekam - powiedziała przesadnie swobodnym tonem.

Peter stał przy niej jeszcze przez kilka sekund. Potem bez słowa odwrócił się i odszedł.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

---

Zwycięstwo Williama było krótkotrwałe. Nie wiedział, czy zabił, czy jedynie zranił sir Adriana, przydzielonego mu do ochrony przez królewskiego ojca. Gervaise już krzyczał, żeby się pospieszyć. Jakby to teraz miało jakiegokolwiek znaczenie... Chciał wierzyć, że nikt nie uszedł cało. Winę za napad poniosą banici.

Długo to trwało - już na zamku Bredon książę liczył dni dzielące go od wolności. Każda godzina, którą musiał spędzić przebrany w szorstki habit, była dla niego udręką i obrazą. Ktoś musiał zapłacić za to opóźnienie. Najpewniej sam Ger-vaise. Tyle że on - porucznik i niemal przyjaciel - lubił, jak go bolało. Uwielbiał cierpienie. Każda kara, z wyjątkiem śmierci, była dlań rozkoszą. A William nie mógł go zabić, bo wciąż potrzebował kogoś tak okrutnego o licznych talentach.

Dziewczyna uciekła. Wprawdzie Gervaise pchnął za nią kilku ludzi, lecz żaden z nich nie wrócił. William podejrzewał, że nie mogli jej złapać, sami więc zbiegli, bojąc się zjawić z niczym. Wiedzieli, co ich czeka.

Już sam pomysł tej komicznej pielgrzymki wszystkim wydawał się kuriozalny. Wszystkim - z wyjątkiem samego króla, który znużony wybrykami syna, wreszcie postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. William nie mógł otwarcie sprzeciwić się królewskiemu dekretem. Wobec tego wymyślił całkiem chytry sposób, żeby uwolnić się z niewoli. Nakazał swoim, aby w dwa dni po rozpoczęciu podróży napadli na orszak pielgrzymów. Jego ucieczka i azyl w pobliskiej świątyni miały wprowadzić w błąd wszystkich przeciwników. Wiedział, że po takim cudownym ocaleniu będzie mógł liczyć na większą przychylność ojca.

Prawdę mówiąc, nie chciał zabić córki Neville'a. Był za sprytny,

aby popełniać tak głupie błędy - panna ze szlacheckiego rodu nie może po prostu zniknąć, jak to się nieraz działo z wieloma innymi. Niestety, źle ocenił jej wytrzymałość. Umarła, a nie było czasu, żeby się pozbyć ciała. Za wielu ludzi widziało ich razem. Za wielu wrogów. Wprawdzie go złapali, lecz nie zamierzał cierpieć z powodu niewielkiej pomyłki, którą popełnił przy zabawie.

Z każdego nieszczęścia trzeba wyciągnąć korzyść. To on podsunął ojcu, aby szacowny brat Peter przewodniczył wyprawie. Król był przekonany, że wyświadcza synowi łaskę, oddając go pod opiekę dawnego towarzysza broni. Nie wiedział, że dostarcza okazji do zemsty. Brat Peter, czyli kiedyś sir Peter de Montselm, miał zginąć w lesie, wraz z resztą oddziału.

Niestety, Gervaise się spóźnił na miejsce zasadzki. Peter więc żył nadal, a William kolejne dni cierpiał w niewoli. Był wściekły, kiedy przybyli do Bredon. Nikt - oprócz Petera i Adriana z Longacre - nie znał jego prawdziwej tożsamości. Rycerze i zbrojni pochodzili z północy. Mieli bronić do końca fałszywego księcia i towarzyszącej mu grupy mnichów.

Księcia. William z pogardą prychnął na wspomnienie mnicha, który chciał uchodzić za arystokratę. Peter zawsze był górą. Nawet podczas krucjaty żołnierze szli chętniej za nim niż za królewskim synem. Także jako zakonnik zachował dawną dumę. A kiedy zrzucił habit, wszyscy mu uwierzyli i odnosili się do niego z dużo większym szacunkiem niż do Williama.

Tymczasem William czekał siedem lat, żeby nareszcie zasmakować zemsty. Peter stał się legendą wśród krzyżowców, walcząc w tej samej kompanii, co William, u boku króla Ryszarda. A co ten głupiec zrobił ze zdobytą sławą? Rozdał wszystko, co zebrał - i jak żebrak wrócił do kraju, by wstąpić do klasztoru o surowej regule. Biedaczysko myślał, że zbawi duszę.

Nie wolno trwonić czasu na poczucie winy, brzmiało credo Williama. Dręczony wyrzutami sumienia brat Peter był dla niego najłatwiejszym celem. Gdyby król chciał, do pielgrzymki przy-

dzieliłby arcybiskupa, a nie zwykłego zakonnika, skłonnego do melancholii. Peter nawet się nie domyślał, że jego obecna rola nie była dziełem przypadku. Wiele lat minęło, od kiedy wrócił z Ziemi Świętej, i zdążył już zapomnieć, z kim ma do czynienia. Ale na pewno nie zapomniał krzywdy, wyrządzonej mu przez Williama. To wprawdzie William wyszedł z tego z bliznami, ale Peter odniósł gorszą ranę.

Adrian z Longacre był niewiele lepszy. Jako dworzanin króla miał stać przy Williamie i pilnować, żeby nikomu nie stało się nic złego. W ten sposób wydał na siebie wyrok; musiał zginąć pierwszy.

Tyle że to też nic pewnego. Cios był mocny, ale czy śmiertelny? Jeśli Adrian cudem ocalał, to mógł przedstawić na dworze prawdziwą wersję wydarzeń. Cały plan na nic...

Ech, nie ma się czym martwić, pomyślał książę William. Jeżeli Adrian żyje, to się go uciszy. Nie jego krwi mi trzeba.

Najważniejszy jest Peter, który grał rolę księcia lepiej od królewskiego syna. To niespłacony dług. Cało uszedł z napaści. William widział go znikającego w lesie, w pogoni za rudowłosą dziewczką.

Właśnie. Brat Peter aż się prosił, żeby mu coś zrobić. William doskonale wiedział, jak do niego dotrzeć. Przecież wystarczy wykorzystać niewinne uczucia Elizabeth z Bredon.

Jeżeli jeszcze nie umarła, to długo nie pożyje, pomyślał książę. Zaprowadzi mnie do Petera. A potem zabiję ich własnymi rękami. Gervaise nie nadaje się do tak ważnej misji.

Najpierw muszę opowiedzieć ludziom o własnym ocaleniu. To istny cud. Kto wie, może mnie jeszcze zrobią świętym?

Uśmiechnął się do własnych myśli. Cieszyło go, że niewinna Elizabeth z Bredon i zgorzkniały mnich złożą ofiarę z życia na ołtarzu jego nieśmiertelnej chwały.

Będę współczesnym świętym. Z czasem na pewno królem. Już zawczasu poczynił wszelkie środki ostrożności, żeby jego

młodociana macocha nigdy nie powiła żywego dziedzica.

Chociaż... Mogła zająć w ciążę. Twarz Williama wykrzywił grymas nienawiści. Głupi Gervaise! To przez niego jestem teraz za daleko, aby podjąć jakieś skuteczne działania!

Od klasztoru dzieliło go jeszcze trochę drogi. Potem zamierzał jak najszybciej wrócić do dawnych przyjemności.

Główna nagroda wciąż czekała. Tron Anglii. Skąpany w krwi ojca.

Elizabeth zasnęła. Kiedy ponownie otworzyła oczy, słońce zniknęło za wierzchołkami drzew, a suknia była całkiem sucha, chociaż przylgnęła jej do ciała. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Na szczęście już nie była sama.

Obok stał książę. Pod pachą trzymał gruby zwój brunatnej tkaniny. Z enigmatyczną miną spoglądał na leżącą na ziemi Elizabeth.

Powoli dźwignęła się na nogi, stając od niego jak najdalej. Niecierpliwie odgarnęła z twarzy rude kosmyki. Podczas ucieczki zgubiła opaskę i mokre włosy ciężko leżały na jej ramionach.

- Długo tak na mnie patrzysz? Roześmiał się.

- Co najmniej kilka godzin! Stoję tutaj kompletnie oniemiały i nie wiem, jak cię mam obudzić. Czekam zatem, aż się poruszysz...

- Nieważne - przerwała mu w pół zdania. Próbowwała zapanować nad drżeniem głosu, ale wciąż dygotała z zimna, wypadło więc to dość niewyraźnie.

- W takim razie zostawmy zachwyty na boku. Mamy ważniejsze rzeczy do zrobienia. Lepiej pomyślmy, jak przez następne dni uchronić się przed mordercami, którzy polują na nas w całej południowej Anglii.

Słowo „zachwyty” wlało odrobinę ciepła w jej zziębnięte ciało. Aż pokraśniała ze skrywanej dumy.

- Jak to „polują”? - bąknęła, żeby ukryć zmieszanie.

- Naprawdę myślisz, że napastnicy zechcą zostawić nas przy życiu? Już rozpoczęli łowy. Nie możemy być niczego pewni, zanim

bezpiecznie nie dotrzemy do klasztoru.

- My? A co ja mam z tym wspólnego?

- Jesteś świadkiem. Skoro zamordowali mnichów, to z pewnością zabiją też kobietę.

- W takim razie powinniśmy jak najszybciej się rozstać. Tak będzie bezpieczniej.

- Wolisz sama wędrować po lesie? Proszę bardzo. Nikt cię tu nie trzyma. Nie zamierzam być dobroczyńcą. Bez ciebie pójdzie mi o wiele szybciej. Żegnam, milady. Poproszę siostry, żeby pomodliły się za twoją duszę, jeśli nie zjawisz się w klasztorze Świętej Anny.

Dużo by dała, żeby odejść i więcej go nie widzieć. Dużo - z wyjątkiem własnego życia.

A pod tym względem, niestety, miał rację. Nie bardzo mogła liczyć na to, że sama dotrze do klasztoru.

Książę czekał na jej odpowiedź.

- Wiem, dlaczego wszyscy chcą cię zabić - powiedziała. — Jesteś bardzo irytujący.

- Ty też, milady. To już ustaliliśmy. Chyba więc zostaniemy razem. Jakieś sprzeciwy?

Chciała go kopnąć.

- Nie.

- Nie, książę Williamie - poprawił ją.

- Nie, łaskawy książę bastardzie - wycodziła przez zaciśnięte zęby. Chyba trochę przeholowała.

Inny mężczyzna na jego miejscu by ją uderzył. Odruchowo zmrużyła oczy w oczekiwaniu ciosu. Nie uchylała się nawet przed razami ojca.

Ku jej zdumieniu, William odrzucił głowę w tył i wybuchnął niepoohamowanym śmiechem.

- Szczerze współczuję zacnej przeoryszy, która cię weźmie pod opiekę! - zawołał. - Ściągnij suknię.

- Co takiego?



- Chyba słyszałaś. Zrzuć te mokre łachy, zanim na dobre się przeziębisz. Nie mam ochoty niańczyć chorej białogłowy. Poza tym hoża dama w lesie zwraca powszechną uwagę. Zdejmuj suknię albo ją z ciebie zedrę.

Zaczynała się uczyć - powoli, lecz skutecznie.

- A co włożę w zamian?

Rzucił jej zawiniątko trzymane pod pachą. Pachniało słońcem i ziołami.

- To.

- Chyba żartujesz.

Był to habit, całkiem podobny do tych, jakie nosili zakonnicy z ich oddziału. Księżę już zdejmował skórzany kubrak.

- Nie było lepszego przebrania.

Poczuła lekkie mrowienie w palcach, patrząc, jak się rozbierał. Przypomniała sobie poprzednią noc w lesie, jego dotyk...

- Skąd to masz?

- Nie oddaliśmy się zbyt od obozu. Nie mogłem znaleźć twoich trzewików, poszedłem więc na polanę. Tamtym nieszczęśnikom nic już się nie przyda.

Przeżegnała się szybko.

- Pochowałeś ich?

- Miałem zaledwie tyle czasu, żeby tam dojść i wrócić. Poza tym jest ich trochę za dużo jak na możliwości jednego człowieka. - Powiedział to zupełnie beznamytnie. Mimo to Elizabeth odniosła wrażenie, że w jego ciemnych oczach pojawił się gniew.

- Wszyscy... To znaczy...

- Ani śladu pani Joanny, brata Adriana i brata Matthew.

Pozostali nie żyją.

Jeszcze raz uczyniła znak krzyża.

- To przez ciebie, Wasza Wysokość. To ty miałeś zginąć.

Napastnikami pewnie byli krewni tej biednej dziewczyny, którą zabiłeś. Mam nadzieję, że okażesz się naprawdę godny tak wielkiej ofiary.

Uśmiechnął się leniwie i drwiąco.

- Och, na pewno. Tysiące razy. Szkoda tylko, że resztę drogi muszę spędzić z pyską dziewczicą. Wolałbym towarzystwo pani Joanny. Ściągaj suknię, moja droga damo, albo nie dostaniesz ani kęsa strawy, którą też przyniosłem.

Wystarczyło, że wspomniał o jedzeniu, aby ją zmusić do działania.

- Pozwolisz, że na chwilę się oddalę - powiedziała i wzięła habit.

Księżę ściągnął kubrak i koszulę. Stał teraz półnagi w promieniach zachodzącego słońca. Na ten widok Elizabeth zamarła w pół kroku.

Przyzwyczała się do krępych, włochatych mężczyzn, najczęściej tłustych lub sękatych. Księżę na pewno nie należał do żadnej z tych dwóch kategorii.

Miał gładką, niemal jedwabistą skórę, opaloną na złocisty kolor. Był bardzo silny - Elizabeth wiedziała o tym z własnego doświadczenia - ale nie miał przesadnie rozwiniętych mięśni. Wyglądał raczej na szczupłego, jakby nie dojadał. Za dużo uganiał się za niewiastami, żeby pomyśleć o jedzeniu, uznała Elizabeth.

- Napatrzyłaś się już, milady? Czy może chcesz zobaczyć całość? - Zaczął zdejmować spodnie. Elizabeth pisnęła i skoczyła w zarośla.

Poplamiona zielona suknia pani Joanny była wiązana z tyłu. Mokre tasiemki tak stwardniały, że Elizabeth nie mogła ich rozplatać zziębniętymi palcami. Im bardziej ciągnęła za odporne węzły, tym bardziej się zaciskały. Miała wrażenie, że za chwilę popłacze się z rozpacz. Nie było rady, musiała zwrócić się o pomoc do księcia. Miał ją rozebrać... Los bywa czasami stanowczo okrutny.

Księżę miał już na sobie brunatny habit.

- W niczym nie przypominasz zakonnika - zauważyła. Spojrzał na nią i zmarszczył brwi.

- Ty jeszcze mniej. Dlaczego się nie przebrałaś?

- Muszę pożyczyć nóż.

- A co się stało z tym, który ci dałem?

- Zgubiłam go. Nie pamiętasz, jak szybko uciekłam z polany?

- I teraz chcesz się bronić przede mną?

- Teraz chcę rozciąć tasiemki sukni. Są zaciśnięte, a suknia i tak już do niczego się nie nadaje.

- Nikt poza mną nie będzie ciął ubrań na tobie. To zbyt wielki zaszczyt. - Podszedł do niej leniwym krokiem. - Najpierw pokaż. Może je rozplącę. Tobie suknia już niepotrzebna, lecz wieśniacy mogą mieć pożytek z dobrego materiału.

- Od kiedy tak się troszczysz o wieśniaków? Nie wiedziałam, że księżę William tak dobrze zna potrzeby ludu.

- Na pewno nie zna - mruknął pod nosem. - Odwróć się. Chyba że chcesz, abym ci sięgnął za plecy i zrobił to po omacku.

Błyskawicznie stanęła do niego tyłem, zanim zdążył wyciągnąć ręce. Dobrze wiedziała, że na pewno spełniłby tę groźbę, a teraz, kiedy był w przebraniu mnicha, uważała to za jeszcze bardziej niestosowne.

Podskoczyła, czując na plecach jego dłonie.

- Stój spokojnie. Jak się będziesz wiercić, to wszystko potrwa dużo dłużej. Przyniosłem trochę chleba, sera i kilka jabłek. Domyślałam się, że jesteś głodna, zachowuj się więc jak należy.

- Ja mam się zachowywać jak należy? - powtórzyła z gniewem.

- Nie mnie pouczać, drogi księżę.

- Nie? - Przerzucił jej przez ramię ciężki od wody pukiel. - A kto mnie nazwał „księciem bastardem”? To chyba nie było grzeczne.

- Zdenerwowałam się.

- W rzeczy samej. - Palce księcia musnęły jej skórę na karku, tuż nad kołnierzem sukni. Zadrżała. To tylko z zimna, wmawiała sobie, chociaż poczuła ciepło promieniujące z podbrzusza. - Zresztą przyznaję, że czasami bywam troszeczkę uciążliwy. Zwłaszcza dla kobiet.

Coś pociągnął i nagle suknia stała się luźniejsza. Elizabeth w ostatniej chwili przycisnęła ręce do piersi, przytrzymując stanik na miejscu.

- Dziękuję - rzuciła i zniknęła za ścianą zarośli.

Była przekonana, że zechce ją powstrzymać, ale on nawet nic nie powiedział. Gdy obejrzała się przez ramię, po prostu stał i patrzył.

Niewiele brakowało, żebym ją pocałował, myślał Peter. Ma taką gładką, białą skórę na ramionach. Kiedy odgarnął jej mokre włosy z pleców i ujrzał łabędią szyję, poczuł ogromne podniecenie. Od lat nie oglądał kobiecego karku - zapomniał, ile w tym skrytego erotyzmu. Gotów był poświęcić swoją nieśmiertelną duszę, byle tylko przycisnąć usta do miękkiego ciała Elizabeth.

Cena była dość wysoka. Dusza. Już i tak znalazł się na rozdrożu pomiędzy niebem a piekłem. Resztę życia chciał spędzić na pokucie i wyrzeczeniach. Tylko w ten sposób mógł do śmierci zachować spokój ducha, choćby potem i tak miał trafić do piekła. Gdyby teraz znów zgrzeszył, nie zniósłby poczucia winy.

Na szczęście szybko uporał się z suknią i odstąpił o krok, żeby być daleko, zanim szaleństwo weźmie nad nim górę.

Rad był, że od tej pory Elizabeth zacznie chodzić w habicie. Nie będzie widział jej ognistych włosów, kuszących ust ani płonących oczu, pomyślał z ulgą.

Zaklął pod nosem. W obecności dziewczyny nie mógł sobie zadać żadnej cielesnej kary za takie grzeszne myśli. Nie uwierzyłaby, że czarny książę zmienił się do tego stopnia. A poza tym chyba lepiej będzie cierpieć w milczeniu. To przecież gorsze niż samobiczowanie albo włosiennica. Widok zarazem bliskiej, a jednak odległej Elizabeth jawił mu się jako najgorsza tortura.

Sam zresztą miał w tym niemały udział. Dlaczego mu się tak podobała? Siedem lat spędził w celibacie i bywało, że cierpiał niemałe katusze, ale jak dotąd zdołał uchronić się od grzechu, choć na królewskim dworze nie brakowało najpiękniejszych

panien. Co zatem widział w tej długonogiej i rudowłosej jędzy? Co miała w sobie, że dla niej byłby gotów zrezygnować z poczynionych ślubów?

Teraz, gdy wszystko się zmieniło, mógł jej powiedzieć całą prawdę. Mógł wreszcie wyznać, że wcale nie jest księciem Williamem i że to była tylko maskarada, zresztą podjęta w zbożnym celu. Nie wiedział wprawdzie, czy księżę żyje...

Zapewne tak. Zło niezbyt chętnie odchodzi z tego świata, a Peter dobrze znał zbrodnie Williama. Potwór tak łatwo nie umiera.

A co Adrianem? Wciąż był przy nim? Czy zginął podczas zamieszania? Pani Joanna? Chyba powinienem zostać i walczyć do samego końca, uznał Peter.

Niemal wyrąbał sobie drogę do księcia, gdy kątem oka dostrzegł Elizabeth. Od tamtej chwili myślał tylko o niej. Biegła do lasu, ścigana przez trzech zbirów. Nie mógł jej tak zostawić. Trzech ludzi więcej na sumieniu, trzy nowe plamy krwi na duszy. Nieważne, że to byli najemni mordercy. Nieważne, że bronił niewinnej istoty. Każdy człowiek, którego zabił, powiększał jego winę.

Nie, pomyślał. Nie wyjawię jej, że jestem zwykłym zakonikiem. Nie powiem, bo jej niechęć do Williama jest moją jedyną obroną. Jako księżę mogę czasami być złośliwy, pouczać ją albo strofować. Brat Peter musiałby zamknąć usta.

Dla niej samej też lepiej, żeby nic nie wiedziała. Kto może przewidzieć, kogo jeszcze spotkają po drodze? Odstawię ją bezpiecznie w ręce przeoryszy, a sam ruszę na poszukiwanie zaginionego księcia. Przy odrobinie szczęścia znajdę go posiekanego w lesie lub wiszącego na gałęzi u wrót zamku Neville'a. Może zawiodłem zaufanie króla, ale bez Williama świat będzie odrobinę lepszy i trochę bezpieczniejszy. Gniewu króla się nie boję. Najważniejsze, aby Elizabeth znalazła się bez szwanku za murami klasztoru.

Przy tym wszystkim doskonale zdawał sobie sprawę, że

dziewczyna nie nadaje się na zakonnicę. Nawet jej to powiedział. Energiczna z natury, nie słuchała poleceń, a reguła klasztorna wymagała ślepego posłuszeństwa. Powinna wyjść raczej za mąż i mieć gromadkę dzieci, równie niesfornych jak ona. Potrzebny był jej silny narzeczony, a nie słabeusz pokroju Thomasa z Wakebryght. Ba... Tylko gdzie szukać takiego? Jednych by wystraszyła, innych rozgniewała.

Dobrze, że to nie moja sprawa, uznał Peter. Ta dziewczyna gotowa jest zrzucić każde jarzmo. Może właśnie w klasztorze trochę się opamięta i zużytkuje swoją wiedzę na coś pożytecznego.

Usłyszał szmer i prędko przybrał znudzoną minę Williama. Zerknął na Elizabeth. Szeroki habit skutecznie ukrywał kobiece kształty, lecz nie pozbawił jej wrodzonego wdzięku młodego żrebaka.

W rękach trzymała zieloną suknię, ale nic więcej. Rzuciła ją na ziemię.

- A gdzie bielizna? Co zrobiłaś z koszulą?

- Ciągle mam ją na sobie - odpowiedziała. - Nie przypuszczałaś chyba, że będę paradować wyłącznie w habicie.

- Dlaczego? Ja tak robię.

Zaczerwieniła się. Wiedział, że tak będzie. To ciekawe, że czerwieniła się za każdym razem na wspomnienie jego nagiego ciała.

Dla Petera nie miało najmniejszego znaczenia, co naprawdę nosiła pod habitem. Sam jej widok był dla niego źródłem ciągłego podniecenia. Jeszcze jedno cierpienie, na które w pełni zasłużył.

- Powinnaś zdjąć z siebie wszystkie mokre rzeczy, żeby się nie przeziębic - powiedział, nie zdradzając prawdziwych myśli.

- Już prawie wyschły. Poza tym habit jest trochę za szorstki. To kolejne moje przekleństwo, zaraz po rudych włosach. Mam bardzo delikatną skórę. - Uniosła głowę. - Co to było?

- Nic. Zakasłałem - szybko odparł Peter, nie chcąc się



przyznać, że głośno jęknął, kiedy mówiła o delikatnej skórze. -  
Lepiej stąd odejść, i to jak najszybciej. Straciliśmy już bardzo dużo  
czasu. Nałóż kaptur na głowę i ruszamy.

- Miałeś mnie nakarmić.

- Później. Teraz uchodźmy. Chyba że tak osłabłaś z głodu...

- Wcale nie osłabłam. - Elizabeth stanęła prosto jak świeca.

Naciągnęła kaptur tak głęboko, że nie było widać jej twarzy.

- Jak wyglądam? - spytała, podchodząc do Petera. - Ludzie  
uwierzą, że jestem mnichem?

- A dlaczego mają nie uwierzyć? Co prawda, trochę kręcisz  
biodrami, ale to w niczym nie przeszkadza. W naszym kraju jest  
wielu młodych zakonników polatujących wokół jak powabne ćmy.

Elizabeth tak gwałtownie poderwała głowę, że kaptur zsunął jej  
się na plecy. Peter wyciągnął rękę i starannie poprawił jej habit.  
Wolał na nią nie patrzeć wygłodniałym wzrokiem.

- Bez obaw, lady Elizabeth. Najlepiej nic nie mów i postaraj się  
mnie naśladować. Od tej chwili jesteśmy parą wędrownych  
mnichów. Większość czasu spędzamy na medytacjach. Gdyby ktoś  
o coś pytał, to ja mu odpowiem. Jestem starszy, więc ty nie masz  
prawa głosu. Takie są reguły. Zapamiętasz?

- Oczywiście - burknęła nadąsana.

- Będziesz posłuszna i cicha?

- Tak. Przez całe życie to robiłam. A wiesz dlaczego? Bo jestem  
kobietą! - wybuchnęła z goryczą.

- Zatem dość mocno się zmieniłaś, kiedy odeszłaś z  
ojcowskiego domu. Zresztą nieważne. Musisz być grzeczna, jeśli  
nie chcesz, żeby nas zabito. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie  
dobrze.

- Tak, Wasza Wysokość.

- Tak, bracie. Mów trochę głębszym głosem.

- Tak, bracie Williamie. Cokolwiek zechcesz, bracie Williamie.

Jestem do twojej dyspozycji, bracie Williamie - wyrecytowała  
słodkim głosem.

- Skoro tak twierdzisz, bracie Bisurmanie... Minął ją i poszedł krętą ścieżką. Nawet nie spojrzał, czy Elizabeth za nim idzie.

RS

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

---

Joanna śniła o pięknym, ciepłym i bezchmurnym dniu. Po przebudzeniu zobaczyła, że przez wyłamane drzwi samotnej chaty wpadają promienie zachodzącego słońca. Leżący obok niej młodzieniec był cały mokry od potu. Miał gorączkę.

Z przerażeniem zerwała się z legowiska. Jak mogła spać, kiedy brat Adrian znalazł się na krawędzi śmierci? Był bardzo blady, mokre ciemne włosy przylgnęły mu do czoła. Habit przesiąkł krwią.

Joanna rozejrzała się po małej chacie w poszukiwaniu jakiegoś naczynia, w którym mogłaby przynieść wodę. Przecież musiała przemyć ranę Adriana i dać mu coś do jedzenia. Sama też była bardzo głodna.

Znalazła obtłuczoną miskę i podeszła do wyjścia, na odchodnym zerkając na leżącego Adriana. Spoczywał nieruchomo, jakby już umarł.

Gdyby miała choć trochę zdrowego rozsądku, to nie zajmowałaby się rannym, tylko przede wszystkim sobą. Mogła wrócić do Wakebryght, do Owena. Mogła też pójść przed siebie z nadzieją, że znajdzie kogoś mniej brutalnego i wymagającego. Mogła wreszcie podążyć do klasztoru Świętej Anny. Przecież zakonnice od razu nie wypędzą skruszonej grzesznicy, choćby nawet nie przyjęły jej do swego grona. Jednak na pewno wezmą skromny datek w postaci klejnotów, nawet nie pytając o źródło pochodzenia.

Adrian odezwał się. Pewnie jęknął, ale w uszach Joanny zabrzmiało to jak protest. Nie mogła go opuścić. Przynajmniej nie w tym stanie. Najpierw musiała się nim zająć.

Płynący w pobliżu chaty strumień był czysty i wartki. Joanna

starannie umyła ręce i napełniła miskę. Nie chciała brudzić rany Adriana. Po powrocie znalazła go w tej samej pozycji, co przedtem. Leżał z zamkniętymi oczami i ciężko dyszał. Dopiero teraz zauważyła, że miał bardzo długie rzęsy.

Już nieraz rozbierała mężczyzn, lecz nigdy zakonnika. Zgrzebny habit był sztywny od zakrzepłej krwi i chyba przykleił się do rany, bo gdy za niego pociągnęła, Adrian jęknął głośniejsz niż poprzednio.

- Wybacz - szepnęła Joanna. - Jeśli cię tak zostawię, to na pewno umrzesz z zakażenia.

Zmoczyła tkaninę, licząc na to, że łatwiej ją będzie oderwać, i lekko szarpnęła. Ranny znów jęknął.

Nie miała wyboru. Wyjęła zza pasa mały sztylet z wysadzaną rękojeścią i rozcięła habit. Odrzuciła przecięte połę na boki, a potem energicznym ruchem zdarła pozostały fragment.

Adrian gwałtownie otworzył oczy i krzyknął z bólu. Bezwiednie złapał ją za rękę i ścisnął z całej siły. Przez chwilę patrzył na Joannę nieprzytomnym wzrokiem. Próbował usiąść, ale zaraz osunął się na legowisko. Stracił przytomność. Ręka opadła mu bezwładnie.

Rana mogła być gorsza. Joanna widziała już bardziej poturbowanych ludzi, którzy po pewnym czasie wracali do pełnego zdrowia. Z głębokiego otworu sączyła się strużka świeżej krwi.

Joanna dokładnie przemyślała zranione miejsce i zerknęła, czy w pobliżu nie ma sinuej pręgi, świadczącej o zakażeniu. Gdyby się pokazała, brat Adrian umarłby za kilka godzin. Rana była zaogniona, ale nie na tyle, by groziła śmiercią. Po przemyciu krwawienie trochę ustało. Teraz trzeba nałożyć opatrunek, pomyślała Joanna, i zrobić okład ze startego krwawnika. A potem nakarmić chorego.

Zwilżyła usta Adriana wodą z miski i zabandażowała ranę długim pasem tkaniny oddartym ze swojej halki. Powinna się zbierać do drogi, jeśli chciała jeszcze za dnia znaleźć się na

trakcie. Gdyby poszła na zachód, to w pierwszej napotkanej wsi mogłaby powiedzieć o Adrianie i wskazać drogę do chaty. W ten sposób spełniłaby chrześcijański obowiązek, zakonnik miałby opiekę, a ona święty spokój.

Zastąpiła bogato zdobiony pas zgrzebnym kawałkiem tkaniny i odarła suknię z wszelkich ozdób i koronek. Jeden z pierścionków położyła w pobliżu Adriana. To miała być zapłata dla tych, którzy się nim zajmą. Po namyśle dołożyła jeszcze sztylet. Wprawdzie nie w smak jej było wędrować bez broni, ale wiedziała, że bogato zdobiona rękojeść zwracałaby po drodze powszechną uwagę.

W sakiewce miała kilka srebrnych monet. Nawet za jedną z nich mogła kupić prosty, pożyteczny nóż, bochenek chleba i wskazówki, jak dojść do najbliższego miasta. Gdyby ktoś pytał, to znalazła Adriana przypadkiem. Niech Bóg ma go w swojej opiece.

Odgarnęła ciemne kędziory z jego poblądłej, rozpalonej twarzy. Leżał nieruchomo, pogrążony we śnie.

- Mój biedny, śliczny chłopiec - powiedziała cicho. Pochyliła się i lekko musnęła ustami jego wargi. - Żegnaj - szepnęła. - Bóg czuwa nad tobą.

Odwróciła się po raz ostatni i wyszła na polaną skąpaną w promieniach zachodzącego słońca. Wracała do bezpiecznego i spokojnego życia.

Dobrze, że mam takie wielkie stopy, myślała Elizabeth, podążając za księciem. Dzięki temu nie gubię męskich sandałów. Pierwszy raz była zadowolona ze swojego wzrostu. Gdyby wyglądała tak jak większość kobiet, na pewno wlokłaby habit po ziemi i potykała się co kilka kroków. A tak bez większego trudu nadążała za przewodnikiem.

Chyba powinna być mu wdzięczna. To on wymyślił jej przebranie skrywające diabelskie włosy. Trudno było o lepszego towarzysza w pełnym rozbójników ciemnym lesie. Co prawda, książę nie wyglądał na siłacza - nie miał budowy Herkulesa, jak niektórzy ze znanych jej wcześniej żołnierzy - ale widziała go

podczas walki. Wiedziała, że jest silny i nieustraszony.

Ciekawe tylko, dlaczego w końcu uciekł z pola bitwy i pobiegł za nią, skoro nie musiał drżeć o własne życie.

Odpowiedź była tak oczywista, prosta i niemożliwa do przyjęcia, że Elizabeth wydała zduszony okrzyk.

Peter zatrzymał się natychmiast i obejrzał.

- Co się stało? - spytał.

- Nic.

- Zawołałaś „nie”. Wyraźnie słyszałem. Jeżeli toczysz w myślach walkę o swoją cnotę, to daj sobie z tym spokój. Są ważniejsze sprawy od pytania, czy wskoczę ci pod spódnicę. Nie wiesz przypadkiem, jak uniknąć śmierci przez najbliższą dobę?

- Przestań - powiedziała cierpko, podchodząc bliżej. - Nie dam się przekonać, że odczuwasz obezwładniającą żądzę na mój widok.

Milczał. Elizabeth przyjęła to z ogromną ulgą.

- W takim razie co to za dźwięk przed chwilą spłynął z twoich różanych usteczek, moja mała sekutnico?

Z premedytacją próbował ją rozszłościć. Zawsze to robił. Pewnie dlatego, że czuł się bezkarny. Nawet bękarta nie wolno zwymyślać, jeśli pochodzi z królewskiego rodu. Może to zrobić tylko król lub Kościół. Nikt inny nie ma nad nim władzy.

- Dlaczego uciekłeś z pola bitwy?

- Której? Uciekałem dziesiątki razy - odpowiedział beztroskim tonem.

To było jawne kłamstwo. Zapewne w innych sprawach też ją oszukiwał.

- Dzisiaj. Podczas napadu.

- Byłem śmiertelnie przerażony. Zwykle broni mnie oddział zbrojnej gwardii. No wiesz... rycerze, i tak dalej. Na widok tylu napastników po prostu wziętem nogi za pas. To było najmądrzejsze, co mogłem zrobić.

- Nieprawda. Wcale się nie bałeś. Widziałam cię... kochasz



walkę.

- Lubię zabijać. W tym jestem naprawdę dobry. -  
Niespodziewanie w jego głosie zabrzmiała gorycz. Zatem nie  
zawsze kłamał. W tym momencie Elizabeth wierzyła mu bez  
zastrzeżeń.

- Nie uciekłeś ze strachu - powiedziała tonem oskarżenia. -  
Pobiegłeś za mną, żeby mnie ratować. Prawda?

Położył jej ręce na ramionach i uśmiechnął się - chłodno i  
drwiąco.

- Droga pani, niestety, tego nie da się pogodzić. Albo  
odczuwam żądzę na twój widok, albo jesteś mi całkiem obojętna.  
Będę ci wdzięczny, gdy się zdecydujesz.

- Nie biegłeś za mną z pożądania. Usiłowałeś mnie ocalić -  
odparła z uporem. Miała wrażenie, że jego dłonie stały się  
przeraźliwie ciężkie.

Książę uśmiechał się pogardliwie.

- No cóż... Ktoś wreszcie odkrył moją tajemnicę. Prawdę  
mówiąc, nie dla mnie przyziemne rozkosze. Kiedy nikt nie widzi,  
włóczę się po kraju, by ratować z rąk łotrów gnębione dziewice.  
Później posłusznie czekam, aż naostrzą swój dowcip. Najczęściej  
moim kosztem. Nie wybieram pomiędzy zalotną panienką a  
złośliwą jędzą.

Spieszę na pomoc wszystkim, w obronie uciśnionej cnoty.

- Kpij sobie, ile wlezie - syknęła Elizabeth. - I tak wiem, że  
chodziło o mnie.

- Mogę spytać, do czego jesteś mi potrzebna? - Ujął ją pod  
brodę i zmusił, żeby uniosła głowę. Kaptur opadł jej na ramiona. -  
Gdyby kierowała mną wyłącznie żądza, to uratowałbym panią  
Joannę.

- Zginęła?

- Już ci mówiłem, że nigdzie nie widziałem jej ciała. Możemy  
tylko się domyślić, że uciekła.

- To dlaczego pobiegłeś za mną, a nie za nią?

- Dziecko, za nikim nie biegłem. Po prostu uciekałem, a ty stałaś na drodze.

Zachowywał się tak beztrosko, jakby mówił prawdę, lecz Elizabeth dobrze wiedziała, że kłamał. Otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale natychmiast je zamknęła. Chociaż raz doszła do wniosku, że mądrzej będzie milczeć. Nie chciała się z nim kłócić w obawie przed porażką. Był od niej silniejszy.

- Jestem głodna - mruknęła.

- Ja też. Do wieczery siądziemy dopiero wtedy, gdy dojdziemy tam, dokąd zmierzamy.

- Mam głodować przez całą drogę do klasztoru Świętej Anny? Zaraz umrę...

- Wątpliwe - odparł sucho. - Zdarzyło mi się widzieć już wielu wędrowców, którzy wytrzymywali po kilka dni bez jedzenia. Ale chodziło mi o coś innego. Za kilka godzin staniemy na noc. Tam najesz się do syta i pośpisz aż do rana.

Spać... Zmęczenie mocno dało się Elizabeth we znaki.

- A nie napadną nas, jak będziemy spali? Gruby mech tłumi wszelkie kroki. Co będzie, gdy ktoś poderżnie nam gardło?

- Wtedy już nic - odpowiedział rzeczowym tonem. - Na razie możesz zginąć wyłącznie z mojej ręki, nie doprowadzaj mnie więc do skrajnej rozpacz. Nie nocujemy w lesie.

Czekała, ale nie dodał nic więcej.

- Jesteś zupełnie jak mój ojciec - orzekła. - Wciąż wydajesz rozkazy, lecz niczego nie chcesz wytłumaczyć.

- Jestem po stokroć mądrzejszy od twojego ojca, bo wiem, że nie zrobisz tego, o co cię poproszę, chyba że pod przymusem. Musisz mi zaufać. Nie masz wyboru.

Znów otworzyła usta i ponownie je zamknęła. Nie, uznała, nie będę błagała. Nie dam mu więcej satysfakcji. Prawdę mówiąc, zupełnie straciła ochotę do dalszej rozmowy. Wprawdzie była skazana na jego towarzystwo - bo tylko on znał drogę do klasztoru - lecz nie musiała trwonić czasu na próżne pogaduszki.

- Żadnych pytań ani zastrzeżeń? Świetnie. - Najwyraźniej nie przejął się jej nagłym milczeniem. - W takim razie ruszamy. Nie lubię wędrować po zmroku.

Odwrócił się i odszedł. Nawet na nią nie spojrzął.

Elizabeth chętnie oddałaby dziesięć lat życia, byle jej zniknął z oczu. Jednak nie wiedziała nawet tego, czy dożyje następnego ranka. Na razie lepiej zapomnieć o urażonej dumie, zdecydowała.

Pod jednym względem na pewno nie minął się z prawdą - nie miała wyboru. Narzuciła kaptur i klnąc pod nosem, ruszyła w dalszą drogę.

Konał. Wiedział, że umiera. Ramię bolało go jak wszyscy diabli, ciało płonęło żywym ogniem. Był sam w ciemnościach, w smolistym mroku. Wiedział, że umiera.

Nie pamiętał, jak tu się znalazł. Przypominał sobie tylko wypadających z lasu jeźdźców i hałas bitwy. Krew... Zgodnie z rozkazem pobiegł bronić księcia. Nie spodziewał się zdradzieckiego ciosu nożem.

Potem spał. Jak przez mgłę widział postać Joanny... Jej smutny uśmiech i chłodne dłonie... Czyżby to ona tutaj go przyniosła? Nie, to zupełnie niemożliwe. Nie miałyby aż tyle siły ani ochoty, żeby się nim zająć.

Ktoś wtłoczył go w jakąś ciemną jamę. Może sam się tu dowlókł? Dalej już nie pójdzie. Zupełnie opadł z sił. Miał wysoką gorączkę. Umrze tutaj, samotny, w zupełnej ciemności i nikt po nim nawet nie zapłacze. Umrze zupełnie sam, bez rozgrzeszenia.

Z wolna odchodził do mrocznego miejsca, które czekało nań od dawna. Ktoś jednak płakał... Poczul łzy, które kapnęły mu na rozpaloną skórę i przez chwilę czekał, że wyparują z sykiem. Przez zamknięte powieki prześwitywało jakieś światło. Czyżby noc minęła? Wstawał dzień. Może to blask bijący zza wrót raj? Albo płomienie piekła?

Coś ciężkiego leżało mu na twarzy. Nie mógł otworzyć oczu. Bardzo chciał, ale nie mógł. Był na to za słaby. Znow poczuł

czyjeś silne, chłodne ręce na swojej skórze. Na gołym ciele.

- Leż spokojnie - rozległ się cichy szept. Poczł zapach krwawnika. Ostrą woń sera i jeszcze coś... Kwiat? Kobieta?

Zatem to nie jest piekło. Poszedłem do nieba. W piekle na pewno nie ma sera, nie mówiąc już o kobietach.

Przecież w niebie także ich nie było. Żadnych ziemskich pokus. Zmusił się do tego, żeby odrobinę uchylić powieki. Zobaczył Joannę oświetloną blaskiem płonącego ognia. Miała zapłakaną twarz.

- Uciekaj stąd - powiedział. A może chciał powiedzieć, bo z jego ust wydobyło się tylko zduszone rżężenie.

- Cicho. - Pogładziła go po głowie. - Cicho, kochany.

Kochany, pomyślał Adrian i znów zamknął oczy. Chyba jednak powinien wrócić do świata żywych.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

---

**B**iskup mnie ostrzegał, myślał Peter. Jeden z moich grzechów to niepohamowana duma. Poza tym myliłem się, uważając, że stałem się nieczuły na kobiece wdzięki. Zdołała zawrócić mi w głowie ruda amazonka, złośliwa jak diabli.

Ukradkiem zwolnił kroku. Nie chciał, aby Elizabeth wiedziała, że może jednak liczyć na jego względy. Jeszcze sobie pomyśli, że nawet czarny książę w głębi duszy zachował resztkę ludzkich uczuć.

Wszystko byłoby prostsze, gdyby знаła prawdę: że on jest jedynie biednym i zgorzkniałym mnichem, żyjącym w celibacie, a rzeczywisty wróg prawił jej gładkie słówka jako brat Matthew.

I tak ciąży na mnie grzech nieposłuszeństwa, i uznał w duchu Peter. Wszystko dlatego, że zbyt długo sam sobie byłem panem. Nie nawykłem do tego, żeby ktoś mną rządził. Bóg mi świadkiem, że bardzo chciałem się zmienić — bo i po co wybrałem najsurowszy zakon?

To zadanie na pewno nie należało do najłatwiejszych. Prawdę mówiąc, obecność Elizabeth z Bredon powinien potraktować jako dodatkową karę. Pytanie tylko, jak Bóg mógł wystawić go na takie męki?

Bóg albo diabeł.

- Zaraz się przewrócę - oznajmiła.

- Wtedy wezmę cię na ręce. - Wiedział, że to ją uciszy na dłuższą chwilę. Nie chciała, żeby jej dotykał. Bała się tego bardziej, niż zostać sama w lesie. Ciekawe, czy choć trochę zdawała sobie sprawę, co działo się w jego duszy?

Peter pierwszy raz spotkał kogoś tak niewinnego, nieświadomego zasad rządzących całym światem, a jednocześnie mądrego. Przewyższała wiedzą niektórych zakonników. Mogła

swobodnie stanąć w szranki z bratem Michael'em, który opiekował się klasztorną biblioteką, a przy tym były jej obce najprostsze prawidła życia.

Dobrze wiedziała, jak przyjąć poród. Radziła sobie w najcięższych przypadkach. Wiedziała też, skąd się biorą dzieci, choć jeszcze nigdy nie zległa z mężczyzną. Jednak jej wiedza o uczuciach opierała się wyłącznie na teorii, a nie na doświadczeniu.

Wychowywała się wśród mężczyzn. Peter słyszał wprawdzie, że jej ojciec brał sobie nowe żony, ale tak szybko umierały, że nie zdążyły niczego nauczyć młodej pasierbicy. Zapewne Elizabeth nie chciałyby ich słuchać. Dobrze jej było z tą nieświadomością - trzymała się jej całe życie - więc po co to zmieniać?

Nie miała w sobie nic z uwodzicielki jak pani Joanna. Nie była małym cherubinkiem jak Mar-gery z Wakebryght. W niczym nie przypominała eleganckiej kurtyzany ani słodkiej wiejskiej dziewczynki.

Wysoka, chuda, ruda, z kilkoma piegami na nosie. Od dwóch dni Peter miał ochotę, żeby je wszystkie wycalować i sprawdzić, czy jest ich więcej. Na pewno by je znalazł.

Elizabeth nie była ładna w obiegowym pojęciu tego słowa. Nie musiała wszystkim się podobać. Wystarczyło, że w oczach właściwego mężczyzny stawała się tą najpiękniejszą.

Właściwego? - zadał sobie w duchu pytanie Peter i mimowolnie przyspieszył kroku. Dobrze sobie... Jeszcze takiego nie znalazła i nie znajdzie go w klasztorze Świętej Anny. Całą energię zużyje w zbożnym celu i umrze jako dziewica. Pójdzie prosto do nieba bez zbędnych przystanków po drodze.

Ja zaś będę w piekle, tam, gdzie moje miejsce. Ziemską pokutę nie wystarczy. Nie może, skoro ciągle grzeszę w myślach, patrząc na Elizabeth z Bredon.

Ściemniało się. Peter rzucił okiem przez ramię. Niewiele widział - twarz miała zasłoniętą kapturem, resztę ciała spowijał przydługi habit. Chyba była już bardzo zmęczona, bo ciągle się potykała.



Peter przystanął i odwrócił się. Nie patrzyła, gdzie idzie, więc wpadła na niego. W ostatniej chwili się powstrzymał, żeby nie chwycić jej w ramiona.

Elizabeth odskoczyła szybko.

- Ten habit trochę ci przeszkadza - zauważył.

- Jestem wysoka, ale chyba daleko mi do olbrzyma - odparła.

- Widzisz coś spod kaptura?

- Miałam się przecież schować.

- Nie chcę tylko, aby przypadkowo spotkani ludzie rozpoznali, że jesteś kobietą. To nie znaczy, że masz iść na ślepo. Pokażę ci. - Wyciągnął rękę, ale Elizabeth odsunęła się jak oparzona.

- Nic mi nie będzie - powiedziała.

- Nie denerwuj mnie, braciszku - burknął. W ten sposób mógł nieco ostudzić kłębiące się w nim uczucia. Właśnie, to dobry sposób. Dla zakonnika, który pragnie zachować celibat, nie ma różnicy płci. Przynajmniej nie powinno.

- Łatwo się denerwujesz.

- Nieprawda. - Podeszedł trochę bliżej i złapał ją za ramię, zanim zdążyła uciec.

- Stój spokojnie.

Bez słowa spełniła jego polecenie i stanęła sztywno, jakby kij połknęła.

- Dół można skrócić, jeśli wyciągniesz habit ponad sznur, którym jesteś przepasana. O, tak... -Zaczął poprawiać jej przebranie.

Jego ręce znalazły się za blisko jej piersi. Wiedział o tym. Ona na pewno też wiedziała. Peter skupił całą uwagę na swoim zadaniu. Ułożył habit, ale nie odstąpił w tył, by spojrzeć na swoje dzieło. Bał się, że dziewczyna znowu mu ucieknie.

- No - mruknął, kiedy już skończył. - W ten sposób radzą sobie nasi niżsi bracia.

- Nie powiedziałabym, że jestem niska - zauważyła Elizabeth.

- Jak na kobietę, jesteś wysoka - przyznał - ale niektórzy

mężczyźni są jeszcze wyżsi.

- Tak jak ty.

- Tak jak ja - zgodził się i poprawił jej kaptur. To było dużo gorsze. Niespodziewanie ujrzał z bliska jej cudowne usta i oczy. Patrzyła na niego z tak nieszczęśliwą miną, że miał ochotę ją pocałować, żeby się trochę rozchmurzyła. Choć prawdę mówiąc, to nie wiadomo, co rzeczywiście by zrobiła. Mogła go pobić, kopnąć w łydkę albo zacząć krzyczeć.

Lub odpowiedzieć pocałunkiem.

Prawdopodobnie wszystko naraz. Nieważne, byle całowała. Usta przy ustach, twarz przy twarzy, złączeni w słodkim, mrocznym grzechu.

Oczy nagle jej pociemniały. Nie musiał pytać, co się stało. Wiedział, dlaczego zagryzła wargi i oddychała nieco szybciej. Zapadła chwila napiętej ciszy. Peter pochylił się i już niewiele brakowało, żeby złożył lekki pocałunek na wargach Elizabeth, kiedy lasem wstrząsnął przeraźliwy krzyk strachu.

Peter cofnął się jak obłany smołą, którą już dla niego gotowali w piekle. Elizabeth gwałtownym ruchem z powrotem zasłoniła twarz kapturem.

- Jak chcesz, bracie - powiedział Peter. - Tylko patrz przed siebie i postaraj się na mnie nie wpadać. To żadnemu z nas nie wyjdzie na dobre.

Nie spytała dlaczego. Zrobiła bardzo mądrze, bo gdyby się odezwała, dałby jej mały pokaz.

Słodki Jezu, pomyślał. To miała być pielgrzymka dla zbawienia duszy potwora, a w zamian stała się trudną próbą dla mnie. Jeśli wytrwam w cierpieniu w pobliżu Elizabeth i nie dotknę jej więcej... Jeśli jako dziewica trafi do klasztoru... Może ocalę duszę? Katusze, które przeżywał, powinny mu od razu zapewnić miejsce wśród świętych. Dostęp do bram raju nie był zbyt wielkim żądaniem.

Elizabeth burczało w brzuchu. Peter już nieraz pościł, ale ona? Mógł jej dać przynajmniej pajdę chleba, żeby zjadła po drodze.

Nic z tych rzeczy. To byłaby uprzejmość, a jednocześnie furtka dla dalszych uprzejmości. Nie wolno ryzykować.

Doszli już w pobliże opactwa Świętego Bartłomieja, gdzie Peter zamierzał zatrzymać się na noc. Miał nadzieję, że wieczór spędzony wśród zakonnych braci przywróci mu wiarę i siłę ducha. Jutro jak odnowieni wyruszymy w drogę, pomyślał. Ja z nową energią po wspólnej modlitwie, ona wypoczęta po dobrze przespanej nocy.

Zawsze to dzień drogi bliżej do klasztoru Świętej Anny.

Przecież mógł podczas spowiedzi wyjawić opatowi, kim jest i kim jest Elizabeth. Musiał też dowiedzieć się czegoś więcej o losie prawdziwego księcia Williama. Chciał go odszukać, gdy tylko dziewczyna trafi w dobre ręce.

Uprzytomnił sobie, że przyrzekł dotrzymać tajemnicy nawet przed duchownymi. Co gorsza, bracia od Świętego Bartłomieja znani byli z swoich surowych zasad: żadnych niewiast pod dachem opactwa, wstęp tylko dla pielgrzymów, i to nie wszystkich. Wyrzuciliby go w mgnieniu oka, gdyby napomknął coś o Elizabeth.

Trudno. Trzeba trzymać się poprzedniego planu. Przespać się i odejść już z samego rana, zostawiając braci w błogiej nieświadomości, kogo u siebie gościli.

Usłyszał dzwony na wieczornicę i znowu przystanął. Tym razem Elizabeth była bardziej czujna. Nie wpadła na niego.

- Jesteśmy prawie na miejscu.

- To znaczy gdzie?

- W opactwie Świętego Bartłomieja. Teraz posłuchaj mnie uważnie i przypadkiem nie próbuj się kłócić. Przedstawię nas jako dwóch mnichów pielgrzymujących do klasztoru Świętej Anny.

- Dlaczego nie gdzie indziej? - wtrąciła.

- Bo po tej drodze jest najbliżej do sanktuarium Świętej Anny. Po co kłamać, skoro można powiedzieć prawdę? Nie przerywaj mi. Masz być mnichem. Zwykłym nowicjuszem, który poczynił śluby milczenia. We wszystkim musisz mnie słuchać.

- Ale...
- Zaczynij już od tej pory ćwiczyć się w milczeniu. Jesteś bratem Thomasem...
- Nie! Tylko nie to!
- Przestań! Nie lubię zrzędzenia. Ja jestem brat Peter. - Być może popełnił błąd, podając swoje prawdziwe imię - zawsze mógł spotkać kogoś, kto o nim przynajmniej słyszał - ale musiał zaryzykować. W ten sposób miał przynajmniej pewność, że się nie zapomni.
- Ha! Nigdy nie widziałam, żeby ktoś był mniej od ciebie podobny do „brata Petera"! Nie uwierzą, że jesteś mnichem. Nie wyglądasz na mnicha, nie mówisz jak mnich i... i... w ogóle!  
Te słowa, nie wiadomo czemu, sprawiły mu pewną przykrość.
- Zostawmy to opatowi, dobrze? A teraz schowaj się pod kapturem i nic nie mów, bo w przeciwnym razie bracia się dowiedzą, że na dodatek pościsz!
- Nie zrobisz tego.
- Chcesz się przekonać?
- Nie cierpię cię.  
Muzyka dla moich uszu, pomyślał.
- Chodź, braciszku, i nie kręć tak biodrami. Wprawdzie widziałem paru zniewieściałych zakonników, ale w twoim wykonaniu to już zakrawa na przesadę.
- Wcale nie jestem zniewieściała!  
Z trudem powstrzymał się od śmiechu. Chyba naprawdę w to wierzyła. Postanowił, że na razie nie będzie jej wyprowadzał z błędu.
- Cicho! - huknął najbardziej „książęcym" głosem i poszedł w stronę opactwa. Naburmuszona Elizabeth podreptała za nim.
- Chyba najlepiej i najrozsądniej byłoby znaleźć jej męża, a nie zamykać ją w klasztorze, pomyślał Peter. Rzecz jasna, życie zakonnicy też miało pewne plusy, lecz Elizabeth najzwyczajniej w świecie do tego się nie nadawała. Pewnie podjęła tę decyzję, bo

nie wiedziała, ile traci. Wtedy najłatwiej o wyrzeczenia.

Nie, nie. Potrzebowała silnego chłopca, który pokazałby jej, czym jest miłość, a jednocześnie z nią wytrzymał. Którego mogłaby pokochać, a on by w zamian przychylił jej nieba.

Warto poszukać. Choćby dlatego, że dla Petera byłoby to pokutą o wiele gorszą niż najbardziej szorstka włosiennica.

Tak, zrobię tak, postanowił. Rok upłynie, zanim Elizabeth dostanie święcenia. Przez ten czas kogoś jej znajdzie i postaram się, żeby trafił do klasztoru Świętej Anny. A potem niech natura działa sama.

Szkoda tylko, że nie chodzi o mnie. Tego będę na pewno żałował do końca życia.

Elizabeth myślała, że za murem opactwa znajdzie azyl, schronienie przed nocą i opiekę mnichów, po stokroć jej miłszą niż chmurne towarzystwo czarnego księcia. Po godzinie miała szczerą ochotę wyskoczyć przez okno i, nie patrząc na nic, puścić się w dalszą drogę.

Braciszkanie od Świętego Bartłomieja nie należeli do najprzyjemniejszych ludzi. Rzadko zwykli się kąpać. Nikt im nie powiedział, że czystość jest zaledwie o krok od boskości. Elizabeth nie mogła się nadziwić, jak można aż do tego stopnia zaświnić tak skąpo umeblowane miejsce.

Przy wieczerzy usiadła obok brata Petera, zjadła nieco suchego chleba, popiła kwaśnym winem. Czuła woń pieczonego mięsa, bijącą od stołu opata, ale lepsze potrawy najwyraźniej były tylko dla miejscowych, a nie dla wędrowców.

Tu nikt na pewno nie składał ślubów milczenia, choć Elizabeth ciągle modliła się pod nosem, aby Bóg choć na chwilę uciszył dudnienie opata. Obfity posiłek w niczym mu nie przeszkadzał - opat gadał między kęsami, gadał, pijąc wino, gadał pewnie przez sen. Tego nie chciała wiedzieć.

Pielgrzymów powitano burkliwie, ale bez sprzeciwów. Elizabeth bała się wyrzeć spod kaptura, nie wiedziała więc, czy jej

obecność wzbudziła podejrzenia. Księżę zachowywał się jak mnich; został przyjęty bez zmrużenia oka.

- Bracie Peterze! - ryknął opat przez całą długość stołu.
- Słucham, ojciec Fillionie?
- Co też bracia z opactwa Clauvern myślą o niewiastach?

Podzielają nasze poglądy czy też są może słabsi?

- Przede wszystkim są wierni ślubom czystości - odparł Peter. - Jak wszyscy zakonnicy.

- Chodzi mi o coś więcej niż podłe chędożenie - padła odpowiedź. - Już sama ich obecność to ziarno zła wszelkiego. Diabelski pomiot.

Ziarno zła? - Elizabeth była nieco zdziwiona retoryką opata. Sama nie czuła się w tym momencie zła, ale o nim nie miała zbyt dobrego zdania.

- W Clauvern panuje pogląd, że i niewiasta ma swoje dobre strony - odpowiedział brat Peter. - Każda z nich może być całkiem niezłą praczką lub sprzątaczką. Zawód kucharza zarezerwowany jest dla mężczyzn, bo to oni najlepiej gotują, ale niewiasta w kuchni też może się przydać. Przecież Bóg nawet najlichsze stworzenia uczynił na pożytek ludziom.

- Nam tutaj dobrze bez nich. Lepiej żyć w odrobinie brudu, niżli narażać się na wieczne potępienie, przebywając w obecności kobiet.

Elizabeth chrząknęła głośno, a brat Peter kopnął ją pod stołem.

- Amen, ojciec — powiedział nabożnie. - Ale dlaczego o tym rozmawiamy? Pytam, bo przecież tu nie ma niewiast i zapewne nie było od dłuższego czasu.

- Ostatnia chyba z dziesięć lat temu zbrukała święte mury opactwa. Zwyczajna dziewczka, która właśnie miała wydać na świat bachora. Diabele dziecię, poczęte bez ślubu. Wyrzuciliśmy ją na śnieg.

Elizabeth zakrztusiła się paskudnym winem, zakasłała i spod kaptura ukradkiem zerknęła na opata. Ojciec Fillion był brzydkim,



niskim człowieczkiem o groźnych oczach i wąskich ustach, znamionujących okrucieństwo. Jego habit – choć lepszy niż u pozostałych braci - nosił wyraźne ślady licznych biesiad. Wydatny brzuch też był dowodem na to, że zacny opat raczej nie lubił pościć.

- Myślę, że na zimnym wietrze pożałowała swoich grzechów - niewzruszonym tonem odparł brat Peter.

- Zdechła. Musieliśmy ją pochować, razem z tym bękartem, a tymczasem ziemia zamarzała na kamień. Aleśmy się naharowali! To było dla mnie ostateczną miarą, że baby są nic niewarte. Miała czelność prosić tu o schronienie! W domu pełnym mężczyzn... Na Boga, mieliśmy asystować jej przy porodzie?!

- A jednak bez porodu nikogo z nas by tu nie było - odezwał się brat Peter. Chyba pierwszy raz odkąd się poznali, Elizabeth całkowicie trzymała jego stronę.

- Głupio gadasz, bracie - orzekł opat. - W ten sam sposób mógłbyś usprawiedliwić chędoże-nie, bo bez niego też nas by nie było!

- Hm... chędożenie... - powiedział brat Peter i przesunął stopę pod stołem w ten sposób, że dotykała nogi Elizabeth. Dziewczyna drgnęła, ale nie miała gdzie uciekać, chyba że na kolana obleśnego mnicha, siedzącego po jej drugiej stronie.

- Potworność - ciągnął Peter. Wsunął stopę pod habit Elizabeth. Nosił sandały, tak jak ona, czuła więc jego nagą skórę. Drżącymi dłońmi poprawiła kaptur, złożyła ręce na podołku i próbowała ukradkiem kopnąć natręta. - Przecież nawet nasze matki są winne tej zbrodni.

- Oprócz Przenajświętszej Maryi Dziewicy!

- To prawda, ale żaden z nas nie jest Chrystusem, nawet gdybyśmy chcieli.

Po tych słowach w jadalni zapanowała głucha cisza.

- Coś mi się zdaje, że w twoim zakonie panuje pewne rozluźnienie, bracie - po dłuższej chwili ponuro stwierdził opat. -

Nie tolerujemy tutaj takich rzeczy.

Elizabeth wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź.

- Dostrzegłem to niebezpieczeństwo i dlatego wybrałem się na pielgrzymkę. Rad jestem, że tu trafiłem, bo niejednego można od was się nauczyć.

Ktoś mniej zadufany w sobie od ojca Filliona bez trudu dostrzegłby ironię w jego głosie, ale opat przyjął to za dobrą monetę.

- Dbaj o swojego nowicjusza - przykazał, kiwając głową. - Nie żałuj mu razów. Niech się nauczy skromności i posłuszeństwa.

- Mam tę intencję. Brat Thomas potrafi być czasami uciążliwy, ale na pewno go wychowam.

- Jeśli chcesz, bracie, możesz go przysłać do mnie dziś na noc. Łamałem twardszych duchem od niego. Ściągnąć takiemu habit i wlepić parę różeg, a inaczej będzie śpiewał. - Opat oblizał wąskie wargi, nie mniej podniecony taką perspektywą niż leżącym przed nim pieczonym bażantem.

- Nie pozwolę, żebyś wyręczał mnie w moich obowiązkach, ojciec - odparł zupełnie niezmięszany książę. - To moja odpowiedzialność. Brat Thomas będzie mi posłuszny, choćby to czasami było nieprzyjemne.

Opat posepnie pokiwał głową. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby ukryć niezadowolenie.

- Zatem Bóg z tobą, bracie. Przyłączcie się do nas do wieczornych chórów, a potem brat Adolphus wskaże wam odpowiednią celę. Zajmiecie ją obaj.

Elizabeth ze wszystkich sił zacisnęła zęby, aby nie krzyknąć. Chrząknęła dwa razy.

- Nawet najmniejsza izba będzie dla nas pałacem, wielebny ojciec - uprzejmie podziękował brat Peter.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

---

Chłopiec umierał, a Joanna nie mogła mu pomóc. Nie, nie chłopiec. Przez ten czas zdążyła go poznać już na tyle, aby wiedzieć, że jest dojrzałym mężczyzną. Nie peszył jej widok nagiego męskiego ciała.

Adrian nadal miał gorączkę. Obmyła go chłodną wodą, zwilżyła mu spierzchnięte usta i zmusiła, żeby przełknął chociaż parę kęsów skromnej stawy. Przez cały czas zachodziła w głowę, jak to się stało, że uczucia wzięły u niej górę nad rozsądkiem.

Chciała odejść. Wmawiała sobie, że w pierwszej napotkanej wsi znajdzie dla niego pomoc, że ranny jej nie obchodzi. Że powinna złożyć los Adriana w ręce Boga i pójść w swoją stronę.

Jednak wieś rozłożyła się dużo bliżej, niż się spodziewała, a ludzie okazali się życzliwi. Bez klejnotów i ozdób nie budziła zdziwienia, szybko więc ich przekonała, że jest zwykłą służącą, która przypadkowo zgubiła się z orszaku podróżującego traktem. Za złoty pierścionek, który dał jej Owen, kiedy po raz pierwszy zgodziła się uprawiać z nim miłość, dostała we wsi chleb, wino i zioła. Bez żalu rozstawała się z tą błyskotką, budzącą w niej tylko niezbyt miłe wspomnienia. Zresztą miała ich więcej, bo Owen także później nagradzał ją w ten sposób. Przekupstwo jest zawsze lepsze od brutalnej siły, pomyślała ze smutkiem. Wystarczy wspomnieć na to, co ze mnie zrobiło...

Opuściwszy wieś, chciała iść na zachód, do morza, do większego portowego miasta. Chyba jednak zgubiła drogę w lesie, bo po pewnym czasie znów stanęła w drzwiach rozwalonej chaty. Ostatnie kilkadziesiąt jardów pokonała biegiem, pewna, że znajdzie tylko stygnącego trupa.

Adrian majaczył w gorączce. Umrze do rana, uznała Joanna. To tylko strata czasu, nie zdołam go ocalić. Jak będę przy jego

śmierci, to jeszcze gorzej. Westchnęła ciężko, zawinęła rękawy sukni i wzięła się do roboty.

Nie spała przez całą noc. Adrian to rzucał się zlany potem, to znów dygotał z zimna. Joanna obłożyła ranę opatrunkiem z krwawnika, który dostała od zielarki we wsi, i przykryła chorego własnym płaszczem. To był tylko mężczyzna, ale nie mógł umrzeć. Z jakiegoś powodu chciała, żeby przeżył.

Nad ranem wreszcie przestał się rzucać, lecz Joanna wiedziała, że to jeszcze nie koniec. Zrobiła wszystko, co w jej mocy. Teraz mogła tylko się modlić. Śmierć zawisała nad leśną chatą.

Zmęczona Joanna uklękła przy legowisku. Poczowała się bezradna. Nie mogła powstrzymać łez, kiedy odgarniała ciemne, przesiąknięte potem włosy z bladej twarzy Adriana. Wyglądał młodo, choć prawdopodobnie był niewiele młodszy od niej. Za młody, by umrzeć - to wiedziała na pewno.

- Słodki chłopcze - szeptała. - Nie umiem cię ocalić. Serce mi przez to krwawi, chociaż myślałam, że na zawsze pozbyłam się wszystkich głębszych uczuć.

Pochyliła się i delikatnie pocałowała go prosto w usta. Łzy kapnęły na jego rozpalone ciało. Adrian nawet się nie poruszył, sztywny, jakby już umarł.

Joanna złożyła głowę na legowisku. Nawet jeśli miał umrzeć, nie powinien być sam. Nikomu nie wolno umierać w samotności. Powoli, ostrożnie położyła się obok niego i przycisnęła go do piersi.

- Co takiego?! - zapytała Elizabeth rozwścieczonym szeptem.

- Cicho! Nie zapominaj, że obowiązują cię śluby milczenia - niemal niedosłyszalnie mruknął brat Peter.

Szli w grupie zakonników, kroczących za opatem. Dały się słyszeć śpiewy. Mnisi nie mieli dobrych głosów, zatem litania szła opornie. Tym większe było zdziwienie Elizabeth, kiedy idący obok niej mężczyzna przyłączył się do ogólnego chóru głębokim i melodyjnym basem. Ale nie to ją najbardziej zaskoczyło.

Najdziwniejsze, że dobrze znał tę litanię! Nie tylko słowa, ale i melodię. To było niemożliwe. W przeszłości rozpustny książę na pewno nie bywał w klasztorach tak często, żeby tego się nauczyć.

A może dorastał pośród zakonników? Przecież zdarzało się, że wielkie rody oddawały nieślubnych synów pod opiekę duchownej braci. Za murami klasztoru chłopiec był bezpieczny, ukryty przed ludźmi i zarazem z dala od matki, która mogła przysporzyć niepotrzebnych kłopotów. No cóż, w dorosłym życiu książę William daleko odszedł od przykazań boskich i kościelnych. Została mu jedynie znajomość liturgii.

Szczęśliwie się złożyło, pomyślała Elizabeth. To sprawi, że nasza maskarada stanie się jeszcze bardziej wiarygodna. Książę miał rację, że obłożył mnie ślubem milczenia. Może jeszcze od biedy śpiewałabym niskim głosem, ale nie po łacinie.

Co pewien czas musiała podbiegać, żeby dotrzymać kroku Williamowi. Dobrze, że szli na samym końcu procesji, nikt więc tego nie widział. Pobyt wśród samych mężczyzn, w zamkniętej enklawie, okazał się dla niej bardzo pouczający. Po pierwsze, odkryła, że nie jest tak bardzo wysoka. Kilku tutejszych mnichów przewyższała ją wzrostem. W zamku ojca wszyscy patrzyli na nią jak na dziwoląga. Przerastała każdego - kobiety i mężczyzn - z wyjątkiem ojca Bennetta i zapewne odźwiernego Willa, ale on był tak stary i zgarbiony, że na dobrą sprawę nikt już nie pamiętał jego dawnego wzrostu.

Książę był pierwszym, przy którym poczuła się mała. Nawet Thomas zaledwie dorównywał jej wzrostem. Nic dziwnego, że w obecności księcia czuła się trochę nieswojo. Nie przywykła do tego, by zadzierać głowę. Chociaż nareszcie nie była straszidłem - przynajmniej nie w jego oczach. Dlatego też...

O czym ja myślę?! Znowu potknęła się i podbiegła, żeby iść koło Williama. Zerknął na nią spod kaptura. Owszem, mógł się podobać, ale był potworem. To, że lubiła jego pocałunki i drobne pieścizoty, świadczyło tylko o tym, że mimo wysokiego wzrostu

pozostawała zwykłą, normalną kobietą. Gdyby była cokolwiek niższa, dawno miałaby męża i gromadkę dzieci.

Męża-gbura, najpewniej wybranego przez ojca. Jednak to przecież jakaś drobna namiastkaszczęścia... Nie, pomyślała zaraz. Chyba nie byłabym szczęśliwa nawet z Thomasem z Wakebryght, choć znam go od dzieciństwa.

Po całym dniu wędrówki zmęczenie wzięło górę nad uporem i wytrzymałością. Elizabeth martwiła się o przyszłość, złościła na księcia, brzydziła brudnych mnichów i wcale nie czuła się bezpieczna. Nie wiedziała, czy w ogóle dotrze do klasztoru Świętej Anny. A jeśli nawet, co potem? William nauczył ją, że istnieje inna, przyjemniejsza strona kontaktów z mężczyznami.

Chyba naprawdę oszalałam! - skarciła się w duchu Elizabeth. Zbyt wiele wydarzyło się ostatnimi dniami - narodziny, śmierć, przyjaźń i poczucie straty... Teraz szła brudnym korytarzem opactwa Świętego Bartłomieja, słuchała nieskładnych śpiewów i drżała z obawy, co przyniesie noc.

Procesja stanęła przed małymi drzwiami. Opat skinął na dwójkę pielgrzymów.

- Bądź ostrożna - niemal bezgłośnie szepnął książe.

Posłuchała go, chociaż przez chwilę miała ogromną ochotę rzucić kaptur, potrząsnąć rudymi włosami i pokazać wszystkim, że jednak jest kobietą. Szkoda, że za oknami nie leżą zwały śniegu. Mogliby ją wyrzucić, tak samo jak tę biedną ciężarną dziewczynę...

Chyba jednak nie jestem stworzona do klasztoru, pomyślała ze smutkiem. Miała zbyt wiele pytań, dużo wątpliwości. Jednak zdawała sobie sprawę, że nigdy nie znajdzie męża. Co mnie czeka, jeśli nie będę zakonnicą? - zapytywała się w duchu.

Książe z przesadną brutalnością chwycił ją za ramię i wciągnął do niewielkiej chłodnej celi. Przedtem jeszcze wziął świecznik z rąk posępnego mnicha. Elizabeth chętnie obeszlaby się bez światła. Cella była maleńka, z wąskim wykuszem okna. Na



podłódze leżały dwa posłania. Właśnie zaczęło padać i do środka wionęło chłodem. Okno nie miało okiennicy. Zapowiadała się zimna noc. Dobrze chociaż, że nie musimy spać w tym samym łóżku, pomyślała Elizabeth.

Nie opierała się. Wszak lepsze to niż nocleg w lesie. W razie czego w opactwie usłyszą jej krzyki. William jednak nie będzie niczego próbował - nawet on nie odważyłby się sprofanować brudnego, ale nie mniej jednak świętego przybytku.

Nie uśmiechało jej się spać na deszczu ani gdzie indziej w murach opactwa. Wbrew pozorom, przy księciu czuła się nieco bezpieczniejsza.

- Zobaczmy się zatem na jutrzni - oznajmił opat. - Niech Bóg was strzeże od marzeń sennych.

Elizabeth czekała cierpliwie, aż William zamknął drzwi. Echo nabożnych śpiewów z wolna ucichło w oddali. Dopiero wtedy zrzuciła kaptur i odsunęła się od księcia.

- Nie wiem, czy chcę spędzić z tobą noc w tej maleńkiej celi.

- Nie męcz mnie, Elizabeth. Przecież doskonale zdajesz sobie sprawę z tego, że nie mamy wyboru. Gdyby nie ja, siedziałabyś teraz pod drzewem, w strugach padającego deszczu. Nie licz na to, że opat okaże choć trochę litości dla grzesznej i brudnej kobiety, która podstępem wdarła się w święte progi.

- Jeśli mowa o brudach, to spójrz na opactwo.

- To dlatego, że nie ma tu kobiet do sprzątania - odparł ksiązę, zdejmując kaptur z głowy.

- Równie dobrze mężczyźni mogą sprzątać.

- Widocznie wolą spędzać dnie na modłach i kontemplacji.

- Lub na jedzeniu - burknęła Elizabeth. - Nigdy nie widziałam grubszych zakonników.

- W takim razie widziałas doprawdy niewiele. Większość z nich ma wyraźne skłonności do tycia. Muszą jeść, skoro nie mogą sobie pofolgować przy innych okazjach...

- Choćby dlatego zupełnie nie wyglądasz na mnicha.

- Po której stronie śpisz? Na zewnątrz czy od ściany?

Zmarszczyła brwi.

- Są dwa posłania. Jedno dla ciebie, drugie dla mnie.

- Rzeczywiście. Będę spał na tym, z tobą lub bez ciebie. -

Wskazał na siennik z lewej.

- W takim razie wybieram drugie.

- Z całym moim błogosławieństwem. Kłopot w tym, że tam łożą robaki, z którymi pewnie nieprędko sobie poradzisz. Możesz mi nie wierzyć, ale z dwojga złego wszy są o wiele lepsze.

Z przerażeniem spojrzała na posłanie. Nie miała najlepszego wzroku - jeszcze jedna ułomność - lecz mimo to widziała, że coś się tam rusza. Wzdrygnęła się.

- Skąd wiesz, że tamto posłanie jest lepsze? - spytała.

- Przynajmniej nic po nim nie łązi. Nie czujesz zapachu cedru?

To odstrasza wszelkie robaki.

- Naprawdę? Dużo wiesz. Skąd znałeś słowa litanii? Kto cię nauczył tego wszystkiego?

- Mam wiele ukrytych zdolności - odpowiedział książę bez zmrużenia oka. - Część z nich w każdej chwili mogę ci pokazać, ale zapewne nie chcesz, żebym cię dotykał, nawet jeśli mamy się położyć razem.

- Nie będziemy leżeli razem!

- Wolisz spać na stojąco? - Wygodnie ułożył się na posłaniu. Za wygodnie.

- Myślisz, że robaki stamtąd nie przeleżą?

- O ile się nie mylę, byłaś kasztelanką. Nie wiesz, że woń cedru usuwa robactwo? To działa na nie silniej niż ciepły i kuszący zapach ludzkiego ciała.

Elizabeth pomyślała o ciele Williama, ukrytym pod zgrzebnym habitem. Też było ciepłe i kuszące?

- Co się tak we mnie wpatrujesz? - spytał. - Nagle wyrosły mi rogi?

Płomień świecy zachybotał mocniej w zimnym powiewie

wilgotnego wiatru. W półmroku William wcale nie wyglądał na czarnego księcia ani na wędrownego mnicha, którego udawał z takim powodzeniem.

- Posuń się - powiedziała cierpko. - Wolę spać od brzegu.

- Bliżej robaków?

- Od ściany - poprawiła się szybko i zdjęła sandały. Nie mogła sobie poradzić ze sznurem, zawiązanym w pasie, po namyśle postanowiła więc zostać w habicie. Tak było zresztą bezpieczniej.

Książę odrzucił cienki koc i zrobił nieco miejsca od ściany. Za mało, pomyślała Elizabeth, ale co miała zrobić?

- Zostawiam zapaloną świecę - oznajmiła ostrzegawczo i dała krok nad leżącym Williamem.

- Jak sobie chcesz.

- Jeśli mnie dotkniesz, zacznę krzyczeć. Niech mnie wyrzucą nawet na ulewę. Spróbuj tylko położyć na mnie rękę...

- To będzie znacznie więcej niż ręka, bo tu jest dość ciasno.

Usiłowała zająć jak najmniej miejsca. Położyła się na boku, twarzą w jego stronę. Wolałaby raczej patrzeć na gołą ścianę, niż widzieć przed sobą ciemne mądre oczy, ale jeszcze bardziej się bała leżeć do niego tyłem.

- Mogę ci zaufać? - zapytała cicho.

Był tak blisko... Lepiej jednak wstanę i zdrzemnę się na siedząco, postanowiła Elizabeth. A może spróbuję pogodzić się z małymi stworzeniami, żyjącymi w tamtym sienniku. Lepsze tysiąc ukąszeń od tej rozterki, która mnie teraz zżera.

- Możesz, bracie Pyskaczu - szepnął książę i zamknął oczy. - Tak jak sobie.

I to właśnie było najgorsze.

Obudził go śpiew ptaków. Adrian zazwyczaj lubił różne głosy przyrody, ale dzisiaj radosny świergot za ścianą przyprawiał go o ból głowy. Chciał zatkać sobie uszy, zgasić natrętne światło i znowu zanurzyć się w miękką, przyjazną ciemność, z której go coś wyrwało.

Światło raziło go przez zamknięte powieki, a ptaki nie przestawały zrywać sobie gardeł. Ból w ramieniu był inny - w dalszym ciągu dotkliwy, ale już nie parzył, jak kilka godzin temu.

Adrian niechętnie, z wolna, uniósł powieki i zaraz je zamknął, oślepiiony słońcem, które padało mu prosto w twarz. Przez tę krótką chwilę zdążył zauważyć postać leżącą obok, tuż przy jego boku.

Joanna. Do tej pory myślał, że tylko mu się śniła. Był pewny, że umiera, i chciał jej powiedzieć tyle różnych rzeczy, ale słowa nie przechodziły mu przez spierzchnięte usta. Nie mógł mówić, chociaż zwilżała mu twarz zimną wodą.

W końcu jednak nie umarł. Gorączka ustąpiła, a Joanna nie była senną zjawą, chociaż wciąż nie mógł uwierzyć, że płakała nad nim i go całowała.

Ale przecież ją widział... i ktoś się nim zajął. Ze zdumieniem stwierdził, że pod cienkim okryciem jest zupełnie nagi. Na szczęście Joanna leżała na kocu, skulona jak dziecko. Smacznie spała.

Adrian znowu uchylił powieki. Tym razem zrobił to dużo ostrożniej. Przyjrzał się Joannie. Co ona tu robi? Jak się tutaj znaleźli? Przypomniał sobie twarz prawdziwego księcia, jego okrutny uśmiech, błysk noża w dłoni... Potem zapadła ciemność, z rzadka przerywana dziwnymi obrazami.

Poruszył się, nie bacząc na ból w lewym boku. Joanna pokiwała głową i zamruczała coś przez sen. Zauważył, że zdarła z sukni wszystkie koronki i ozdoby. Adrian widział cudowny zarys jej piersi, poruszających się z każdym oddechem. Miał ochotę przywrzeć do nich całym sobą.

Joanna wyglądała na bardzo zmęczoną. Adrian zastanawiał się, ile ostatnio spała. Jak długo leżał ranny? Ile czasu spędził beczynnienie? Musiał wstać, znaleźć habit i jak najszybciej ruszać do klasztoru Świętej Anny. Nie miał pojęcia, kto jeszcze ocalał z rzezi na polanie, lecz podejrzewał, że księżę na pewno zdołał uciec. Za-

trzymał się tylko po to, aby mnie pchnąć nożem, pomyślał.

A brat Peter? Człowiek, który cało powrócił z krucjaty, nie ginie tak łatwo z rąk rzezimieszków.

Tyle że to nie byli zwyczajni bandyci, a księżę wcale nie musiał umrzeć pierwszy. Niewykluczone, że na orszak napadli ludzie barona Neville'a, aby wziąć odwet za śmierć córki swego pana. Może nawet uprowadzili księcia, żeby baron mógł osobiście wymierzyć mu karę. To jednak wydało się Adrianowi mało prawdopodobne. Zemsta to zemsta. Śmierć za śmierć. Żołnierz też mógł wykonać wyrok.

Istniała realna możliwość, że William skrzyknął swoich zbrojnych, którzy go mieli „uratować” od dalszej pokuty. W takim przypadku nikt z całej eskorty nie mógł liczyć na litość.

Po dłuższym namyśle Adrian skłonny był przyjąć raczej drugą wersję wydarzeń. Być może się mylił, lecz wśród napastników spostrzegł jednego z głównych siepaczy Williama, niejakiego Gervaise'a. To go tylko skłoniło do szybszego działania. Wiedział, że powinien włożyć podarty habit i ruszyć w dalszą drogę.

Zapewne wszyscy myślą, że nie żyję, przemknęło mu przez głowę. Gdyby nie Joanna, rzeczywiście byłby martwy. Nie widział jej na początku bitwy, pobiegł więc za księciem. Miał nadzieję, że zdołała uciec. Po co wróciła na pobojewisko? Na to pytanie nie znał odpowiedzi. Wróciła, znalazła go i odciągnęła z dała od zdrady i śmierci.

W ciągu minionych godzin zapewne kilka razy ratowała mu życie. Wciąż to samo pytanie: z jakiego powodu? Przecież ktoś taki jak ona nie mógł w głębi serca żywić głębszych uczuć do ubożego mnicha.

Adrian uniósł głowę i spojrzał na Joannę. Była wyjątkowo piękna. Miała prześliczną twarz i miękkie, pełne usta. Spała tak twardo, że był pewny, że jej nie obudzi. Jeden maleńki pocałunek... Drobną nagrodą dla zmartwychwstałego. Mała słabostka, na którą tylko teraz mógł sobie pozwolić. Będzie musiał

zapomnieć o Joannie.

W tym momencie za żadne skarby świata nie zrezygnowałyby z pocałunku.

RS



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

---

Elizabeth była święcie przekonana, że nie uśnie, ale zmęczenie błyskawicznie wzięło nad nią górę. Kiedy tylko zamknęła oczy, zapadła w głęboki sen, ukojona ciszą i bliskością ciepłego męskiego ciała, które odgradzało ją od zła tego świata.

Po pewnym czasie otworzyła oczy. Wszystkie świece z wyjątkiem jednej dawno już się wypaliły, a i ta jedna dogasała, obficie brocząc woskiem. Elizabeth leżała z głową wspartą na ramieniu księcia. Śpiący William trzymał dłoń na jej piersi i, co gorsza, był podniecony. Elizabeth oprzytomniała w jednej chwili.

Zepchnęła go z pościeli, wierzgając i kopiąc.

- Złaż ze mnie! - zawołała. - Jak śmiesz mnie dotykać! Przecież obiecałeś...

William spał i taka pobudka sprawiła, że nie był w najlepszym humorze. Mimo to poruszał się z szybkością błyskawicy. Zerwał się, silną ręką przycisnął Elizabeth do pościeli i zakrył jej usta dłonią, w połowie przerywając gwałtowne protesty. Próbowwała go kopnąć, ale trzymał ją tak, że była bezradna. Nie zdołała go z siebie strząsnąć. Nie zdołała też ugryźć, chociaż się starała.

Pochylił się nad nią, zdyszany po krótkiej, ale zażartej potyczce. Elizabeth nagle przestała się wyrywać. Już nie chciała uciekać.

- Co to za pomysły, moja młoda damo? Dlaczego nie dasz mi spokojnie pospać? Mało dziś miałem przygód?

Nawet nie mogła go przeprosić, bo nadal zatykał jej usta. Zaraz, chwileczkę... Znów jej dotykał, i to nie tylko dłonią, ale całym ciałem. Praktycznie leżał na Elizabeth.

- Teraz zabiorę rękę, dobrze? Tylko nie próbuj krzyczeć. Jeżeli piśniesz, to cię uduszę.

Oboje doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że to czcza

pogróżka. Nie udusiłby Elizabeth. Nie zrobiłby tego, nawet jeśli w przeszłości kogoś zamordował. Powoli odsunął rękę, jakby nie do końca wierzył w intencje Elizabeth. Łypnęła na niego gniewnym wzrokiem.

- Złaż ze mnie, głąbie! - szepnęła. Uśmiechnął się od ucha do ucha. Jeszcze bardziej ją tym rozwścieczył.

- W ten sposób zwracasz się do księcia Anglii? Wstyd, milady. Wiem, że zostałaś wychowana w domu barbarzyńców, lecz mimo to podejrzewałem, że masz 'więcej ogłady.

- Złaż ze mnie, głąbie panie! - powiedziała przesadnie ugrzecznionym tonem.

- Nie chce mi się.

- Obiecałeś, że mnie nie dotkniesz! Próbowала strząsnąć go z siebie, ale jej się to nie udało. Jedną ręką złapał ją za nadgarstki i przytrzymał.

- Przecież spałem. Mam być odpowiedzialny za to, co się wtedy stało? A może to ty zaczęłaś? Próbowалаś mnie uwieść, a potem nagle się rozmyśliłaś?

Elizabeth aż zaniemówiła z gniewu. Szarpnęła się.

- Nie rób tak, pani - przestrzegł księżę. - Ktoś, kto na tobie leży, może poczytać to za zaproszenie.

- Złaż, mówię!

- Coś mi się zdaje, że mamy pewien kłopot. Cały czas mi dokuczasz. Przechodzi ci dopiero wtedy, kiedy zaczynam cię uwodzić. Z jednej strony twierdzisz, że masz przede mną stracha, a z drugiej prowokujesz do śmiałych zachowań. Jesteś pociągająca, ale ja zamierzam dotrzymać celibatu przynajmniej do czasu, aż bezpiecznie staniemy w klasztorze Świętej Anny. Sama więc widzisz, dzisiaj muszę odrzucić twoją propozycję.

- Propozycję? Chętnie wyprułabym ci flaki!

- Nieprawda.

- Jesteś wstrętnym, zuchwałym samcem...

- Którego pragniesz, chociaż może wcale nie zdajesz sobie z

tego sprawy. Te wszystkie dąsy i przytyki to tylko maska, pod którą skrywasz prawdziwe uczucia.

- Drażnisz się ze mną.
- Nie, flirtuję.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Nikt jeszcze nigdy ze mną nie flirtował.
- Następne kłamstwo. Robię to przy każdej okazji. Przyznaję, że sam też się sobie dziwię, ale umiem się przystosować do nowej sytuacji.

- Masz nieco dziwne poglądy na temat uwodzenia.
- Ależ nie! Po prostu doszedłem do wniosku, że w twoim przypadku tradycyjne pochwały pozostaną bez echa. Jesteś jak jeź: stroszysz kolce, gdy ktoś próbuje cię pogłaskać.

- Tylko nie głaszcz!
- Słucham?
- Nie głaszcz mnie!
- Myślałem raczej o pocałunku.

Pochylił się i zbliżył usta do jej twarzy. W tej samej chwili zgasła ostatnia świeca i cęła pogrążyła się w ciemności.

Razem ze światłem zniknął opór Elizabeth. Zagubiona w mroku, wystawiona na pokusę słodkich pocałunków, ostatecznie przegrała. Dawna Elizabeth z Bredon została gdzieś w lesie. Dziewczyna, którą książe nakrywał swoim ciałem, nie miała imienia. Była piękna, ponętna i uwodzicielska. Rozluźniła napięte mięśnie i lekko rozchyliła uda. Jęknęła cicho, jakby dla zachęty.

Peter ujął jej piersi w obie dłonie. Nie zaprotestowała. Co więcej, naprawdę była tym zachwycona. Kiedy przesunął palcem po sterczących sutkach, ledwo się powstrzymała, by nie zacząć szlochać. Z oczu płynęły jej łzy szczęścia.

Poczuła rękę księcia na swoim brzuchu. Peter wprawnym ruchem rozplatał sznur, rozchylił habit i przylgnął do niej całym ciałem. Czuła to samo co kilkanaście godzin temu w lesie, ale po stokroć silniej i przyjemniej. Kochała ciemność, kochała jego usta,

dłonie... Odruchowo wyprężyła się w oczekiwaniu na bardziej intymne pieszczoty.

Peter wsunął rękę między ich ciasno splecione ciała, sięgnął niżej i pogładził ją po podbrzuszu. Na swój sposób jej to obiecał... Elizabeth wtuliła twarz w jego ramiona i wciąż chciała więcej. Niemal krzyknęła, kiedy poczuła w sobie jego palce, ale on w porę zdążył zamknąć jej usta kolejnym pocałunkiem. Był niczym magik...

Nagle rozległ się donośny dźwięk kościelnych dzwonów. Peter zamarł.

- Nie przerywaj - szepnęła Elizabeth, jakby w ten sposób chciała pograć się na zawsze. - Błagam...

Jednak on szybko zabrał rękę, niemal w panice na czworakach cofnął się aż pod drzwi celi, byle być jak najdalej. Usiadł tam, a na jego twarzy malował się wyraz przerażenia.

Świtało już; z wolna ustępowała gęsta ciemność nocy. Elizabeth poczuła chłodny powiew, bijący od okna. Dopiero teraz uprzytomniła sobie, że leży prawie naga, bez habitu, jedynie w cienkiej koszuli, zawiniętej niemal do piersi.

Szybko szarpnęła ją w dół z taką siłą, że dał się słyszeć trzask dartego materiału. Po omacku szukała habitu, porzuconego w nieładzie na kamiennej posadzce celi. Włożyła go i ciasno przepasała się sznurem. Książe nie patrzył na nią. Wciąż siedział nieruchomo, z łokciem opartym na kolanie. Miał minę cierpiętnika.

Rzeczywiście był pięknym, postawnym mężczyzną. Elizabeth żałowała, że nie całowała go o wiele częściej, póki jeszcze była do tego okazja - zanim odzyskał zmysły i uprzytomnił sobie, że ma do czynienia z rudowłosą olbrzymką, której przedtem nikt nie chciał.

W nocy wszystkie koty są czarne, pomyślała Elizabeth. Ileż prawdy tkwi w tym starym przysłowiu. Z nastaniem dnia prawda wychodzi na jaw. Wiedziała, że czarny książe więcej jej nie tknie.

- Boże... Boże... - szeptał sam do siebie. - Co chciałem

uczynić?

Nie dostał odpowiedzi. Chyba na nią nie czekał. Powoli podniósł się z posadzki i, nie patrząc na Elizabeth, powiedział:

- Zostań na posłaniu. Powiem opatowi, że trochę słabujesz i że powinniśmy szybko ruszać w drogę, by dotrzeć do celu. Dadzą nam jedzenia co najmniej na dwa dni marszu. Jeśli nie przydarzy się nic niezwykłego, to w tym czasie dojdziemy do klasztoru Świętej Anny.

Elizabeth milczała. Wciąż na nią nie patrzył, jakby nie chciał pamiętać, z kim dzielił celę.

- Chociaż raz mnie posłuchaj - dodał, po czym wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Elizabeth przez chwilę siedziała bez ruchu. Było jej wstyd, ale jednocześnie czuła przedziwną tęsknotę. Zwinęła się w kłębek i przycisnęła pięść do ust, żeby się nie rozpłakać.

Nie pomogło.

Joanna otworzyła oczy, kiedy tylko Adrian zaczął ją całować. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, a potem miękko, lecz zdecydowanym ruchem wzięła go za ramiona i odsunęła od siebie.

- Nie - powiedziała.

Adrian opierał się przez moment. Spoglądał na jej piękną twarz. Później dopadł go nowy atak bólu i z jękiem osunął się na posłanie.

Joanna natychmiast usiadła i zerknęła na niego z wyrzutem.

- Nie powinieneś tak się nadwierać - skarciła go ostrym tonem. - W nocy stałeś na progu śmierci, a teraz chcesz swawolić? Leż spokojnie. Przyniosę ci coś do jedzenia.

- Jak? - wychrypiał nieswoim głosem, urwał i chrząknął donośnie. Przez cały czas wodził wzrokiem za Joanną, krzątającą się po niewielkiej izbie. - Gdzie jesteśmy?

- Niedaleko małej wsi Beckham. Tylko dotąd zdołałam cię dociągnąć, kiedy jeszcze byłeś półprzytomny.

Zmarszczył brwi.

- Trochę sobie przypominam... Chyba odeszłaś. Po co wróciłaś?

Lekki rumieniec zabarwił jej blade policzki.

- Dopadł mnie nagły atak współczucia. Poza tym kierowały mną praktyczne względy. Mam tyle grzechów na sumieniu, że postanowiłam zrobić coś dobrego. Pomyślałam, że jak uratuję mnicha, może tak od razu nie pójdę do piekła.

Teraz Adrian się zaczerwienił, jakby miał coś do ukrycia.

- Bóg cię nie potępi. Uśmiechnęła się.

- Skąd wiesz? Przecież jest mężczyzną.

- Ale przy nim stoi Matka Boska.

- To prawda. Myślisz, że okaże mi chociaż trochę serca?

- Przenajświętsza Maria jest dobra dla wszystkich. Wie, ile pokus czyha na człowieka.

- Tak jak na ciebie, bracie Adrianie. Nie próbuj tego po raz wtóry. Dość już krzywd wyrządziłam w życiu. Nie chcę, aby mówiono, że uwiodłam młodego zakonnik.

Adrian usiadł, skrzywił się, lecz nie jęknął. Nie wiedział, czy ból zelżał, czy to on przywykł do cierpienia. Kiedy patrzył na Joannę, zapominał o całym świecie.

Pod jednym względem miała rację. Nie powinien jej się narzucać. Uratowała go od niechybnej śmierci, musiał więc uszanować jej żądania.

- Zjedz to - powiedziała, kładąc na pościeli chleb i kawałek sera. Dopiero teraz Adrian zauważył, że był okryty jej kosztowanym płaszczem, teraz podartym i poplamionym krwią. Prawdopodobnie jego krwią. Spojrzał na swoje ramię.

- Całkiem udany opatrunek - bąknął. - Rana na pewno się już goi.

- Trochę za wcześnie, żeby to stwierdzić.

- Zawsze dość szybko wychodziłem z podobnych opresji. Zaraz się ubiorę i ruszamy w drogę.

- Nic z tego. Musisz w pełni odzyskać siły. Tu jesteśmy całkiem



bezpieczni. Chłopi, którzy sprzedali mi chleb i wino, myślą, że poszłam w swoją stronę. Nikt z nich nawet nie podejrzewał twojej obecności.

- To nie oni są naszym najgorszym zmartwieniem - odrzekł i ugryzł pajdę chleba.

- Bandyci też nas nie będą ściagać. Niby po co? Przecież nie mamy żadnych skarbów.

Adrian zawahał się. W dalszym ciągu nie mógł powiedzieć jej wszystkiego, ale nie musiał kłamać. Powinna znać chociaż część prawdy. Od tego mogło zależeć życie ich obojga.

- Chcą się pozbyć wszystkich świadków - odparł. - To nie byli zwykli rozbójnicy i nie szukali złota ani pieniędzy. Szukali księcia. Jeśli domyśla się, że ktoś ocalał i że na dwór może dotrzeć wieść o losach królewskiego syna, zrobią, co w ich mocy, żeby nas uciszyć.

- Nikt z nas nie wie, co z nim się stało - zauważyła Joanna. - Księcia Williama nie było wśród zabitych. Może uciekł, a może dostał się do niewoli.

Adrian westchnął z ogromną ulgą. Joanna mówiła o fałszywym księciu, zatem Peter uniknął śmierci. Na pewno nie dałby się schwytać żywcem. Prędzej padłby na polu walki. Umknął tak jak prawdziwy William.

- A pozostali?

- Nie znalazłam ciała lady Elizabeth. Rycerzy i mnichów znałam jedynie z widzenia, nie umiem więc powiedzieć, czy jeszcze kogoś brakuje.

- Powinniśmy uchodzić stąd jak najszybciej. Jeżeli księżę uciekł, to napastnicy przeczeszą całą okolicę. Znajdą nas. - Przełknął ostatni kęs sera. - Gdzie moje ubranie?

- Musiałam je trochę pociąć, żeby cię rozebrać. Jest całe w strzępach i mocno pokrwawione.

- Plamy krwi słabo widać na ciemnej tkaninie.

- Nikt się nie zdziwi na widok mnicha, wędrującego wraz z

niewiastą?

- Nie mamy wyboru. - Odrzucił płaszcz. Joanna szybko odwróciła głowę.

- Przecież widziałas mnie już nagiego, pani - powiedział Adrian.

- Skąd ta skromność?

- Poprzednio byłeś nieprzytomny. Wolę, jak nagi mężczyzna nic nie mówi.

- Oddaj mi habit, to nie będę nagi.

- Ukradłam trochę ubrań dla ciebie - wyjawiała tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

- Co zrobiłaś?

- Ukradłam. Nie mogłam kupić, bo powiedziałam we wsi, że wędruję sama. Znalazłam pranie, które ktoś rozwiesił w sadzie. Podkrałam się tam i zabrałam kilka najpotrzebniejszych rzeczy. W zamian zostawiłam broszkę. Na pewno była więcej warta.

Popatrzył na nią ze zdumieniem. Ryzykowała dla niego życie, płaciła klejnotami... Dlaczego to robiła? Dlaczego nie odeszła? Przecież знаła go jedynie jako ubogiego mnicha, który nic nie miał jej do zaoferowania.

- Postąpiłaś bardzo mądrze, pani - rzekł po chwili milczenia. - Będę grał rolę twojego służącego.

- Nie wyglądam na wielką damę podróżującą ze służącym - zauważyła. - Raczej możemy być rodzeństwem.

- Albo małżeństwem.

Odwróciła się mimo woli. Adrian siedział na łóżku, przykryty do pasa. Zapłoniona, znowu spojrzała w bok.

- Chyba nie...

- Gdzie są ubrania? - wtrącił.

- W nogach legowiska. Przykryłam cię, żebyś miał cieplej.

Nie zwracając uwagi na ból, Adrian ubrał się najszybciej, jak potrafił. Nie rozumiał zachowania Joanny. Wstydliva ładaczka? Nieśmiała konkubina?

- Pomóc ci? - spytała. Troska o jego zdrowie przeważała nad

jej skromnością.

- Już się ubrałem, pani. Możemy zaraz ruszać w drogę.
- Zerknęła na niego i zamruwała powiekami ze zdumienia.
- Wyglądasz zupełnie inaczej - powiedziała w końcu.
- Wyglądził zgrzebne odzienie.

- Jak dobry mąż?
- Nie - odparła. - Jak mężczyzna.

Nie zabrzmiało to zbyt pochlebnie, ale Adrian się nie obraził.

Wiedział, że nie zaznała zbyt wiele dobrego od mężczyzn.

Wystarczyło wspomnieć choćby Owena z Wakebryght.

- Zawsze byłem mężczyzną, pani. Nawet w habicie.
- Tak, ale wtedy łatwiej o tym zapomnieć.
- Dlaczego chciałaś zapomnieć? Co to różnica?

Nie odpowiedziała.

- Nie powinieneś jeszcze odpocząć, zanim ruszymy w dalszą wędrowkę? Słońce wstało zaledwie godzinę lub dwie temu.

Pokręcił głową.

- Im szybciej stąd pójdziemy, tym lepiej. - Wstał z legowiska.

Przez chwilę walczył z zawrotami głowy, ale potem spojrzał przytomniej. Świat wrócił na swoje miejsce. - Chodźmy.

Joanna przyglądała mu się przez kilka sekund. Potem przeszła przez izbę i wzięła go pod ramię.

- Dokąd się wybieramy?
- Jak to dokąd? Do klasztoru Świętej Anny.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

---

**D**zień włókł się w nieskończoność. Szli powoli, w głuchym milczeniu. Elizabeth trzymała się kilka kroków z tyłu i uważnie patrzyła na plecy Williama, żeby na niego nie wpaść, gdyby się zatrzymał. Nie chciała go przypadkiem dotknąć. Przecież o świcie dał jej do zrozumienia, że jest to mu niemiłe.

Zatrzymali się, żeby zjeść kawałek suchego chleba, ofiarowany im przy rozstaniu przez opata. Ojciec Fillion upominał ich, by się wystrzegali grzechu oraz kobiet.

Na postoju nie zamienili ani jednego słowa. Księżę zamknął oczy i odciął się od zewnętrznego świata. Otworzył je dopiero wtedy, kiedy trzeba było ruszać w dalszą drogę.

Po pierwszym wybuchu rozpaczki w klasztornej celi Elizabeth więcej nie płakała. Po prostu szła. Już w dzieciństwie nie lubiła płakać, żeby nie dawać braciom złośliwej satysfakcji. Nie rozpaczła nawet przy rozstaniu z Thomasem z Wakebryght.

Nie zamierzała także ronić łez z powodu bezdusznego księcia, dla którego była jedynie zabawką. Żałowała, że na krótki moment dała się ponieść nieznanym wcześniej uczuciom. Wiedziała jednak, że to ze zmęczenia. Brak snu osłabił jej siłę woli.

Obrzuciła Williama obojętnym wzrokiem. Widać było, że czuł się swobodnie w habicie - może bardziej niż w ciężkich szatach bogatego księcia? Zachowywał się jak dzikie zwierzę: w jednej chwili potrafił zniknąć. Wtapiał się w otoczenie.

Dużo umiał, przyznała w duchu Elizabeth. Przede wszystkim wiedział, jak sobie poradzić z kobietami. Nawet z tymi, które miały poważne opory. Bez względu na ponurą reputację, ciemną przeszłość i niewybredne plotki, potrafił być pociągający. Elizabeth doświadczyła tego na własnej skórze podczas krótkiego epizodu w celi opactwa Świętego Bartłomieja.

To zapewne mu wystarczyło, pomyślała. Nie chciał mnie, a tylko pragnął się przekonać, czy ulegnę mu jak wszystkie inne. No i uległam. Wtedy odszedł, zadowolony z siebie. Wiedział, że gdyby tylko zechciał, mógł mnie posiąść w najbezwstydniejszy sposób.

Cóż, nie robi tego więcej. Tym razem zdołał ją podejść, bo nie znała się na mężczyznach. Widywała jedynie tępawego ojca, złośliwych braci, prostych żołnierzy, zastraszonych pacholków i słabeuszy w rodzaju Thomasa.

Nie było pośród nich takiego, który by sprawił, że zmiękłaby pod jego ręką. Ani takiego, który chciałby ją przez to zranić.

Lecz na tym koniec. Teraz wiedziała już, co jej grozi i czego ma unikać. Książę nie zamierzał dłużej się narzucać. Chciał tylko ją osłabić, skrzywdzić. Nie było w tym nic dziwnego; lubił znęcać się nad kobietami.

Dobrze przynajmniej, że wciąż żyła i że zachowała cnotę. Nawet tak zdeprawowany człowiek jak książę William nie poślakomiał się na przerośniętą, rudowłosą dziewczynę.

- Wkrótce staniemy na noc - oznajmił, zwolnił kroku i zerknął na nią przez ramię.

Elizabeth pokiwała głową. Twarz miała głęboko schowaną pod kapturem. Zachowywała się tak od czasu, kiedy książę wrócił do celi. Nie chciała, żeby widział jej zapuchnięte i zaczerwienione oczy, żeby napawał się swoim zwycięstwem. Nie zamierzała pogłębiać swego wstydu.

William wyraźnie czekał na odpowiedź.

- Dobrze - mruknęła.

Myślała, że da jej spokój, ale on stanął. Było już prawie ciemno, chociaż noc zapowiadała się ciepła i przyjemna. Gdyby mieli nocować w lesie, książę na pewno by jej nie namówił, żeby spali razem. Prędzej wolałaby zamarznąć.

Tyle że William nie kwapił się do takich pomysłów. Nie mówiąc o tym, że przy tej pogodzie naprawdę trudno było umrzeć z zimna.

- Jesteś dzisiaj przedziwnie zgodna — powiedział. - Nie zapytasz nawet, gdzie będziemy spali? Nie zagroisz, że mnie wykastrujesz, jeżeli cię znów dotknę?

- Nie.

- Chyba jednak wołałem cię taką jak przedtem.

- Nic mnie to nie obchodzi - odparła, łypiąc na niego spod oka. Uśmiechnął się, a ona zakłęta w duchu. Była zła, że znów dała mu niewielki powód do satysfakcji.

- Niedaleko stąd jest stara chata. Nikt w niej nie mieszka, ale znajdziemy tam dobre schronienie. W pobliżu płynie strumień.

- Co się stało z tamtejszymi ludźmi?

- Nie żyją. Jakies dziesięć lat temu przeszła tędy zaraza.

Umierały całe rodziny, łącznie z mieszkańcami chaty.

- Przecież na dobrą sprawę mógł się tam ktoś wprowadzić. Nikt tak łatwo nie porzuca domów.

- W tym przypadku jest jednak inaczej.

- Dlaczego?

- Duchy.

Jeśli zamierzał ją przestraszyć, to mu się nie udało. Elizabeth wołała spotkać tysiąc wygłodniałych duchów, niż mieć do czynienia z jednym księciem.

- To świetnie - powiedziała. - Zmarli są dużo miłsi od żywych.

Wyczuła, że znów się uśmiechnął, i głębiej naciągnęła kaptur.

- Będziemy tu tak stali w nieskończoność? Im szybciej dojdziemy do tej twojej chaty, tym prędzej zdołam odpocząć.

- Jak sobie życzysz, milady. - Elizabeth usłyszała wyraźną nutę rozbawienia w jego głosie. Księżę odwrócił się i ruszył w dalszą drogę. Poczłapała za nim bez pośpiechu.

Po cichu liczyła na to, że chata okaże się pełna ludzi. Chciała, żeby William choć raz się pomylił. Oczywiście jak zwykle miał rację. Chata wyglądała zupełnie zwyczajnie i - choć opuszczona - sprawiała wrażenie dobrego schronienia dla zmęczonych wędrowców. Zza drzew dobiegał szum wartko płynącej wody.



Gasnące słońce rzucało ciepły, złoty blask na całą okolicę. Węgle pod piekielnym kotłem, pomyślała Elizabeth.

- Skąd znasz to miejsce? - Prawdę mówiąc, wcale nie paliła się do rozmowy, ale ciekawość wzięła górę.

- Zakonnicy mi powiedzieli.

- Ojciec Fillion? Dziwne, że nie zagarnął tego dla opactwa.

- Za daleko. Wiesz, że przeszliśmy dzisiaj spory kawał drogi? Nie chodzi o Filliona. Mówię o zakonnikach, którzy towarzyszyli księ... towarzyszyli mi w pierwszej części podróży do klasztoru Świętej Anny. Od początku zamierzaliśmy tu nocować.

- Jak daleko jesteśmy od klasztoru?

- Pieszko? Pewnie z półtora dnia. Konno dojechalibyśmy tam w kilka godzin.

- Ale nie mamy koni, prawda? - Nie czekała na odpowiedź - Idę nad strumień, żeby się trochę umyć. Nie łaż za mną. - To nie była prośba.

- Spróbuję zapanować nad swoim pożądaniem - odparł.

Nie rozśmieszyło jej to.

- Będę spać w drugiej izbie. Wolę myszy niż ciebie.

- A co z duchami?

- Tylko przyjdź do mnie, a na pewno dołączysz do ich grona.

- Tak, bracie Elizabeth - odparł przesadnie pokornym tonem i odrzucił kaptur na plecy.

Chyba powinienem być zadowolony, pomyślał książę William, kiedy biskup Martin dał mu rozgrzeszenie. Spowiedź była szczegółowa i całkowicie nieprawdziwa. Dobry biskup pobłogosławił go i ogłosił, że uwalnia od wszystkich grzechów. William mógł poczuć się bezpieczny. Przeciwnicy musieli czekać, aż znów zgrzeszy. Przy odrobinie szczęścia mógł tego też uniknąć, z zapalem grając rolę skruszonego pielgrzyma, którego Bóg uratował od niechybnej śmierci z rąk bandytów. Nikt nie poznałby całej prawdy. Wszystko byłoby dobrze, gdyby tylko Gervaise nie pokpił całej sprawy i nie dał uciec kilku świadkom masakry na

polanie.

Adrian na pewno nie żyje, myślał William, a dziewczka uciekła wcześniej, tuż przed bitwą. Nic nikomu nie powie, bo nic nie wie. Wątpliwe zresztą, żeby prześliznęła się przez moje patrole, rozstawione po całym lesie.

Pozostawał więc Peter. Z nim to inna sprawa. Dobrze znał okolicę - te ziemie należały kiedyś do jego rodziny. Na pewno miał na podorędziu dziesiątki różnych kryjówek. Na szczęście włókł się z tą dziewczyną. Nie mógł wędrować szybko. We wsiach budziłoby powszechną uwagę. Jak ją złapię, pomyślał książę, to najpierw obetnę jej język.

Petera też najchętniej zabiłby własnymi rękami. Ale nic na siłę, pomyślał. Najważniejsze, żeby w ogóle zginął. Gervaise jeszcze dostanie za swoje. Niech no tylko wyjadę za mury klasztoru; William lubił zadawać ból - nawet swoim siepaczom.

Pozostawało tylko czekać, aby się upewnić, że wszystko w porządku. Książę postanowił na następne dwa dni zatrzymać się w klasztorze u dobrych zakonnic i ze świętoszkowatą miną słuchać pouczających kazań biskupa Martina. Prawdziwy koniec pokuty miał nastąpić z chwilą, gdy zginie ostatni z niewygodnych świadków.

Gdyby Gervaise był mądry, przywiózłby jakiś prezent, rozmarzył się William. Na przykład głowę Petera. Szkoda tylko, że trudno ukryć takie trofeum. Może rękę? O, właśnie. Tę rękę, którą Peter ośmielił się raz podnieść na swojego księcia.

Szkoda, że przy tym mnie nie będzie, ale nie można mieć wszystkiego. William uśmiechnął się olśniewająco. Ktoś gorzko zapłaci za to, że pozbawił mnie najlepszej zabawy, postanowił. A tym kimś będzie na pewno Gervaise.

Kępa drzew i kawałek skarpy zasłaniały strumień od strony chaty. To jednak oznaczało, że książę mógł swobodnie podkraść się na brzeg i z ukrycia obserwować Elizabeth podczas kąpieli. Pytanie brzmiało jednak: po co? Przecież i tak zdołał ją ośmieszyć

i upokorzyć. Niech sobie patrzy. Elizabeth była święcie przekonana, że widok jej nagiego ciała będzie dla niego równie przykry w blasku zachodzącego słońca jak dziś rano w słabo oświetlonej celi.

Wiedziała, że nie przyjdzie. Mogła spokojnie się kąpać. Chciała zmyć z siebie pył podróży i, co najważniejsze, wszelkie ślady ust i dłoni księcia.

Rozebrała się i starannie złożyła ubranie na brzegu strumienia. Na samym wierzchu położyła nóż. Potem podeszła do wody. Stała na dużym głazie i spojrzała w głąb małej, spokojnej zatoczki. Zobaczyła swoje odbicie.

Była blada, mizerna i smutna. Cień dawnej Elizabeth. Niby te same rysy - duże zielone oczy, wyzywająco spoglądające w przestrzeń, wysokie czoło, mocno zarysowana szczęka, duże usta i całkiem zwyczajny nos - ale nacechowane przygnębieniem. Wszystko w otocze płomieniście rudych, diabelskich włosów.

Nie mogła zmienić ust, oczu, podbródka i nosa. Nie mogła obciąć nóg ani poszerzyć wąskich bioder. Jednak mogła pozbyć się tego piekielnego piętna, które już od dzieciństwa ścigało na nią niechętnie spojrzenia i prowokowało szept o wiedźmach i czarownicach.

Wróciła na brzeg, wzięła nóż i ponownie kucnęła na kamieniu. Nigdy w życiu nie była w lesie całkiem naga, powinna więc czuć się nieco skrępowana, bezbronna i nieśmiała. W tej chwili nie myślała o tym. Zgarnęła w dłoń gruby pukiel włosów i zaczęła go piłować nożem.

Po skończonej robocie siedziała przez chwilę, patrząc, jak obcięte kosmyki toną w przezroczystej wodzie, a potem odpływają, uniesione prądem. Czuła się dziwnie... „z lekką głową”. Odruchowo przejechała dłonią po ciemieniu. Włosy były rzeczywiście krótkie, może nawet krótsze niż u większości mężczyzn. Bardzo dobrze. Świat jej nie potrzebował ani w roli mężczyzny, ani kobiety. Kiedy pozbyła się tych wstrętnych wło-

sów, ogarnęło ją poczucie niezwyklej swobody. Siedziała nadal, z wzrokiem utkwionym w wodę - i nagle zaczęła płakać.

Było już prawie ciemno, gdy z powrotem wspięła się na stromą skarpe i minęła kępę drzew rosnących za domem. Po długim płaczu i kąpieli w lodowatej wodzie poruszała się niczym odrętwiała. Nie wiedziała, co jej się stało. Przecież nigdy nie lubiła swoich włosów, powinna więc być zadowolona, że nareszcie się ich pozbyła. Skąd więc ta nagła rozpacz? I tak nikt nie zobaczy mojej czupryny, pomyślała. Przez najbliższe dni nie będę zdejmować kaptura. A potem to już wszystko jedno. Kto by się tam baczniej przyglądał zakonnicy? Mimo to ciągle szlochała. Kiedy zabrakło jej łez, odeszła od strumienia.

Księżę czekał przed drzwiami, oparty o ścianę. Patrzył na nią bez słowa. Elizabeth szła z opuszczoną głową i zauważyła go w ostatniej chwili. Aż podskoczyła ze zdumienia. W gęstniejącym mroku wcale nie wyglądał na mnicha lub księcia. Był wysokim mężczyzną, czekającym w ciemnościach.

- Niewiele brakowało, żebym cię zaczął szukać, milady. Chyba nie byłaś aż tak brudna? Bałem się, że mi uciekłaś.

- A gdzie miałabym uciekać? Tylko ty znasz drogę do klasztoru Świętej Anny.

- Zawsze mogłaś kogoś zapytać. Świątobliwi bracia na ogół chadzają parami, ale zdarza się też samotny pielgrzym.

- Rzeczywiście. Szkoda, że dopiero teraz o tym pomyślałam - odparła. Głos miała lekko zachrypnięty od płaczu, lecz powstrzymała się od chrząkania. - Zatem spotkamy się w klasztorze.

Odwróciła się, żeby odejść.

- Nawet tego nie próbuj - odezwał się William rozkazującym tonem. - Powiedziałem, że mogłaś uciec, a nie, że ci na to pozwalam. Przygotowałem już wieczerzę i poślanie.

- Jedno? - Musiała zadać to pytanie. Od odpowiedzi zależało, gdzie miała spędzić dzisiejszą noc: w chacie czy też raczej w lesie,

pod drzewem.

- Stanę na straży. Jak poczuje się zmęczony, obudzę cię i wtedy ty przejmiesz wartę. To ci wystarczy?

- Tak. - Niepotrzebnie pytała. Przecież wiedziała, że więcej jej nie dotknie. Na pewno tęsknił za królewskim dworem i za pięknymi kobietami. Pustymi, zepsutymi kobietami.

- Możesz zdjąć kaptur - powiedział. Elizabeth nie musiała na niego patrzeć, aby wiedzieć, że przyglądał jej się natarczywie. - Poza nami nie ma tu nikogo, a ja przecież doskonale wiem, że jesteś niewiastą.

Na pewno wiesz? Przez krótką chwilę była przekonana, że powiedziała to na głos. Ale nie, chyba nareszcie nauczyła się trzymać język za zębami.

- Tak mi lepiej - odparła krótko.

- Jak chcesz. Zjedz coś i kładź się spać. Skoro masz mnie zmienić, to nie prześpisz spokojnie całej nocy. Skorzystaj więc z okazji, żeby choć trochę wypocząć.

- A ty gdzie będziesz?

- Nad strumieniem. Też muszę się umyć. Chyba że wolisz, abym pozostał brudny?

- W ogóle cię nie wolę. - Błąd. - Chciałam powiedzieć, że to bez różnicy.

- Doskonale wiem, co chciałaś. Mam nadzieję, że kiedy wrócę, będziesz smacznie spała. Zrozumiałaś?

Mimo wszystko zdobyła się na ostatnią próbę buntu.

- Ostatni raz słuchałam niańki, jak miałam sześć lat.

- Potem zabrakło ci opieki. Wiem. To nie znaczy, że nie musisz pójść za czyjąś przyjacielską radą.

- Nie mam przyjaciół.

Zapadła głucha cisza. Elizabeth pomyślała sobie, że tym razem posunęła się za daleko. Książę jednak w milczeniu odstąpił od ściany i spokojnie poszedł w stronę potoku.

- Zjedz kolację i kładź się - dobiegły z ciemności jego słowa.

Pusta chata okazała się zadziwiająco schludna i czysta. Nie gnieździły się w niej leśne zwierzęta. Nie słychać było nawet myszy. Może się wystraszyły duchów.

Ludzie nie bardzo bali się upiorów. Przynajmniej nie na tyle, żeby zostawić meble i sprzęty. Został jedynie stół - chyba za ciężki, aby go stąd wynieść. Na stole leżała część zapasów, które książę zabrał z opactwa: chleb, ser, kwaśne wino od opata i nieco suszonego mięsa.

Elizabeth nie czuła głodu, ale od dawna burczało jej w brzuchu i zdawała sobie sprawę, że od rana czeka ją długi dzień wędrówki. Nie powinna mdleć po drodze. Jadła powoli, niemal pod przymusem, a po kolacji zaczęła szukać łóżka.

Znalazła je w sąsiedniej izbie. Okazało się, że książę ułożył na klepisku świeżo ścięte gałązki cedru. Słodki zapach unosił się w powietrzu. Do pewnego stopnia przypominało to woń, którą Elizabeth czuła w celi. Nie chciała o tym myśleć. Na gałęziach leżał koc, więc zaimprovizowane posłanie wyglądało dość wygodnie. Wszystko jedno, uznała Elizabeth. Jestem tak zmęczona, że zasnęłabym nawet na stojąco. Na szczęście nie musiała tego robić. Książę wyraźnie dał jej do zrozumienia, że nie musi się go obawiać. Mogła spać całkiem spokojnie aż do chwili objęcia warty.

Nie wiedziała, czym bardziej była wyczerpana: wielogodzinnym marszem czy płaczem na brzegu strumienia. Wciąż drapało ją w gardle i czuła ucisk w piersi. Zrzuciła kaptur i przesunęła dłonią po krótkich włosach. Znowu poczuła łzy pod powiekami, szybko więc zasłoniła głowę.

Położyła się i zamknęła oczy. W tej chwili wolałaby naprawdę spotkać ducha, niż zostać sam na sam ze swoimi myślami.

Zjawa nie przyszła. Nie było żadnych duchów. W zamian za to spłynął na nią kojący sen. Zanurzyła się w nim bez protestu.

Peter nie chciał myśleć o Elizabeth. Zamierzał skoczyć głową w dół, w lodowatą wodę, ewentualnie pociąć się do krwi, byle tylko



przepędzić demona, który mu zżerał duszę. Demona pożądania.

Ciągle dręczyły go wspomnienia minionej nocy. Wstydział się tego, co chciał zrobić pod dachem świętego opactwa, tuż przed tym, zanim rozległy się dzwony wzywające na poranne nabożeństwo. Uciekł, jak tylko mógł najszybciej - ale nie od Elizabeth. Uciekał przed samym sobą. Od własnych mrocznych myśli.

Siedem lat celibatu. Siedem lat nie spojrzął na żadną kobietę, a teraz stracił głowę dla tyczkowatej dziewczki o włosach koloru jesiennych liści. On jej pragnął, a ona patrzyła nań jak na potwora.

Rzeczywiście był potworem. Zarówno jako księżę Anglii, jak i pokorny mnich, poszukujący drogi ukojenia po wszystkich zbrodniach, które popełnił w przeszłości. Dobrze wiedział, że nie ma dla niego najmniejszej nadziei na zbawienie. Takie grzechy są niewybaczalne, ale przynajmniej mógł uniknąć ich na przyszłość, pod warunkiem, że dotrzyma danego sobie przyrzeczenia. Bronić niewinnych - tak brzmiało jego credo. Bronić, a nie podstępnie czyhać na ich zgubę.

Zamiast tego podjął się misji ochrony księcia Williama. To było całkowicie sprzeczne z jego postanowieniami. Łotr, brutal i morderca miał zostać cudem oczyszczony z grzechów w klasztorze Świętej Anny.

Peter nie żywił w sercu żadnej nadziei na bożą łaskę. Niektórzy ludzie są tak źli, że nawet Bóg nie sięgnie do ich duszy. Mógł spokojnie podjąć się jeszcze jednej misji. Wiedział, że nie pozwoli, aby księżę William popełnił następną zbrodnię. Zabiję go z zimną krwią, zanim zdąży znów kogoś skrzywdzić, postanowił.

Szlachetna ofiara, pomyślał z ironią. Chcesz zgładzić mordercę, ale sam dybiesz na niewinność samotnej dziewczyny, którą poznałeś zaledwie przed kilkoma dniami. Chcesz uwieść niedoszłą zakonnice. Kto tu jest większym grzesznikiem?

Zimna kąpiel w strumieniu nie przyniosła mu ulgi. Wciąż myślał

o Elizabeth. O tym, że zaledwie przed chwilą była w tym samym miejscu, tak samo naga, o pełnych piersiach, zwieńczonych sutkami...

Nie, postanowił. Nie będę jej budził. Niech sobie śpi do rana. On sam nie potrzebował snu ani pożywienia.

Jego jedyną strawą był widok słodkich zielonych oczu Elizabeth z Bredon. Jej miękkich, kuszących ust - i obietnicy wiecznego potępienia, zakłętej w jej gibkim ciele.

Kłopot w tym, że Peter chętnie poszedłby do piekła w zamian za kilka chwil spędzonych między jej zgrabnymi długimi nogami.

Nie chciał jej tam ze sobą zabrać. Widział ją jedynie w roli zakonnicy lub dobrej matki i żony, nie zaś zgorzkniałej duszy zdeprawowanej przez grzesznego mnicha.

Powoli wracał do chaty. Miał nadzieję, że Elizabeth śpi albo przynajmniej udaje śpiącą. Gdybym był trochę głupszy, jeszcze bym pomyślał, że się pogniewała, bo ją odrzuciłem. Nawet jeśli mnie pragnęła przez ulotną chwilę, teraz się tego wstydzi. Nic dziwnego, że chodzi ze spuszczoną głową, że prawie przestała się odzywać. Na pewno w głębi duszy czuje obrzydzenie do perfidnego księcia, który ją niemal zgwałcił w murach klasztoru.

Peter spojrział na potłuczoną rękę. Na szczęście mała rana już przestała krwawić. W blasku księżycy ujrzał w wodzie wąskie pasemko rudych włosów i aż huknął pięścią w kamień na brzegu strumienia, aby oprzytomnieć. W duchu klął na swą głupotę. Dobrze, że zrobił to lewą ręką, a nie prawą, bo nie wiadomo, co ich jeszcze czeka. Może znów będzie musiał walczyć? Chwycić rękojeść miecza?

Po to, by zabić księcia Anglii, jeśli zajdzie taka potrzeba.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

---

**W** czasie wędrówki Adrian pomału odzyskiwał siły. Zupełnie go to nie dziwiło. Był przecież młody, zdrowy i poprzednio, po rozmaitych bijatykach, szybko wracał do formy. Koło południa szedł już sam, bez pomocy pani Joanny. Prawdę mówiąc, trochę ociągał się z decyzją, bo ciepło bijące od jej ciała sprawiało, że czuł się dużo lepiej. Może nawet za dobrze?

Zdawał sobie sprawę, że podtrzymywanie go bardzo ją męczy. Chciał jej zatem oszczędzić dalszego wysiłku. Joanna uparła się, aby przynajmniej znalazł kij i używał go jako laski. Spełnił jej prośbę, chociaż uważał to za niepotrzebne. Dzień okazał się bardzo słoneczny i ciepły, Adrian zaś z każdą chwilą czuł się coraz lepiej i odkrył, że... jest zakochany.

Miał do czynienia z kobietą starszą od niego i doświadczoną. Przecież powiedziała mu, że dwa razy wychodziła za mąż. Ilu kochanków obdarzyła swoimi wdziękami? O to nawet nie pytał.

Czasem porównywała się do upadłej Magdaleny. Adrian widział w niej raczej postać z krwi i kości, kobietę, której pragnął, nie tylko cieleśnie, ale sercem i duszą.

Na razie nie mógł jej tego wyznać. Jeszcze nie była na to gotowa. Przeraziła się, gdy ją pocałował. Prawdopodobnie w dalszym ciągu uważała go za niewinnego i skromnego mnicha. Nie chciał jej wyprowadzać z błędu.

Ten honor zostawiał swojej matce. Przecież będą musiały kiedyś się spotkać. Matka Adriana była silną i władczą kobietą, lecz jednocześnie czułą i bardzo sprawiedliwą. Na pewno pozna się na Joannie. Nawet gdyby nawet miała zastrzeżenia i tak ją pokocha ze względu na syna.

- Uśmiechasz się, bracie Adrianie - powiedziała Joanna.

Szli wąską, ale dobrze wydeptaną ścieżką. Nie chcieli unikać

przetartych szlaków. Tu mniej mogli spodziewać się zasadzki i nie mieli czasu na nedorzeczości.

- Lepiej mów do mnie po prostu „Adrianie”... albo „mężu” - odparł młodzieniec, skrycie zadowolony z takiego obrotu sprawy. - Ktoś może nas usłyszeć.

Joanna rozejrzała się po świeżo obsianych polach, ale nikogo nie zauważyła.

- W dalszym ciągu uważam, że jednak powinniśmy udawać rodzeństwo.

- Nie jesteśmy do siebie podobni.

- Często tak bywa.

- Jako mąż mogę cię skuteczniej bronić. Co prawda, nie wiem, gdzie będziemy dzisiaj nocowali, ale na pewno będzie lepiej, żebyśmy spali razem. Mąż powinien być blisko żony i odstraszać obcych.

Joanna najwyraźniej chciała zaprotestować, ale po namyśle tylko pokiwała głową. Musiała mu przyznać rację. Zastanawiała się przez chwilę.

- Sądzisz, że ciągle coś nam grozi? - zapytała wreszcie. - Skąd wiesz, że to nie byli bandyci?

- Z wielu powodów. Po pierwsze nawet złodzieje i bandyci, chociaż nie są zbyt religijni, mają swoje przesady. W trosce o własne dusze nie krzywdzą zakonników. Po drugie nie byliśmy bogatą karawaną. Mnisi, rycerze, zbrojni. Wszyscy zgrzebnie ubrani, bez oznak bogactwa. Najcenniejszy był książę, ale i tak w przebraniu.

- W przebraniu? Adrian wciąż czuł się związany przysięgą.

- Odziany prościej, niż to ma w zwyczaju - szybko wyjaśnił. To akurat była prawda. - Bandyci rzadko atakują tak dobrze uzbrojony oddział. Napastnicy byli na koniach i nosili broje.

Chcieli zabijać, nie rabować. To wszystko skłania mnie do podejrzenia, że nie spoczną, póki nas nie znajdą żywych lub umarłych. Muszą usunąć wszystkich świadków tej zdradzieckiej

zbrodni.

- Nie mam pojęcia, kim oni byli. Uciekłam jak najgorszy tchórz.
- Raczej jak mądra niewiasta. Gdybyś tam została, zgwałciłiby cię i zabili. Jeżeli się nie mylę, to znam ich przywódcę.
- Któż to taki?
- Lepiej, żebyś nie wiedziała. Tak będzie bezpieczniej. Pewne sprawy powinny zostać tajemnicą.

Joanna zatrzymała się i uważnie spojrzała na Adriana. W tym momencie niemal mu przypominała matkę.

- Wiele już przeszłam i na pewno niejedno widziałam. Dobrze wiesz, że mnie nie puszczą, choćbym przysięgała, że jestem niewinna. Kto na nas napadł? Krewni tej dziewczyny, którą zamordował książę?

- Nie. - Adrian postanowił podzielić się z nią swoimi podejrzeniami. - Ludzie samego księcia.

Głęboko zaczerpnęła tchu.

- Ale dlaczego? Dlaczego miałoby mordować swojego pana? Chyba się mylisz. To wszystko nie ma sensu.

- Skąd wiesz, że książę zginął? Nie znalazłaś na poboju jego ciała. Niektórzy mnisi też uciekli... Myślę, że to była robota Williama. Z całego serca nienawidził tej pielgrzymki. Nie uśmiechało mu się takie życie. Nie mógł wytrzymać. Obmyślił napad, żeby się nas pozbyć, a sam pewnie ruszył czym prędzej do klasztoru, aby przekonać wszystkich o swoim cudownym ocaleniu.

- Masz bujną wyobraźnię.
- Znam ludzi - odparł.
- Ja też, i to zapewne lepiej od ciebie.
- To prawda - mruknął, ale w jego głosie nie było ani cienia oskarżenia.

- Patrzyłam w oczy księcia Williama. Na pewno nie był zdolny do tak potwornej zbrodni. Owszem, rozpoznałam w nim urodzonego wojownika, który brał udział w wielu bitwach i zabijał ludzi. Takie przeżycia pozostawiają trwałe ślady na człowieku.

Zdrada i morderstwo to coś całkiem innego. Tego nie znajdziesz w sercu księcia.

Adrian zżymał się w duchu, że nie może wyjawić prawdy. Joanna okazała się dużo mądrzejsza, niż przypuszczał. On tylko mógł się domyślić, jak w rzeczywistości cierpiał brat Peter. Tacy jak Peter zawsze walczą czysto. Nie planują zbrodni.

Księżę William był podłym tchórzem, który jednak rozporządzał zbrojnymi - a to czyniło go jeszcze bardziej niebezpiecznym.

- Może masz rację, milady - wolno odparł Adrian. - Mimo wszystko nie wolno nam zapomnieć o ostrożności.

- Tak - zgodziła się, ku jego zdziwieniu.

Rozejrzała się po szerokich polach. Potem popatrzyła na ciągnącą się przed nimi drogę. Poprzedniej nocy padało i wydeptana ziemia zmieniała się w grząskie błoto. Mimo to słychać było, że jakiś pojazd toczy się w ich stronę.

- Co robimy? - spytała Joanna. - Chcesz, byśmy się ukryli?

Adrian zastanawiał się tylko przez chwilę. Owszem, odzyskał siły, ale nie do tego stopnia, żeby ryzykować szybką ucieczkę w stronę odległego zagajnika. Pokręcił głową.

- Nie. Przekonamy się, co warte są nasze przebrania. Może dowiemy się, gdzie jest najbliższa wieś. Może już czeka na nas obfity posiłek i ciepłe postanie?

- Albo ostrze miecza.

- To tylko wóz zaprzężony w dwa konie, a nie oddział zbrojnych - uspokoił ją. - Więcej wiary.

Joanna spojrzała na Adriana. Miał ochotę odpędzić pocałunkiem jej wszystkie niewczesne troski. Mimo to zachował niewzruszoną minę.

- Wierzę - powiedziała po chwili milczenia - w ciebie.

Niewiele brakowało, żeby w tym momencie ją pocałował. Wóz jednak zbliżył się za szybko. Wieśniak rzucił na nich okiem z wysokości kozła.

Był stary, siwy i uśmiechał się przyjaźnie. Wstrzymał konie.



- Idziecie do Beckham? - zagadnął. - Pracy tam nie znajdziecie, ale dadzą wam jeść i porządne spanie. Siadajcie na wóz. Podwiozę. To już niedaleko.

Adrian już był gotów uprzejmie odmówić, lecz mimochodem popatrzył na Joannę i natychmiast zmienił zdanie. Podczas gdy on odzyskiwał siły, ona wyraźnie słabła. Pewnie przeze mnie nie spała przez ostatnie noce, pomyślał i poczuł wyrzuty sumienia.

- Dziękuję ci, przyjacielu, w imieniu własnym i mojej żony - odparł na propozycję wieśniaka. Mówił miękko, przeciągając zgłoski na modłę wieśniaków z południowych prowincji królestwa. - Prawdę powiedziawszy, pielgrzymujemy aż do sanktuarium Świętej Anny - dodał. - Mamy nadzieję, że dobra święta pobłogostawi nas potomkiem.

Znaczącym ruchem położył dłoń na płaskim brzuchu Joanny. W pierwszej chwili drgnęła nerwowo, lecz potem spojrzała na niego z uśmiechem lekko zakłopotanej, lecz oddanej żony.

- Nie tak się robi dzieci, chłopcze. - Woźnica parsknął śmiechem. - Ojciec ci nie powiedział?

- Oszczędźcie wstydu mojej lubej, zacny gospodarzu - zafrasował się Adrian. - Próbowaliśmy już wszystkiego.

Chłop wzruszył ramionami.

- Pomodlić się na pewno nie zaszkodzi. Tak samo można zlec w pierwszą księżycową noc miesiąca w krzaku rozmarynu. Mojej siostrze pomogło to od razu. Dziewięć miesięcy później powiła wspaniałego chłopca. Rozglądaliście się za rozmarynem?

Adrian nie patrzył na Joannę. Bał się, że wybuchnie śmiechem.

- Jeszcze nie, ale spróbujemy.

Wóz był dosyć wysoki, nie pozostawało mu więc nic innego, jak objąć Joannę w pasie i podsadzić ją odrobinę. Gdyby się dobrze postarał, mógłby nawet „niechcący” dotknąć jej pełnych piersi. Uspokój się, pomyślał gniewnie. Teraz nie pora na takie zachowanie. Mimo to w obecności świadków mógł sobie pozwolić na więcej. Mały całus, zdawkowy uścisk... Wszystko dla dobra

sprawy.

Joanna wciąż miała go za mnicha, uważałyby więc to za oszustwo. Jedynie sprawiłby jej przykrość. Musiał się powstrzymać od wszelkich czulszych pieścizot. Aż do bram klasztoru Świętej Anny powinien wobec Joanny grać rolę naiwnego zakonnika, nie rycerza, obeznanego z prawami tego świata. Adrian się zamyślił. Rycerz, który udaje mnicha, udającego wieśniaka. Zakochany młodzieniec, który w oczach wybranki żyje w celibacie, lecz gra rolę męża. Piekielna łamigłówka.

Obyśmy jak najszybciej dotarli do klasztoru, bo popadnę w obłąd. Przecież nie mogę nieustannie kłamać. Na razie jednak musiał czekać.

- Ani śladu, szlachetny książę - powiedział Rufus, z niepokojem patrząc na swojego pana. W przeszłości doświadczył humorów Williama i obawiał się kolejnej kary.

Książę William spędził dziewczkę z kolan i szybko dopiął pasa. Niewielu poza nim odważyłoby się brać kochankę pod dach świętego przybytku. Ale on wolny był od takich przesądów.

- Chyba nie zrozumiałeś mnie do końca, mój miły Rufusie - powiedział ze zwodniczym uśmiechem. - Czworo ludzi wędruje traktem albo lasem przez połąć ziemi ciągnącą się od rzeki aż tutaj. Chcesz powiedzieć, że nikt ich po drodze nie widział? Kogo wypytywałeś? Ślepców?

- W-wasza książęca mość - wyjąkał Rufus. - Jeden oddział pchnąłem na północ, drugi na wschód. Nikogo nie znaleźli. Upominałeś nas, byśmy nie zwracali na siebie uwagi. Nie mogliśmy więc wypytywać wieśniaków. Z tego, co wiem, nikt nie widział obcych. Gervaise zna się na rzeczy. Być może ranni, skonali gdzieś w gęstwinie...- To są ludzie, Rufusie, a nie psy, które włożą w dziury, żeby lizać rany. Gervaise się nie spisał. Kompletnie mnie zawiódł. Choćby właśnie dlatego wisi teraz na drzewie, a ty przejąłeś dowództwo nad całym oddziałem. Na razie.

Rufus, potężny, silny mężczyzna budził strach we wszystkich,

którzy choć przez chwilę mieli z nim do czynienia. Potrafił złamać kark jedną ręką. W obecności księcia zmieniał się w tchórzliwego, spoconego człeczynę. Prawdę mówiąc, nie bał się śmierci.

Wiedział jednak, że z rąk Williama nie czeka go nic dobrego.

- Sam się tym zajmiesz, Rufusie - łagodnie powiedział książę.

- Nie mogę być w dwóch miejscach naraz, Wasza Wysokość - nieśmiało zaproponował Rufus.

- Będiesz w czterech, jeżeli każę cię poćwiartować - zauważył William. - Może to nawet lepiej? Część wyślę na wschód, część na zachód, północ i południe. W ten sposób nikt się nie prześliznie.

- Panie... - z rozpaczą zaczął Rufus.

- Nie drażnij mnie, człowieku. Znajdź wszystkich, którzy uciekli z polany. Młodego mnicha pchnąłem nożem, ale wciąż nie wiem, czy zginął. Fałszywy książę uszedł bez szwanku. Wziął ze sobą rudowłosą dziewczkę. Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości.

- Dlaczego nie miałby zabrać ładniejszej, panie?

- Brat Peter nie wie, co piękne, a co brzydkie. Zakochał się w niej bez pamięci. Znajdź ich, Rufusie. Słyszysz? A kiedy znajdziesz - zabij.

- Tak, panie.

- Idź już.

Rufus nawet nie śmiał otrzeć spoconego czoła. Powoli cofał się do drzwi i był już niemal w progu, kiedy zatrzymał go głos Williama.

- Rufusie?

- Tak, Wasza Wysokość?

- Najpierw zabij dziewczynę. Nie spiesz się. Niech tamten dobrze się napatrzy. Doprawdy szkoda, że nie mogę uczynić tego własnoręcznie. Mimo wszystko liczę na ciebie.

Rufus zrozumiał go doskonale. W służbie Williama już dawno pozbył się wyrzutów sumienia. W jego mniemaniu los Elizabeth z Bredon był przypieczętowany.

Jednak nie zamierzał jej niepotrzebnie męczyć. Wystarczy jeden szybki cios sztyletem, pomyślał. Książę i tak niczego więcej się nie dowie. Mimo wszelakich wad Rufus nie był sadystą. Nie męczył ofiar.

- Jak sobie życzysz, panie - mruknął pod nosem, skłonił się głęboko i opuścił komnatę. Już na korytarzu usłyszał okrzyk bólu z ust dziewczki, która siedziała tuż przy księciu. Elizabeth spała na brzuchu na wąskim pościeli. Peter zajrzał do chaty tylko po to - we własnym mniemaniu - aby sprawdzić, czy nic nie zagraża jego podopiecznej. Musiał bezpiecznie doprowadzić ją do klasztoru i oddać w ręce przeorzy.

Spała jak kamień, ciągle ubrana w habit, z kapturem naciągniętym na głowę. Wciąż się chowała.

Bardzo dobrze, uznał Peter. Popatrzył na nią beznamiętnie, jakby spoglądał na któregoś z młodych zakonników. Znał takich wśród duchownej braci, którzy nie gardzili ładnymi chłopcami, ale on do nich nie należał. Nie odczuwał żadnych emocji, a raczej myślał, że ich nie odczuwa. Przecież wiedział, kto kryje się pod tym habitem. Wciąż pamiętał jej słodkie usta i dotyk jedwabistej skóry. Dlaczego kobiety są tak kusząco gładkie? Dlaczego tak cudownie pachną? A najważniejsze: dlaczego Elizabeth tak go pociąga?

Odwrócił się i przymknął oczy. Prawdę mówiąc, wcale nie musiał stać na warcie. Wiedział, że nikt ich tu nie znajdzie. Znał te ziemie lepiej niż ktokolwiek inny; mógł ukrywać się bez końca. Poza tym, jeśli książę zginął, to ani on, ani Elizabeth nie musieli już drżeć o życie.

Jeśli książę zginął... Przecież to takie proste. Niestety, zbyt proste.

Peter wyszedł na zewnątrz. Owionął go chłód nocy. Księżyc świecił wystarczająco jasno, żeby było widać najbliższą okolicę. Srebrny blask padał na starą chatę. Tu mieszkał jeden z chłopów, dzierżawca połaci ziemi, którą oddał mu ojciec Petera. Zaraza

zabiła wszystkich. Przyszła niespodzianie, podczas gdy Peter walczył w odległej Ziemi Świętej.

Gdyby tu był, to pewnie podzieliliby los innych. Doprawdy szkoda, że tak się nie stało. Nie uczyniłbym tyle zła. Nie mordowałbym w imię źle pojętej miłości do Boga.

Tutejsze duchy nie mogły mu wyrządzić krzywdy. Nie bał się ich. W uszach wciąż słyszał upiorny szept tych, którzy zginęli zupełnie gdzie indziej. Lecz człowiek myślący jest przecież wolny od przesądów. Tak przynajmniej powiadał opat zakonu Petera. Nie ma duchów. Żadna ludzka dusza nie błąka się po świecie uwolniona od ciała. A ci, którzy tu mieszkali, odeszli w pokoju i teraz bez wątpienia są już dawno w niebie. Nie złością się, że ktoś stanął na nocleg w ich dawnym domu.

Peter usiadł na trawie pod rozłożystą gruszą pokrytą gęstym kwieciem, zwiastującym wiosnę. Mógł spać wszędzie i w każdej pozycji. Nie zamierzał czuwać. Miał nadzieję, że po spokojnie spędzonej nocy znajdzie w sobie dość sił, żeby powstrzymać żądzę. Elizabeth zaś odzyska dobry humor.

We śnie widział tak dziwne i niepokojące rzeczy, że niemal się obudził, krzycząc z pożądania. A potem wszystko się zmieniło. Słyszał krzyki umierających kobiet, lecz nie mógł ich uratować. Nagle zdał sobie sprawę, że ów krzyk nie jest częścią snu, ale dobiega z chaty.

Zerwał się i ze sztyletem w dłoni wpadł przez otwarte drzwi, gotów do zabijania. Krzyk ucichł - tak jak zawsze. Peter zląkł się, że jednak przyszedł za późno.

Kiedy wzrok z wolna przywykł do ciemności, zobaczył Elizabeth. Siedziała na posłaniu, z twarzą ukrytą w dłoniach i w kapturze naciągniętym nisko na czoło. Płakała.

Niewiele myśląc, Peter przyklęknął koło niej, odłożył nóż i delikatnym ruchem ujął ją za rękę.

- Co się stało? - zapytał cicho. Podskoczyła, kiedy jej dotknął, ale nie cofnął dłoni.

- Miałam zły sen - powiedziała schrypniętym od płaczu głosem.  
- Śniły mi się duchy.

- Nie ma duchów, Elizabeth.

- Wiem - burknęła z niechęcią. - Tylko we śnie to wszystko wygląda inaczej. - Uniosła głowę. - Miałeś mnie obudzić. Teraz moja kolej objąć wartę.

- Nie trzeba. Nikt nas tu nie znajdzie.

- To dlaczego przedtem mówiłeś co innego?

- Nie chciałem się do ciebie zbliżyć. – Nie powinien mówić takich rzeczy, ale w ciemnej izbie zapomniał o ostrożności.

Elizabeth wyrwała mu się.

- Przestań! - krzyknęła. - Przestań kłamać! Popatrzył na nią ze zdumieniem.

- O co ci chodzi?

- Odejdź. Chcesz mnie tylko dręczyć. Przecież na dobrą sprawę już wygrałeś. Raz prawie ci uległam. O co więc chodzi? Zostaw mnie samą.

Usiadł przy niej na łóżku.

- Nie rozumiem - powiedział cierpliwie. - Spróbuj mi to wyjaśnić.

- Po co tu jakieś wyjaśnienia? Zakpiłeś sobie. Doprowadziłeś mnie do stanu... podniecenia i porzuciłeś. Odejdź.

- Przestań powtarzać w kółko „odejdź”. Nie zamierzam stąd wychodzić - odparł.

- To ja wyjdę! - warknęła. Chciała wstać, lecz Peter złapał ją za rękę i tak silnie pociągnął na dół, że przewróciła się na poślanie. Kaptur spadł jej z głowy.

Peter przyglądał jej się z zaskoczeniem. Gdzieś zniknęły lśniące rude włosy. Zamiast nich miała tylko krótką czuprynę. Wyglądała jak urodziwy chłopiec, a on przecież nie odczuwał pociągu do chłopców. Teraz jednak było inaczej.

- Twoje... włosy... - powiedział z wolna.

- Obcięłam je. To były włosy diabła. Wszyscy od dawna mi to



powtarzali. Dobrze wiem, że jestem brzydka, a w tych włosach... -  
Znów była bliska płaczu. - Teraz wyglądam na chłopaka, i bardzo  
dobrze! Chcę być zakonnica, bo nawet tobie się nie spodobałam! -  
Na moment zabrakło jej tchu. - Nienawidziłam ich i cieszę się, że  
je obcięłam.

Peter ujął ją pod brodę i drugą ręką pogładził po ostrzyżonej  
głowie.

- To nieprawda - powiedział. - Były piękne i dobrze zdawałaś  
sobie z tego sprawę. Niestety, oprócz mnie nie każdy umiał to  
docenić.

Elizabeth popatrzyła mu prosto w oczy. Powieki ciągle miała  
zapuchnięte od płaczu. Na pewno długo rozpaczała, pomyślał  
Peter. Dłużej niż ostatnie kilka minut.

- Nie dotykaj mnie - szepnęła. - Jestem brzydka, a z ciebie to  
prawdziwy potwór.

Peter miał pełną świadomość tego, że już przegrał. Mógł się  
bronić przed uszczypliwością, gniewem i dąsami, ale zmiękł na  
widok bezbronnej istoty, rozczulającej swoją niewinnością.

- Nie. - Kciukiem otarł łzy z jej twarzy. - Nie jestem potworem.  
A ty nawet bez swoich pięknych włosów w niczym nie  
przypominasz chłopaka. Jesteś urocza, chociaż o tym nie wiesz.  
Usiłowałem cię unikać dla naszego wspólnego dobra. Uciekałem,  
bo cię pragnę.

W izbie zapadła cisza.

- Kłamca - odpowiedziała po chwili Elizabeth.

W tym momencie pozostawało mu już tylko jedno. Musiał ją  
pocałować. Musiał posłuchać głosu serca... i do diabła z  
konsekwencjami.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

---

**N**a dobrą sprawę Elizabeth powinna być przerażona; przeklinać w duchu swoją słabość i głupotę. Tymczasem pocałunek księcia sprawił, że zapomniała o całym świecie i myślała jedynie o tym, że tuż koło niej jest mężczyzna z krwi i kości, o krzepkim, muskularnym ciele, ukrytym pod habitem. Mówili o nim, że potrafi skrzywdzić bezbronną kobietę. Ona jednak wiedziała, że jej nie zrobi nic złego.

Księżę przerwał pocałunek i popatrzył jej prosto w twarz. Elizabeth wiedziała, że jest jeszcze pora, aby to przerwać, zanim oboje pogrążą się w szaleństwie. Zamknęła oczy, kiedy księżę muskał pocałunkami jej nos, policzki i czoło. Wreszcie znowu ją pocałował w usta. Elizabeth poczuła rozkoszny dreszcz, przeszywający całe ciało. Joanna uprzedzała ją, że zaloty mężczyzn na ogół bywają szorstkie i bolesne. Inne kobiety głośno wyrzekały na swoje poniżenie, a jeszcze inne trwały w wymownym milczeniu. Żadna z nich nie mówiła o tajemniczym ogniu, który rozsadzał piersi i palił podbrzusze. O namiętności tak silnej, że potrafiła stłumić wszelkie inne uczucia. W tym momencie wszystko stawało się nieważne. Warto żyć dla tej chwili, pomyślała Elizabeth w przeblysku świadomości.

Zadrzała. A może jednak bała się odrobinę? Tymczasem księżę wprawna ręką rozsypał sznur wiążący poły jej habitu. Zrobił to tak zręcznie, że już po kilku sekundach Elizabeth siedziała na łóżku tylko w cienkiej koszuli.

Usiłowała coś powiedzieć, ale głos uwiązł jej w gardle, musiała więc odchrząknąć, zanim się odezwała.

- Znakomicie sobie radisz. Często rozbierałeś mnichów?

Musnął ustami jej policzek i znieruchomiał na krótką chwilę. Elizabeth złękła się, że znów ucieknie.

- Częściej, niż ci się wydaje - odparł chrapliwym głosem i zdjął z niej koszulę.

Elizabeth nawet nie spostrzegła, kiedy zdążył rozwiązać tasiemki z Inianego płótna. Jej nagie piersi były jasną plamą we wszechwładnej ciemności.

- Z damską bielizną też ci nieźle idzie - powiedziała nerwowym tonem.

- Dużo lepiej, niż ci się wydaje. Rozmyślałaś się?

Tak. Oszukiwała samą siebie. Bała się mężczyzny, który naruszał jej intymność. Bała się swojej nagości. Mimo to odparła:

- Nie.

- W takim razie mnie nie rozprasza. Pocałował ją i położył dłonie na jej piersiach.

Elizabeth podskoczyła jak oparzona.

- Co ty wyprawiasz?!

- Łapię cię za piersi. A za chwilę, jeśli chcesz wiedzieć, będę je całował.

- Chyba nie powinieneś tego robić. To znaczy... nie możemy... Myślę, że...

- Połóż się na plecach, zamknij oczy i nie zadawaj żadnych pytań - odpowiedział. W jego głosie dźwięczała ledwo uchwytna nutka rozbawienia. - Muszę się teraz skupić.

- I to wszystko?

- Powiem ci, kiedy przyjdzie odpowiednia pora. Gdy będziesz w pełni gotowa. Na razie leż spokojnie i ciesz się każdą chwilą.

- M-mam się cieszyć? - wyjąkała.

Delikatnie, ale stanowczo pchnął ją na posłanie. Elizabeth leżała teraz przed nim całkiem naga. Co prawda, w izbie było ciemno, lecz mimo to miała wrażenie, że księżę widzi ją w pełnej krasie. Usiłowała zakryć się rękami. Księżę ujął ją za nadgarstki i przytrzymał.

- Pomyśl sobie, że jesteś teraz zupełnie gdzie indziej - szepnął.

- Leżysz wśród traw, na pachnącej łące, skąpana w promieniach

słońca... Płyniesz na chmurze... Za jakiś czas wrócisz do mnie. Ale nie teraz.

Potem zaś zrobił to, przed czym ją ostrzegał. Delikatnie chwycił w usta jej sutek i zaczął ssać.

Elizabeth posłusznie zamknęła powieki i próbowała zgodnie z poleceniem „odpłynąć gdzieś na chmurze”, lecz nie potrafiła. Zachowanie księcia budziło w niej odczucia, których na razie nie umiała nazwać. Ogarnęła ją fala gorąca, wypływająca gdzieś z podbrzusza. Odruchowo ścisnęła w dłoni rąbek koca.

Tymczasem księżę przesunął się nieco w bok i zajął się drugą piersią. Elizabeth uniosła rękę i wplotła palce w jego gęste włosy. Westchnęła głośno. Zabrzmiało to niczym zduszony jęk, ale nie było w tym ani odrobiny smutku czy bólu.

Księżę uniósł się nieco. Elizabeth otworzyła usta. Zanim zdążyła coś powiedzieć, uciszył ją namiętym pocałunkiem.

Zapewniał ją, że wie, co robi. Miała nadzieję, że tak jest w istocie, bo chciała więcej... więcej...

Księżę wsunął dłoń między jej uda. Elizabeth odruchowo zacisnęła nogi, ale William okazał się silniejszy.

- Nie walcz ze mną, Elizabeth - szepnął, delikatnie całując miękką skórę na jej brzuchu. - To dla ciebie, nie dla mnie.

Dotknął ją w takie dziwne miejsce, że aż zadrżała z mrocznej rozkoszy.

- O, właśnie - powiedział cicho. - Przyjdź do mnie. Zrobisz to? Chcę, żebyś poznała prawdziwy smak szczęścia, zanim ci sprawię odrobinę bólu.

Nic nie zrozumiała tego, co teraz mówił. Chciał ją skrzywdzić? Nie szkodzi, mógł zrobić z nią dosłownie wszystko, byle tylko zaspokoił to pragnienie. Elizabeth oddychała z trudem, pojękując z cicha. Wciąż czegoś chciała, ale nie wiedziała nawet, jak to nazwać.

Księżę cofnął dłoń i położył ręce na jej biodrach. Elizabeth bezwiednie wydała zdławiony okrzyk protestu. Po chwili z jej ust

wyrwał się jęk rozkoszy, kiedy poczuła usta kochanka w tym samym miejscu, gdzie przedtem były jego palce.

Szarpnęła się, ale książę osadził ją silną ręką. Bezskutecznie próbowała go odepchnąć. Bezradnie zaciskała obie dłonie na kocu. Wreszcie odrzuciła głowę w tył i dała się ponieść ekstazie.

Przez krótki moment miała wrażenie, że umiera. Zupełnie jej to nie przeszkadzało. Jej ciało przekształciło się w gorejący płomień. Leżała więc, drżąc w spazmatycznych drgawkach, aż poczuła, że zapada się w mroczny odmęt.

Książę zrzucił odzienie. W blasku księżycy jego skóra lśniła niczym białe złoto. Elizabeth spojrzała na pokrytą bliznami szeroką pierś, płaski brzuch.

Poczuła, że książę bierze ją za rękę.

- Zrób tak - powiedział, wodząc jej palcami po napiętej skórze.  
- Nie za mocno, w ten sposób... - Głos mu się załamał, kiedy poruszyła dłońią. - W ten sposób dasz mi radość, a sama w nietkniętym stanie dotrzesz do klasztoru Świętej Anny.

Tym razem zrozumiała. To grzech tak bezmyślnie rozsiewać nasienie, przemknęło jej przez głowę. Chyba jednak mniejszy niżli chędożenie z idącą do zakonu młodką.

Cofnęła rękę.

- Nie - powiedziała zachrypniętym głosem. Położyła się na pościeli, wsparła ręce na ramionach księcia i przyciągnęła go ku sobie. - Chcę wszystkiego.

Nie bronił się.

- Boże - westchnął i pochylił się nad nią - miej litość dla nas obojga.

Zamarł, gdy dotarł do ostatniej bariery.

- Nie - szepnął i chciał się wycofać.

- Tak - odparła i mocnym ruchem szarpnęła go do siebie.

Wszedł w nią, przerwał zasłonę i wdął się jeszcze głębiej.

Ból okazał się krótki i ulotny. Elizabeth syknęła cicho i po chwili odzyskała oddech.

- Teraz - powiedziała zdławionym głosem - już nie masz wyboru. Dokończ.

Zaczął się ruszać - zrazu wolno, lecz potem coraz szybciej, szybciej... Ich ciała lśniły od lepkiego potu. Książę wtulił twarz w szyję Elizabeth i gwałtownie szarpał biodrami. Czas stanął w miejscu, aż wreszcie nastąpiło jedno silne pchnięcie, potem drugie - i rozległ się chrapliwy okrzyk.

Elizabeth drżała niczym w febrze, ale nie wypuszczała kochanka z objęć. Nie chciała, żeby teraz odszedł. Usiłowała coś powiedzieć, lecz żadne słowo nie przechodziło jej przez gardło. Leżała więc, patrzyła w przestrzeń i czułym ruchem gładziła księcia po szerokich, pokrytych bliznami plecach. Pocałowała go w szyję, zamknęła oczy i zasnęła.

Peter powoli wyzwoił się z ciasnych objęć śpiącej Elizabeth. Poruszyła się i mocniej do niego przywarła, jakby podświadomie się bała, że ucieknie.

Leżał więc obok, patrząc na nią. Dziwne, że to on płakał, a nie ona. Skąd miała wiedzieć, co się tej nocy naprawdę stało? Straciła cnotę, a on odrzucił ostatnią szansę uratowania nieśmiertelnej duszy. I co najgorsze, zupełnie tego nie żałował.

Tylko on zgrzeszył. Bóg na pewno wiedział, że to nie była wina Elizabeth. A ludzie? Cóż, mogli myśleć inaczej. Skoro tak, lepiej, żeby nic nie wiedzieli.

Peter westchnął ciężko. Tak się zapamiętał, że nie starczyło mu rozsądku, aby uchronić Elizabeth przed niepożądaną ciążą. Dawniej, to znaczy jeszcze za rycerskich czasów, miał kochanek bez liku, ale znany był z tego, że żadnej nie sprawił kłopotów. A teraz, w najważniejszej chwili, stracił głowę. Zasłużył na podwójne potępienie, jeśli ono istniało.

Księżyc świecił przez przymknięte okiennice. Peter popatrzył na Elizabeth. Miała wspaniałe ciało: długie zgrabne nogi, wąskie biodra, gibką talię i pełne piersi. Wyglądała tak, jak sobie to wcześniej wyobrażał. A może nawet lepiej? Znow westchnął.



Gdyby powstrzymał swoją wyobraźnię, nie doszłoby do najgorszego.

Przez siedem długich lat dawał odpór pokusom. I co z tego? Nawet w tej chwili, choć sama myśl o Elizabeth wprawiała go w stan podniecenia, był przekonany, że jednak mógł się pohamować, odwrócić się i odejść.

Nie było to proste, ponieważ zakochał się w Elizabeth.

Ojciec powtarzał, że ma krnąbrnego, upartego syna. Wbrew jego woli Peter pojechał na krucjatę, zamiast tu, w Anglii, bronić rodowego mienia. Kiedy powrócił, nie miał już rodziny, ziemi, majątku. Nie zostało mu nic oprócz przeraźliwego poczucia winy. To cud, że nie załamał się pod tym brzemieniem.

Nie słuchał ojca i zapłacił za to najstraszniejszą cenę. A w innych sprawach? Nigdy nie żywił głębszych uczuć do żadnej ze znanych sobie kobiet. Kochał się z nimi, ale ich nie kochał.

Cóż więc się stało, że rudowłosa, opryskliwa i długonoga Elizabeth tak poruszyła czułą strunę w jego sercu? Sercu, które przecież na zawsze oddał Bogu. Przynajmniej tak mu się zdawało.

To nie była jej wina; on okazał się słaby.

Teraz powinien się pospiesznie ubrać, wyjść z chaty i wyruszyć w dalszą drogę do klasztoru. Nie musiał martwić się o Elizabeth. Przez dzień lub dwa będzie tu całkiem bezpieczna. On zaś mógł sprawdzić, co się stało z Williamem, i przysłać tu kogoś po nią. Gdyby się uparła zostać zakonnicą, zapewne nigdy nie poznałaby prawdy. Myślałaby, że uwiódł ją księżę Anglii, a nie bezimienny kłamca, okryty habitem mnicha.

Przy odrobinie szczęścia mogła wyjść dobrze za mąż, osiąść na wsi i mieć gromadkę dzieci. Ta myśl sprawiła mu ból. Nie chciał, aby ktoś poza nim dotykał jej ciała, by ktoś inny kiedyś słuchał jej docinków.

Tak, uznał, powinienem ją zostawić. Na pewno nic jej się nie stanie. Można wybaczyć grzech popełniony raz i odżałowany. Lecz jeśli ktoś uparcie obstaje przy swoim...

Mimo wszystko pochylił się i pocałował Elizabeth.

Adrian cieszył się ze swojej decyzji. Wprawdzie dość szybko odzyskiwał siły, lecz po całym dniu marszu należał mu się odpoczynek. Mieszkańcy Beckham, chociaż sami biedni, z otwartymi rękami powitali pielgrzyma i jego strudzoną żonę. To były właśnie te drobne przyjemności związane z wędrówką do miejsc świętych. Gospodarz uważał, że przy takiej okazji i na niego spływa choć trochę świętości. Miejscowy młynarz dał im wolną izbę z łóżkiem, ciepłą strawę i mocne piwo dla pokrzepienia. Zewsząd sypały się mądre porady, co zrobić, żeby żona stała się brzemienna. Niektóre sposoby opisywano w tak szczegółowy sposób, że Adrian z trudem zachowywał poważną minę. Joanna jednak nie podzielała jego rozbawienia. Wciąż wyczuwał w niej pewną rezerwę, skrzętnie ukrywaną pod pozorem spokoju. Nie dowierzała mu i miała rację. Przez minione lata nauczyła się, żeby nie ufać mężczyznom.

Jednak nie była wobec niego zupełnie nieczuła. Kiedy myślała, że nikt nie widzi, przypatrywała mu się z ciekawością, jakby wydawał jej się całkiem inny od mężczyzn, z którymi przedtem miała do czynienia.

A on pod pewnym względem niczym się nie różnił. Też chciał pochwycić ją w ramiona. Zapewne w innej sytuacji już by to uczynił. Nigdy nie myślał, że celibat okaże się aż tak męczący. Zanim poznał panią Joannę, śluby czystości mu nie przeszkadzały. Co prawda, zwrócił na nią uwagę już podczas pierwszej wizyty na zamku Wakebryght, ale opierał się pokusie i przesiadywał raczej na uboczu.

Niestety, wszystko się zmieniło, kiedy Joanna dołączyła do małej karawany. Adrian zadurzył się po same uszy.

Teraz - na wąskim łóżku, w ciemnej izbie, w domu młynarza - leżał z zamkniętymi oczami i starał się nie myśleć o pięknej kobiecie, cicho śpiącej u jego boku.

Przecież to takie proste, mimo woli przemknęło mu przez

głowę. Gdy dam jej prawdziwą rozkosz, na pewno mi wybaczy. Dobrze wiedział, jak sprawić przyjemność kobiecie. Dbał o każdą ze swych partnerek.

Zwykle wybierał doświadczone, które wiedziały, czego pragną. Jeśli wzdragały się to powiedzieć na głos, umiał przełamać ich nieśmiałość. Wierzył, że uda mu się też z Joanną. Już nawiązała się między nimi pewna więź, choć prawie się nie znali. Adrian wyraźnie to wyczuwał. Joanna też, chociaż nie chciała się do tego przyznać. Zapytana, pewnie by nawet zaprzeczyła. Chyba się trochę bała własnych uczuć.

Adrian uznał, że musi parę dni poczekać, aż znajdą się bezpiecznie pod dachem klasztoru. Potem będzie dość czasu na wszelkie przyjemności. Na razie leżał obok Joanny niczym kamienny rycerz na nagrobku - sztywny i nieruchomy.

Przy odrobinie szczęścia jutro przed wieczorem mogli dotrzeć do klasztoru Świętej Anny. Będzie jeszcze silniejszy, pomyślał z satysfakcją. Zaprowadzę Joannę do ogrzanej izby, z balią pełną gorącej wody i łóżkiem z miękką pościelą. Zdobę ją pod samym nosem świętej. Będziemy razem do świtu, aż zatrę w niej wspomnienia wszystkich mężczyzn, których znała przede mną.

Nie był o nich zazdrosny. Nie potępiał Joanny za to, co robiła. Myślał o jej przyszłości. On był tą przyszłością. Im szybciej to zrozumie, tym lepiej dla ich obojga.

Wiedział, że początkowo będzie się opierała; za to później na pewno odpłaci mu miłością. A gdy skończę służbę u księcia, marzył Adrian, pojedziemy razem do Longacre.

Właśnie, książę... Może już nie żyje? Może rzeczywiście napadli ich bandyci albo ludzie najęci przez ojca zmarłej dziewczyny? Tylko dlaczego William chciał mnie zabić, skoro za chwilę sam mógł zginąć? - zachodził w głowę Adrian. Jeśli zginął, to jego ciało pewnie wzięto z pola bitwy i przeniesiono do kaplicy, w oczekiwaniu na biskupa i na porządną, uroczystą pogrzeb.

Mnie zaś nie stoi nic na przeszkodzie, żeby się zająć Joanną.

A jeśli William ocalał z rzezi? Cóż, to jest całkiem niedaleko. Musi dokończyć pokutę, żeby nie budzić gniewu królewskiego ojca. Zresztą król Jan był teraz dużo bardziej zajęty młodocianą żoną. Nie dbał o nieślubnego syna i w każdej chwili mógł go wydziedziczyć.

To też zwalniało Adriana z dalszej służby. Mógł spokojnie wracać do domu.

Z Joanną.

RS

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

---

**P**eter ubierał się na brzegu strumienia i spod oka patrzył na Elizabeth. Niedaleko od chaty znaleźli cichy zakątek, w którym swobodnie mogli się wykąpać. Przedtem kochali się aż do białego rana.

Po krótkiej drzemce, bladym świtem, Elizabeth wyglądała na lekko spłoszoną. Jakby onieśmiałało ją to, co zaszło w nocy. Zachowywała się ulegle, bez cienia dawnej złośliwości. Peter sprowadził ją nad strumień, ale kąpiel szybko znów przerodziła się w miłosne igraszki. Tym razem górą była Elizabeth. Wcale jej to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie, odczuła jeszcze większą rozkosz i dała temu wyraz głośnymi okrzykami. Na koniec Peter musiał ją przytrzymać, kiedy bez tchu złożyła mu głowę na piersi.

Za każdym razem myślał, że to koniec, i wciąż się mylił. Sam nie wiedział, skąd w nim się brało tyle witalności. Wystarczyło, że Elizabeth spojrzała nań spod oka, a już był gotów spełnić jej każdą zachciankę.

Na szczęście zimna woda trochę ochłodziła ich miłosny zapał. Peter wyciągnął się na wiosennej trawie i obserwował Elizabeth. Chyba nie była zachwycona tym, że kochanek opuścił ją choćby na parę krótkich minut. Mimo wszystko odwróciła się do niego tyłem i dała nura w wodę.

Umiała pływać. Myślał, że jest inaczej, bo wciąż miał w pamięci całkiem niedawną scenę, kiedy w ostatniej chwili wyciągnął ją z topieli. Ciekawe, kiedy się nauczyła się tej sztuki? Musiała wymyślać się spod czujnej opieki ojca. Oszukiwała opiekunów.

Peter przeżył najgorszy moment, gdy Elizabeth zobaczyła jego plecy. Mógł przewidzieć, że to na pewno jej się nie spodoba. Nawet nie chodziło o podłużną bliznę od saraceńskiej szabli, biegnącą ukośnie od ramienia niemal do pośladków. Oprócz niej były

świeższe znaki biczowania i szorstkiej włosiennicy, którą niedawno nosił.

- Co ci się stało? - zapytała Elizabeth.

- Wszedłem pod rękę pewnemu Arabowi, ale udało mi się przeżyć.

- Nie o tym mówię. A te drobne blizny? Ktoś cię okropnie skrzywdził. Chciał ci zadać jak najwięcej bólu.

Niestety, nie mógł jej powiedzieć, że to on sam skazał się na tę torturę, by wypędzić z duszy diabła. Jak się okazało, to nie pomogło.

Uśmiechnął się, znów wchodząc w rolę przewrotnego księcia Williama.

- Ból też czasami może być przyjemny. Tego uczucia nie da się porównać z żadnym innym. Trzeba uważać, żeby nikt nie zginął, lecz dozowany w odpowiednich dawkach... sprawia wielką rozkosz.

Elizabeth popatrzyła na niego z przerażeniem. Domyślał się, że tak będzie, a mimo to poczuł się nieswojo.

- Chciałbyś, żebym cierpiała?

Co by się stało, gdyby odpowiedział „tak”? W gruncie rzeczy wolał tego nie wiedzieć i uniknąć takich doświadczeń choćby ze względu na Elizabeth.

- To są zabawy dla dorosłych - odparł surowo. - W sprawach miłości wciąż pozostajesz dzieckiem.

Szeroko otworzyła oczy. Przez moment wydawało się, że chciała coś powiedzieć, ale potem tylko pokręciła głową i znów zanurzyła się pod wodę. Peter został sam, świadom, że choć raz postąpił właściwie.

Ubrał się szybko. Przez cały czas czuł na sobie zaciekawione spojrzenie Elizabeth. Przypatrywała mu się z zainteresowaniem. Kiedy zerknął w jej stronę, odwróciła się szybko z tak obrażoną miną, że się roześmiał.

Chyba na chwilę usnął w ciepłych promieniach słońca. Nic



dziwnego, bo przecież nocą spał bardzo mało. Obudził go plusk wody. Zdążył otworzyć oczy, by ujrzeć Elizabeth. Wyszła ze strumienia naga i przepiękna niczym pogańska boginka. Na jej pełnych piersiach błyszczały srebrne krople.

Szła wolno, kołysząc biodrami. Zatrzymała się, aby podnieść porzucony habit. Ubrała się, zanim Peter zdążył zareagować. Wstał. Cieszył się, że już nie jest nagi i że nie mogła dostrzec jego podniecenia.

- Trzeba stąd jak najszybciej odejść - powiedział, gdy podeszła kilka kroków bliżej. - Jeśli nam się uda, to przed zmierzchem staniemy w klasztorze. Im prędzej trafisz do zakonnicy, tym lepiej.

- A to dlaczego?

- Nie masz dokąd pójść - odparł sucho. - Chyba że wolisz wrócić do ojca.

- Skąd wiesz, że przeorysza przyjmie nadgryziony owoc?

- Zapłacę jej, aby cię wzięła. - Może zabrzmiało to okrutnie, lecz tym razem nie minął się z prawdą. Ojciec dziewczyny już poniósł niemałe wydatki, żeby umieścić ją w klasztorze. Jeśli do tego dodać wstawiennictwo byłego rycerza, który cały majątek oddał Kościołowi... Tak, tak... Peter de Montselm cieszył się poważaniem w kręgach duchowieństwa.

Elizabeth miała jasną cerę, ale po tych słowach zrobiła się blada jak kreda. Peter się przestraszył, że Elizabeth zemdleje. Co innego mógłbym zrobić? - pomyślał bezradnie. I tak przegram, gdy dowie się prawdy. Po co więc odwlekać to, co nieuniknione?

- Jesteś gotowa? Drażni mnie to spóźnienie. Od początku wędrówki mam jakieś przygody. Nie mogę się doczekać, kiedy już na stałe wrócę do Londynu. - Chyba trochę przesadził, lecz był przekonany, że Elizabeth przełknie i tę gorzką pigułkę.

Tym razem się omylił.

- Lepiej, jak pójdziesz sam - powiedziała beznamiętnym głosem.

Stało się.

- Wydaje mi się, że wyjaśniłem ci to już poprzednim razem - burknął, żeby pokryć nagłe zmieszanie. - Nie zostawię cię w lesie.

- A dlaczego? Bez trudu znajdę drogę do klasztoru. Beze mnie będziesz podróżował szybciej. Nikt nie napadnie samotnego mnicha, nie musisz więc obawiać się o moje bezpieczeństwo. Wiem, że cię nudzę. Lepiej się rozstańmy.

- Nie - odparł. Prawdę mówiąc, nie wiedział, dlaczego tak nalega. Samotna wędrownia do klasztoru zajęłaby mu pewnie znacznie mniej czasu. Stamtąd mógłby wysłać kogoś po Elizabeth, a sam ruszyć na poszukiwanie księcia.

Gdyby zaś Elizabeth chciała komuś opowiedzieć o minionej nocy, cała wina i tak spadłaby na Williama. Księżę Anglii nie musiał bać się odpowiedzialności za uwiedzenie niedoszłej zakonnicy. To byłby zaledwie jeden z jego pomniejszych grzechów. Pod warunkiem, że nadal pozostawał wśród żywych.

Peter przeczuwał, że William nie zginął. Był zbyt mocno przesiąknięty złem, aby tak łatwo rzucić się w objęcia śmierci. Nie, świat ciągle dźwiżył brzemię jego przewinień.

- Co będzie, jeśli zajdziesz w ciążę? - nieoczekiwanie zapytał Peter. - Jak to wytłumaczysz?

- Dzieroródtwem? - odparła. Chciała go zaskoczyć. Niewiele brakowało, żeby się uśmiechnął. Nie tak łatwo było go podejść. - Albo powiem, że zostałam brutalnie zgwałcona. Nie musisz się obawiać. Dla mnie to pora, w której raczej nie stanę się brzemienna.

Tym razem otworzył szeroko oczy.

- Są różne pory?

- Wasza Wysokość wie, że jestem dobrą akuszerką, znam się na kobiecych sprawach. W ciążę najłatwiej zajść w połowie czasu między miesiączkami. U mnie akurat się skończyła. Nie czujesz się speszony, panie? Mężczyznom zawsze coś dolega, kiedy się o tym mówi.

- Bez obaw, wytrzymam - odparł Peter beztroskim tonem. - W

takim razie spokojnie możemy iść razem. Nikt nawet się nie dowie, że dostarczyłaś mi chwilowej rozrywki.

Tego było za wiele. Wiedział, że przeholował. Miał nadzieję, że skończy się na cichym płaczu, lecz nie docenił Elizabeth. W jej zielonych oczach pojawił się błysk gniewu.

- Chwilowej rozrywki?! Ach, ty degeneracie! -krzyknęła. - Gdzie mój nóż?!

Peter schował nóż dużo wcześniej, bo z premedytacją chciał ją rozzłościć. Nie przypuszczał jednak, że aż do tego stopnia.

- Pohamuj trochę gniew, milady - powiedział ostrzegawczym tonem. - Spodziewałaś się czegoś więcej?

Skoczyła na niego jak szarżujący odyniec. Peter ledwie zdążył chwycić Elizabeth i przytrzymać. Próbowwała go kopnąć, lecz nie miała sandałów, nie mogła więc wyrządzić mu krzywdy. Peter gwałtownym ruchem odepchnął jej kolano, złapał ją za nadgarstki, pociągnął za sobą i przycisnął do drzewa. Elizabeth płakała, ale były to raczej łzy wściekłości niż bólu. Z całej siły ugryzła go w rękę.

Mimo to Peter nie miał odwagi jej puścić.

- Uspokój się! Jeśli natychmiast nie przestaniesz, zwiążę cię tu jak kapłona i zostawię!

- Chciałbyś to zrobić, prawda? Chciałbyś zobaczyć mnie bezbronną i całkowicie zdaną na twoją łaskę. Proszę bardzo! Puszczaj!

Znów usiłowała kopnąć go kolanem, szybko więc przywarł do niej całym ciałem, żeby ją unieruchomić. Niestety, w tym momencie poczuła, że jest podniecony.

Przestała się szarpać, uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Peter westchnął ciężko.

- Słodka złościco - szepnął. - Mój złośliwy aniele. Przy tobie ciągle czuję się nienasycony. Nie mamy wyboru. Musimy wędrować dalej. Im dłużej będziemy zwlekać, tym będzie gorzej.

Puścił ją. Nie uciekła. Przeciwnie, objęła go za szyję i

przygarnęła do siebie. Tego już nie wytrzymał. Zrzucił habit i się z nią połączył.

Przylgnęła doń ze zduszonym jękiem. Trwali w uniesieniu, nie zważając na nic, co działo się wokół. Kiedy skończyli, przez chwilę stali jeszcze złączeni, ciężko dysząc. Peter postanowił, że powie jej prawdę. Dość z ciągłymi kłamstwami.

- Słodka Elizabeth - szepnął jej wprost do ucha. - Kocham...

- Hm, hm! - rozległo się między drzewami. Dla dwojga kochanków zabrzmiało to jak huk

gromu. Peter odskoczył i stanął nagi przed znajomą postacią. Tak, znał ją aż za dobrze.

- Brat Jerome - powiedział zrezygnowanym tonem. - Jak nas tu znalazłeś?

Tymczasem Elizabeth skromnie okryła się własnym habitem, naciągnęła kaptur i popatrzyła spod oka na twarze przyjezdnych. Jak długo tu stali? Jak to możliwe, że nikt ich wcześniej nie zauważył?

Brat Jerome zjawił się na czele co najmniej tuzina zbrojnych. Konie parskają z cicha w ciepłym porannym powietrzu.

- Kilka patroli już od wczoraj krąży po lesie. Księżę rozesał swoich ludzi, lecz biskup Martin doszedł do wniosku, że jego pomoc też się na coś przyda. Jak widać, znaleźliśmy was jednak pierwsi.

Zakonnik zmarszczył brwi i spojrzał na Elizabeth.

- To nie jest brat Adrian - powiedział. Elizabeth jeszcze niżej opuściła głowę, żeby ukryć twarz przed obcymi. Peter miał ochotę objąć ją i przytulić, aby poczuła się bezpieczna. Nie zrobił tego, lecz odwrócił się w stronę Jerome'a. Jak to się stało, że zakonnik nie rozpoznał w niej kobiety? Na Boga, cóż pomyślał sobie, widząc ich w objęciach?

Peter postanowił szybko zmienić temat.

- Biskup Martin jest w klasztorze? Jerome skinął głową.

- Razem z twoim podopiecznym. To był prawdziwy cud, drogi

bracie. Księżę umknął mordercom i sam jeden przez las dotarł do klasztoru. Bóg musiał błogosławić tę pielgrzymkę, skoro pozwolił mu szczęśliwie uniknąć najgorszego. Oczywiście bandyci nie podejrzewali, że księżę podróżuje przebrany za mnicha. To jednak nie powstrzymało ich od straszliwej zbrodni. Chwała najwyższej opatrności, że też zdołałeś uciec.

- Chwała - słabym głosem powtórzył Peter. Nie musiał patrzeć na Elizabeth, aby wiedzieć, że wszystko słyszała. Mógł jej powiedzieć to dużo wcześniej, zanim ją uwiódł. Żle, że poznała prawdę w taki sposób.

Tymczasem brat Jerome zupełnie nieświadomie wbił ostatni gwóźdź do trumny Petera.

- Widzę, że już włożyłeś habit - zauważył z zadowoleniem. - Coś mi się zdaje, że z dużą ulgą wyzbyłeś się roli księcia. Tak, tak, bracie Peterze. Ostrzegałem biskupa, że to nie najlepszy pomysł. Owszem, nikt inny oprócz ciebie nie zdołałby zastąpić królewskiego syna, ale nie brałeś pod uwagę związanego z tym ryzyka. Można jedynie podziękować Bogu, że powróciłeś do nas cały i zdrowy.

- Tak. - Smętnie skinął głową Peter.

- Kim jest ten młody człowiek? - zapytał brat Jerome ciepłym, ojcowskim tonem.

Nie było ucieczki od prawdy.

- To lady Elizabeth z Bredon. Zamierza przyłączyć się do błogosławionych sióstr z klasztoru Świętej Anny.

Jerome zerknął na niego z ukosa. Peter odpowiedział mu śmiałym spojrzeniem.

- Rozumiem - mruknął Jerome, a smutek w jego głosie był tak wyraźny jak pchnięcie nożem. - Niestety, mamy tylko jednego luzaka. Myśleliśmy, że będziesz sam, bracie Peterze. Lady Elizabeth pojedzie z kimś z nas.

Peter się nie sprzeciwił. Brat Jerome wyciągnął rękę.

- Milady?

Elizabeth bez słowa minęła Petera i skierowała się w stronę koni. Uważała, żeby przypadkiem go nie dotknąć. Już nie miała nic w sobie z długonogiej leśnej boginki, która asystowała przy rodzeniu dzieci i kąpała się nago w strumieniach. Szła powoli, zgarbiona, smutna i pokonana. Gdyby samobójstwo nie było śmiertelnym grzechem, Peter zadałby sobie śmierć z własnej ręki. Tu i teraz.

Powlókł się za orszakiem z nisko zwieszoną głową.

Adrian obudził się nagle i powiódł wzrokiem po ścianach ciemnej izby. Ciekawe, która godzina? Chyba tuż przed świtem, pomyślał z niepokojem. Na pewno wieśniacy już nie spali. W biały dzień ucieczka będzie na pewno trudniejsza. Usłyszał stuk podków i brzęczenie uprzęży. To mogło oznaczać jedno - we wsi są ludzie Williama. Trzeba stąd szybko zniknąć choćby przez wzgląd na naszych uczynnych gospodarzy, postanowił Adrian. Nikt nie powinien wiedzieć, kiedy odeszliśmy i w jakim kierunku.

Jedynym miejscem, w którym Joanna mogła znaleźć bezpieczne schronienie, był klasztor Świętej Anny. Musieli tam się przedrzeć, uważając po drodze, by przypadkiem nie spotkać księżęcych siepaczy.

Adrian spojrzał na śpiącą obok niego niewiastę. Chciał ją obudzić, ale się powstrzymał. Wyglądała tak słodko, spokojnie i miło, że nie miał sumienia jej przeszkadzać. Leżała na plecach, cicha i uśpiona. Znów przypomniał mu się kamienny nagrobek dziadka. Rycerz i jego żona, wykuci w marmurze, złączeni na zawsze. Chyba dopiero teraz zaczął lepiej pojmować rodzinną legendę o ich wielkiej miłości. Zapewne wiedzieli, że nic ich nie rozdzieli.

Przywołał się do porządku. Nie pora na sentymenty... ani na nic innego - jedynie na ucieczkę.

Delikatnie potrząsnął Joannę za ramię. Natychmiast otworzyła oczy. Przez jej twarz przemknął cień strachu, ale po chwili uśmiechnęła się z lekkim znużeniem.



- Musimy uciekać - szepnął Adrian. - We wsi są ludzie Williama. Założę się, że nas szukają. Nie możemy tu zostać ani minuty dłużej.

- Skąd by wiedzieli, gdzie nas szukać? - zapytała, ale posłusznie wstała z łóżka i włożyła skórzane trzewiki. - Nawet nie przyjdzie im do głowy, żeby wypytywać o każdego wędrującego z żoną pielgrzyma.

- Wystarczy, że ktoś wspomni o twojej urodzie. Od razu będą wiedzieć, że są na dobrym tropie.

Chciał jej sprawić przyjemność skrywanym komplementem, ale Joanna tylko pokiwała głową.

- W takim razie uciekaj sam - zaproponowała. - Nie mam pojęcia, skąd w tobie tyle siły. Zaledwie wczoraj byłeś na krawędzi śmierci, a dzisiaj wyglądasz tak krzepko jak dawniej. Nie jestem już ci potrzebna do opieki. Chętnie zostanę tutaj, żeby zmylić pogoń.

Adrian obruszył się.

- Niestety, ukochana, w oczach tych bandytów nie ma między nami zbyt wielkiej różnicy. Ty też uchodzisz za świadka ich potwornej zbrodni.

Ujrzał przestach w jej oczach.

- Zabiją cię, ale najpierw... - dodał szybko i urwał. - Taka uroda jak twoja to czasem przekleństwo.

Spiesznie wyrzwał przez okno. Z dala słyszał gwar głosów. Ludzie księcia Williama chodzili po domach, wypytując o obcych. Jeszcze chwila i ktoś wspomni im o pielgrzymach.

- Nie wiesz tego na pewno.

- Chcesz zaryzykować? Nie pozwolę ci na to. Musisz mnie teraz słuchać. Dalej, wyskakuj przez okno!

Joanna musiała wysoko podciągnąć spódnicę, żeby przełożyć nogi przez parapet.

- Nie gap się, bracie Adrianie - powiedziała ostro. - Oj, coś mi się zdaje, że im szybciej wrócisz do klasztoru, tym lepiej. Za

bardzo zasmakowałaś w świeckim życiu.

Adrian zaklął pod nosem. Od czasu, gdy pozbył się habitu, zdążył zapomnieć, że dla Joanny wciąż pozostaje zakonnikiem. Można oszaleć, pomyślał. Rycerz udający mnicha, który z kolei udaje żonatego pielgrzyma. Jaki będzie następny etap tej maskarady?

Cicho wysunął się przez okno i po chwili zniknęli w ciemnej gęstwinie lasu. Nikt ich nie zauważył.

RS

## ***ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY***

---

**W**oda była rozkosznie ciepła, chociaż mydło dość szorstkie. Elizabeth z ulgą rozparła się w balii. Starła się nie myśleć o ważnych sprawach. Krótkie włosy umyła z największą łatwością, ale wciąż czuła się z nimi dziwnie. Nawet mokre, nie leżały jej ciężko na ramionach, tylko lepiły się do twarzy.

Bolały ją wszystkie mięśnie. Jazda do klasztoru trwała wprawdzie dość krótko, lecz była uciążliwa. W dodatku musiała siedzieć w siodle bokiem, obejmując w pasie jednego ze zbrojnych.

Zakonnice przyjęły ją z wielką życzliwością, wyłuskały z rąk mężczyzn i bez żadnych pytań przygotowały kąpiel, kubek grzanego wina i smaczną kolację.

Elizabeth rano była bardzo głodna, ale teraz na myśl o jedzeniu dostawała mdłości. A przecież nie kłamała temu człowiekowi, który ją zdołał uwieść. Nie mogła być w ciąży. Poza tym objawy nie następowały zaraz, lecz po kilku tygodniach.

Nie, brzuch bolał ją raczej ze zdenerwowania. Nie mogła sobie poradzić z tą całą sytuacją. Po pierwsze okłamano ją w najohydniejszy sposób. Po drugie kochała się z mnichem. Robiła takie rzeczy, których porządna niewiasta nie robi nawet z mężem, a cóż dopiero z zakonikiem.

A ten, który ją okłamał, całował i tak dalej, nie miał w sobie nic ze świątobliwego brata. W pewnej chwili powiedział, że nie jest potworem.

Tu się pomylił.

Zanurzyła się z głową w parującej wodzie. Może powinna tak zostać, dopóki nie utonie? Wtedy uniknie pytań, natrętnych wątpliwości i ponownego spotkania z kłamliwym bratem Peterem.

Ale to byłby grzech śmiertelny. Czyn o wiele gorszy niż chędożenie z mnichem. Tchórzliwa ucieczka od życia. Ona zaś - chociaż ślepa, naiwna i głupia - na pewno nie była tchórzem.

Krztusząc się i parszając, wychyliła się na powierzchnię wody. Głęboko zaczerpnęła tchu i zobaczyła siedzącą koło balii zakonnice. Matka Alison przyglądała jej się ze spokojem.

Na szczęście to nie była groźna przeorysza, o surowej twarzy i przenikliwym wzroku. Tamtej wystarczyło jedno krótkie spojrzenie, żeby wiedzieć, co zaszło. Matka Alison zajmowała się nowicjuszkami. Pewnie przyszła powiedzieć, że dla mnie nie ma miejsca w klasztorze, uznała Elizabeth.

- Byłam bardzo ciekawa, ile wytrzymasz pod wodą - odezwała się matka Alison kojącym głosem. Niska, szczupła i drobna przypominała elfa i miała bardzo łagodne spojrzenie. - Cieszę się, że w końcu wystawiłaś głowę. Już się bałam, że będę musiała po ciebie nurkować, a prawdę mówiąc, zupełnie mi się to nie uśmiecha.

- Nie zamierzałam się utopić, matko - odpowiedziała Elizabeth.

- Nawet o tym nie pomyślałam, ale mogłaś zasnąć. Sporo ostatnio przeszłaś, możesz więc być zmęczona.

- Tak, to prawda. - Elizabeth starała się zapomnieć o zdarzeniach ubiegłej nocy.

- Na wieść o napadzie wszystkie z nas żarliwie modliły się za ciebie. Potem nam powiedziano, że wśród zabitych nie było kobiet. Brat Peter też zniknął. To nas uspokoiło. Wiemy, że brat Peter nie pozwoli skrzywdzić niewinnej istoty.

- Brat Peter to... - Elizabeth w porę ugryzła się w język. Powstrzymała gniew i rozgoryczenie. W gruncie rzeczy wina leżała po jej stronie. Okazała się głupia, okropnie głupia. Mniej by ją bolało, gdyby wpadła w sidła okrutnego księcia. Ale tak się zapomnieć z oszukańczym mnichem?!

- Brat Peter to dobry człowiek - dokończyła za nią matka Alison. - Zgorzkniały, ale dobry, czego, niestety, nie można

powiedzieć o naszym książęcym gościu. Nie mam do niego zaufania. Nic go nie wzrusza. Ani śmierć towarzyszy, ani nawet pokuta.

Już lepiej mówić o prawdziwym księciu niż o tamtym kłamcy, pomyślała Elizabeth.

- Jak uciekł z pola bitwy? Jak się tutaj dostał?

- Jestem pewna, że chętnie sam ci o tym opowie. Co prawda, za każdym razem mówi co innego, ale nikt przecież nie będzie podważał słów księcia. Zwłaszcza teraz, gdy biskup dał mu rozgrzeszenie i uczynił człowiekiem wolnym od grzechów.

W głosie matki Alison zabrzmiała cierpka nuta.

- Wierzysz w moc rozgrzeszenia, matko?

- Wierzę. Wobec tych, którzy szczerze żałują za grzechy. Może lepiej wyjdź z wody, zanim pomarszczysz się jak suszona śliwka? Książę jest przekonany, że zjawisz się na wieczerzy. Chciałby cię osobiście przeprosić za tę maskaradę i wszelkie przykrości, których z tego powodu mogłaś zaznać po drodze.

- Nie pójdę tam - odparła Elizabeth niczym mała dziewczynka na granicy hysterii.

- Nie możesz reszty życia przesiedzieć w balii.

- Nie chcę wieczerzać z księciem. Nie chcę go więcej widzieć. Do końca życia nie chcę widzieć żadnego mężczyzny.

- W takim razie odejdziesz w grzechu, bo tylko księża mają prawo wysłuchania twojej spowiedzi - obojętnym tonem powiedziała matka Alison. Wstała i wzięła do ręki grube przesćieradło kąpielowe. - Chodź, moje dziecko. Nie musisz bać się brata Petera. Czuwa teraz w kaplicy. Mam nadzieję, że modlitwa przywróci mu spokój ducha.

- Nie obchodzi mnie, co się z nim dzieje. Prawdę mówiąc, wydawał mi się spokojny i rzeczowy.

- Z wyjątkiem brzemienia winy, które już tyle czasu dźwiga. Widziałaś blizny na jego plecach? Myślę, że tak. To ślady bicza i włosiennicy. Prócz tego pości i nie śpi całymi nocami, spędzając

czas na modlitwach. Czasami aż się o niego boję, żeby nie zniszczył sobie zdrowia takim postępowaniem.

- To niemożliwe - zdecydowanie odpowiedziała Elizabeth. - Wątpię, aby w najbliższym czasie dołączył do grona świętych.

- Chyba masz rację. - Alison rozpostarła prześcieradło. - Chodź, siostrzo Elizabeth. Jeśli rzeczywiście chcesz do nas dołączyć, to przede wszystkim musisz nauczyć się posłuszeństwa oraz poczucia obowiązku.

Posłuszeństwo nigdy nie było jej mocną stroną, ale matka Alison potrafiła postawić na swoim. Elizabeth niechętnie wyszła z balii. Zastanawiała się, czy widać po niej ostatnie przeżycia.

Zakonnica jednak taktownie spojrzała w bok. Elizabeth ciasno owinęła się suchym prześcieradłem. Po gorącej kąpieli wydawało jej się, że w izbie jest przeraźliwie zimno.

- Dziwię się, że pozwolono ci na rozmowę ze mną, matko. Słyszałam, że obowiązuje was reguła milczenia.

Alison roześmiała się zupełnie szczerze.

- Wierutne kłamstwo! Owszem, bywają dni, które spędzamy w ciszy, na modlitwach i ciągłym skupieniu. Tak dzieje się we wszystkich klasztorach. Poza tym uwielbiamy mówić. W końcu jesteśmy kobietami.

Wiosenna noc była bardzo chłodna. Elizabeth przysunęła się bliżej paleniska.

- Przyniosłam ci coś do ubrania - powiedziała Alison. - Zapewne trochę to przykrótkie. Jeśli naprawdę zechcesz z nami zostać, uszyjesz sobie odpowiedni habit.

- Jeżeli zechcę? Dlaczego miałabym zmienić zdanie? Wędrowałam tutaj przez kilka dni, ryzykowałam życie albo nawet gorzej... I to wszystko na nic?

- Różnie to bywa, moje dziecko. Zakon ma swoje wymagania. Ty zaś nie jesteś z tych, które przywykły do posłuszeństwa i pokory.

- Nauczę się. Wcale nie tęsknię do łatwego życia. Szczerze



wątpię, czy coś takiego w ogóle istnieje.

- To prawda...

- Niewiasta musi być ślepo posłuszna ojcu, mężowi albo królowi. Jeżeli tak, to szczerze wolę służyć Panu Bogu i zostać córką Chrystusa.

Matka Alison przyjrzała jej się ze współczuciem.

- Chcesz mi powiedzieć coś więcej, lady Elizabeth? - spytała.

- Sama przed chwilą wspomniałaś, matko, że nie możesz wysłuchać mojej spowiedzi i dać mi rozgrzeszenia.

- Nie, ale czasami dobrze jest pogadać z kimś, kto cię wysłucha i powstrzyma się od pochopnych sądów. Dostyc późno odkryłam w sobie powołanie, dziecko. Zdążyłam poznać różne ziemskie sprawy.

W Elizabeth na ulotną chwilę wstąpiła nadzieja. Och, tak bardzo chciała zwierzyć się matce Alison ze wszystkiego, co zaszło. Pragnęła, żeby ktoś powiedział jej, co powinna zrobić. Czy wstąpić do klasztoru i odpokutować za wszelkie dawne grzechy, czy też raczej wrócić do świeckiego życia i odnaleźć własne miejsce w świecie?

Tylko gdzie? - pomyślała nagle. Jeżeli nie klasztor, to sromotny powrót do ojcowskiego zamku. Chyba bym umarła. Nie miała wyboru. Pokręciła głową.

- Nie, matko. Nie ma niczego, o czym mogłabym ci powiedzieć.

Drobna zakonnica nie skomentowała tego żadnym słowem. Nawet jeżeli była rozczarowana, nie pokazała tego po sobie.

- W takim razie ubieraj się i chodźmy na wieczerzę. Książę jest czarującym, dowcipnym mężczyzną, ale wyczułam, że lepiej mu się nie sprzeciwiać. Pomóc ci przy ubieraniu? - Wskazała na stosik szarych ubrań złożonych na ławie. - Na razie musi ci to wystarczyć. Jeszcze nie jesteś zakonnica i możesz chodzić z odkrytą głową.

Elizabeth odruchowo przesunęła dłonią po krótkich włosach.

- Miałam nadzieję, że je schowam.

- Trochę za wcześnie, moja droga. Niepotrzebnie je obciąłaś.  
- W ten sposób chciałam udowodnić, że jestem w pełni gotowa zerwać więzi ze światem i wstąpić do klasztoru.

- Być może. Moim zdaniem, zrobiłaś to z obawy, że zechcesz się wycofać. W każdej chwili możesz powiedzieć „nie”, moje dziecko. Jeżeli zakon ci nie odpowiada, to nie wstydź się do tego przyznać. Nie oddawaj Bogu jedynie połowy serca. W ten sposób popełnisz większy grzech, niż gdybyś pozostała po drugiej stronie murów.

- W moim sercu jest miejsce wyłącznie dla Boga, matko Alison.

- To dobrze. - Drobna zakonnica nie wyglądała na w pełni przekonaną. Poklepała Elizabeth po ręku. - Ubierz się szybko, zanim książę zacznie się niecierpliwić. Już miał odjeżdżać, kiedy przybył tu brat Jerome z tobą i z Peterem. Zapewne spieszno mu w drogę.

Elizabeth usiłowała wyobrazić sobie miłą twarz brata Matthew, odzianego w habit, lecz bez przerwy widziała tego kłamcę Petera. Stał tuż nad nią, przesłaniając słońce i próbował ją pocałować.

- Brata... Petera tam nie będzie? - Z trudem wymówiła nienawistne imię.

- Nie. Obiecuję. A teraz się pospiesz. Książę jest czarujący, ale na pewno wszystkie odetchniemy z ulgą, kiedy odjedzie.

Obudziła w nim pożądanie. Joanna miała wystarczające życiowe doświadczenie, żeby znać myśli idącego przy niej młodego zakonnika. Chciał się z nią kochać. W zasadzie nie powinno jej to dziwić. Wszyscy mężczyźni, których znała, zachowywali się w ten sam sposób. Z jej strony nie było w tym nic z kokieterii. Prawdę mówiąc, najczęściej przeklinała swoją urodę. Jej starsza siostra wcale nie była piękna; bardzo szybko wyszła za bogatego rządcę i doczekała się trójki dzieci.

Wobec ładniejszej córki Elric miał poważniejsze plany. Mierzył wysoko i w rezultacie wszystko stracił.

Joanna nawet go za to nie winiła. Mąż, którego ojciec jej

wybrał, rzeczywiście był najbogatszy ze wszystkich kandydatów. A w dodatku najstarszy. Okazał się człowiekiem dobrego charakteru i miłego obyczajem. Nie narzucał się młodej żonie. Kilka lat, które z nim spędziła, było naprawdę udanych. Kiedy jednak została wdową, ojciec od paru lat już nie żył, a jego majątek przeszedł w ręce najbliższego z męskich potomków, kuzyna w drugiej linii, który nie przejawiał miłości do kobiet. Piękna kuzynka nie miała u niego żadnych względów. Musiała zatem szybko znów wyjść za mąż. Tym razem jednak trafiła dużo gorzej.

Przez minione lata Joanna zdążyła się nauczyć, jak we właściwy sposób kierować mężczyznami. Zrezygowała też maskowała swoje obrzydzenie. Teraz jednak była w drodze do klasztoru, gdzie zamierzała poświęcić czas na odpoczynek i refleksje. Nie musiała zatem co chwila zadzierać spódnicę. Zwłaszcza nie dla mnicha, który tylko dla niej byłby skłonny zapomnieć o ślubach czystości.

Nie złościła się na Adriana. Przypuszczała, że kierowało nim źle pojęte uczucie wdzięczności za ocalenie życia. O prawdziwej miłości nie mogło być mowy.

Jednak czasem myślała z ciekawością, jak też wyglądałaby taka „prawdziwa” miłość. Do tej pory skłaniała się do przekonania, że przyjemność czerpali wyłącznie mężczyźni. Kobietom zaś pozostawało skrycie cierpieć w poniżeniu. Od dawna była wdzięczna nieznanemu opatrzności, że uchroniła ją od ciąży i bólów porodowych. Ale teraz, wędrując u boku Adriana, w wyobraźni widziała pucułowate dziecko o roześmianej buzi.

Odruchowo zwolniła kroku i została w tyle. W ten sposób mogła bez przeszkód podziwiać grację ruchów młodego zakonnika. Aż dziw brał, jak szybko powrócił do zdrowia po tak ciężkiej ranie. Okłady z krwawnika zrobiły swoje, ale mimo wszystko miał silny organizm. Okazał się o wiele bardziej odporny, niż ktoś mógłby przypuszczać, patrząc na jego zgrzebny habit. Miał gładką skórę i twarde mięśnie. Wyglądał bardziej na rycerza niż na mnicha. Może brał udział w krucjacie, a dopiero potem wstąpił do klasztoru?

Adrian zachowywał się jak świecki rycerz, ale nadal ciążyły na nim śluby i przysięga, którą złożył księciu. Joanna w dalszym ciągu nie była przekonana, że coś im grozi ze strony Williama.

Przecież patrzyła mu prosto w twarz i ujrzała człowieka, który wiele przeszedł, ale w sercu zachował miłość do bliźniego. Jakiś cień ciążył nad jego duszą. Mimo to księżę William nie należał do ludzi, którzy z zimną krwią mordują bogobojnych pielgrzymów.

Adrian jednak nalegał na szybką ucieczkę. Szli więc forsownym marszem, nie tracąc czasu na zbędne rozmowy.

Joanna nie umiała odpędzić natrętnych myśli.

Brat Adrian rzeczywiście mógł się jej podobać. Choćby właśnie dlatego, że nie był niebezpieczny, oczami wyobraźni widziała go w roli kochanka. Ciekawe, jak smakują jego pocałunki? Tego nie miała się dowiedzieć.

Nie szkodzi. Dopóki jesteśmy w drodze, dopóty mogę do woli oddawać się marzeniom, pomyślała. A kiedy już bezpiecznie staniemy u bram klasztoru Świętej Anny, brat Adrian mnie pożegna i pójdzie w swoją stronę. Może choć wtedy pocałuje mnie na do widzenia?

W dali rozległ się turkot kół nadjeżdżającego wozu. Adrian odwrócił się błyskawicznie, chwycił Joannę za rękę i pociągnął w stronę lasu. Na wyboistym trakcie pojawiła się chłopska furmanka zaprzęgnięta w siwą szkapę.

- Och, tu jesteście! - zawołał ich wczorajszy znajomy, Odo. - A już wszyscy zachodzili w głowę, gdzie się podzialiście. Miałem was podwieźć do klasztoru Świętej Anny. Jadę z dostawą ziarna, możecie się więc zabrać. To żaden kłopot. - Ściągnął lejce i popatrzył na nich z wysokości kozła. - Siadajcie z tyłu. Tam na słomie jest dosyć miejsca i parę starych worków po mące. Jeśli zaś wolelibyście, żeby was nikt nie widział, to lepiej się połóżcie i dobrze przykryjcie. Wtedy będziecie bezpieczni.

- A przed kim mielibyśmy się chować, zacny Odo? - zapytał Adrian. Powoli zbliżył się do wozu, wciąż trzymając Joannę za

rękę. Prawdopodobnie w drugiej ścisnął trzonek noża - tak na wszelki wypadek.

- Bo ja wiem? - mruknął Odo. - To było tak. Zobaczyłem, że wymknęliście się przez okno od podwórka. We wsi zjawili się zbrojni, którzy rozpytywali o rannego mnicha i piękną niewiastę. Siłą rzeczy zacząłem się zastanawiać. Taki już czasem jestem ciekawski. Mnicha u nas nie było, rannego lub zdrowego. Pani zaś, chociaż ładna, to gdzie jej do mojej Roseanny. - Poprawił się na koźle. - No to jak? Siadacie? Nie będę tu sterczał do nocy.

- Wsiadamy, Odo. Bardzo dziękujemy. Adrian podsadził Joannę. Ciasno objął ją

w talii i uniósł jak piórko. Nie dał po sobie poznać, czy go zabolalo. Sam wskoczył na wóz i zaczął układać worki. Odo cmoknął na konia.

- Wyjedziemy z lasu za jakąś godzinę. Lepiej do tej pory zostańcie w ukryciu. Tak tylko myślę.

Już noc spędzona na wąskim łóżku w domu młynarza okazała się dość kłopotliwa. Tymczasem na wozie było jeszcze ciasniej. Wśród worków ledwie starczało miejsca dla jednej osoby.

- Ja się położę na spód - zaproponował Adrian. - Jestem cięższy.

- Jesteś ranny - przypomniała Joanna. - Wprawdzie szybko zdrowiejesz, ale w dalszym ciągu nie możesz się przemieszczać. A poza tym już nieraz leżałam pod mężczyzną.

Powiedziała to z pełną premedytacją, w nadziei, że zniechęci do siebie bogobojnego mnicha. Adrian tylko spojrzął na nią z uśmiechem.

- Taki już los kobiety - dodała.

- Losy się zmieniają.

- Chciałbyś uchronić mnie od dalszych grzechów, bracie Adrianie?

Odniosła wrażenie, że się zaczerwienił, ale zapewne tylko jej się zdawało.

- Niepotrzebna ci moja pomoc, milady. Powtarzam, że się położę...

Było za późno. Joanna wyciągnęła się na wąskiej przestrzeni.

- Podeprzyj się na łokciach - poradziła spokojnym tonem. - Jakoś damy radę.

W praktyce okazało się to dużo trudniejsze, niż sądziła. Adrian delikatnie ułożył się na niej i naciągnął na siebie worki. Pachniały mąką i miodem. Leżeli teraz w przyjemnym, szarawym półmroku, na pozór całkowicie odcięci od świata. Joanna wyraźnie odczuwała ciężar ciała Adriana, chociaż on robił wszystko, żeby jej trochę ulżyć. Z twarzą wtuloną w jego ramię było jej trochę niewygodnie.

Przez jakiś czas jechali w zupełnym milczeniu. Adrian odezwał się pierwszy:

- Nie chciałbym tego mówić, milady - szepnął jej wprost do ucha - ale powinnaś nieco przesunąć nogi.

Joanna do tej pory kurczowo ścisnęła kolana.

- W którą stronę?

W odpowiedzi on sam lekko pchnął kolanem i rozwarł jej uda. Joanna próbowała mu w tym przeszkodzić, lecz nie miała jak się ruszyć.

- To nie najlepszy pomysł - wyszeptała.

- A cóż mam zrobić? Zresztą jesteśmy przecież ubrani, a woźnica siedzi tuż obok. To nas skutecznie powstrzyma od wszelkiego grzechu. Będziemy leżeć spokojnie, zajęci wzniosłymi myślami.

Kłamał. Wyraźnie czuła jego męskość. Wóz właśnie podskoczył na jakimś wyboju i Joannę przebiegł dreszcz. Zamknęła oczy i usiłowała skupić się na modlitwie.

Wóz kołysał się na wszystkie boki. Joanna próbowała odepchnąć Adriana.

- Zejdź ze mnie - mruknęła. - Tak dłużej być nie może.

- Cicho, miła - usłyszała szept Adriana. - Nic ci się nie stanie.

Z dala rozległy się jakieś głosy. Przejeżdżali przez następną



wieś. Gdyby teraz chcieli wydostać się spod worków, cały podstęp poszedłby na marne. Joannie nie pozostawało zatem nic innego, jak tylko leżeć cicho.

Było z nią coraz gorzej. Żar trawił jej piersi i przesuwał się gdzieś w dół brzucha. Próbowwała choć trochę się przekręcić na bok, ale Adrian przyłgnął do niej ciasno i nie pozwalał się poruszyć.

Joanna drżała jak osika. Nie mogła mówić, serce waliło jej jak młotem i z trudem chwytiała oddech.

Adrian zakrył jej usta dłonią.

- Tylko nie krzycz - wyszeptał. - W razie czego możesz mnie ugryźć. Dzięki temu nikt cię nie usłyszy.

- Co takiego?

- Przecież wiesz, że i tak nic na to nie poradzisz. Nie broń się, ukochana. Poddaj się rozkoszy.

Nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów, aby mu powiedzieć, że oszalał, że nie wie, co mówi. Joanna leżała sztywno, a mimo to miała wrażenie, że po jej skórze biega tysiące iskierek. Chyba zaczęła krzyczeć, ale dłoń Adriana na szczęście zdusiła wszelkie dźwięki. Trwało to niemal w nieskończoność. Nagle Joanna poczuła dziwną słabość i przez chwilę zdawało jej się, że zemdleje. Adrian cofnął rękę, odwrócił Joannę twarzą w swoją stronę i pocałował ją prosto w usta. Ona zaś - pierwszy raz w życiu - z własnej woli oddała pocałunek.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

---

Lady Elizabeth. - Prawdziwy książę William podniósł się zza stołu i wyszedł na jej spotkanie. - To dla mnie wielki zaszczyt. Nie potrafię wyrazić, jakim obrzydzeniem napawała mnie myśl, że muszę udawać przed tobą kogoś całkiem innego. Niestety, kłamałem nie z własnego wyboru. Wymagano ode mnie, abym słuchał mnichów, brat Peter zaś był bardzo stanowczy. - Ujął jej dłoń i zbliżył do ust. - Błagam o wybaczenie.

Przez ostatnie dni Elizabeth była pod urokiem wysokiego mnicha o bardzo ciemnych oczach. Brat Matthew uleciał z jej pamięci.

Książę umiał być miły, chociaż jego szczerłość niespodziewanie stanęła pod znakiem zapytania. Naprawdę był zdolny do tych wszystkich czynów, o które go oskarżano? Elizabeth nie wiedziała, komu może zaufać.

Z wdziękiem cofnęła rękę i powiedziała uprzejmym tonem:

- To przecież nie twoja wina, Wasza Wysokość. Zresztą nie mamy czego żałować. Z łaski niebios jestem tu cała i zdrowa. Ty także, panie.

- Ale inni zginęli - zauważył zboliałym tonem książę. - Padli z ręki morderców. Sam widziałem młodego Adriana, jak runął przebity mieczem prawie na moich oczach. Pani Joanna... - Potrząsnął głową. - To był tragiczny dzień, moja droga. Dla nas wszystkich. Nawet brat Peter porzucił swoje obowiązki i postanowił cię ratować.

Elizabeth już otworzyła usta, aby powiedzieć coś w obronie Petera, lecz poprzestała tylko na cichym westchnieniu. Chyba wreszcie choć trochę nauczyła się panować nad swoim językiem.

- Brat Peter... był mi pomocny.

- Wyobrażam sobie. Nie mówmy o nim, milady. Zasiądź przy

mnie i wypij kielich przedniego wina z piwnicy naszych gospodyń. Potem zadecydujemy, co z tobą dalej zrobić.

Elizabeth przyjęła kielich i usiadła za stołem, po prawicy księcia. Czuła się nieswojo. Ciekawe dlaczego? W sali kłębił się tłum, lecz wśród biesiadników zauważyła tylko dwie zakonnice: matkę Alison oraz przeoryszkę o ostrym, karcącym spojrzeniu. Ona była trzecia. W kącie siedziała hałaśliwa grupa rycerzy w bogatych szatach. Książę zerknął w tę samą stronę.

- Ojciec przysłał po mnie eskortę, abym w stanie łaski bezpiecznie powrócił w domowe pielesze - rzekł od niechcena. - Wysłałem ich na poszukiwanie ciebie i brata Petera. Tak jednak się złożyło, że pierwszy was odnalazł dobry brat Jerome z orszaku opata.

Elizabeth upiła małejki łyk wina i uśmiechnęła się nieśmiało. William odpowiedział jej również uśmiechem, lecz w jego jasnoniebieskich oczach nie było ani cienia wesołości.

- Reszta moich ludzi wciąż przeczesuje okolicę, szukając Adriana i twojej towarzyszki. Jednak obawiam się, że już nie żyją, pozostaje więc przywieźć ciała, aby im wyprawić chrześcijański pogrzeb. W końcu zginęli podczas pielgrzymki. Może Bóg będzie łaskaw nawet dla grzesznicy.

- Skąd pewność, że zginęli?

- Co do tego nie ma żadnej wątpliwości. Nam wypada jedynie modlić się za ich dusze. Ale na razie mamy do omówienia dużo ważniejsze sprawy.

- My? - z niedowierzaniem spytała. - Wasza Wysokość - dodała pośpiesznie.

- Ten strój zupełnie do ciebie nie pasuje, milady. Nie jesteś stworzona do szarości.

Elizabeth spojrzała na prosty habit ozdobiony jedynie znakiem krzyża.

- Zakonnica nie myśli, w co się powinna ubrać, książę - odparła.

- W rzeczy samej. A to mi przypomina, że nie jesteś stworzona do życia w klasztorze. Chyba powinnaś nieco lepiej poznać świat, który cię otacza, zanim na dobre go odrzucisz.

- Dziękuję. To, co już widziałam, zupełnie mi wystarcza.

- Parę dni pielgrzymki w asyście pokutnika? Czy późniejsza wędrówka ze świątobliwym mnichem? Nie, milady. Lepiej jedź ze mną do Londynu. Mój ojciec chce ci osobiście podziękować.

- Za co? - zapytała wprost. Jeszcze nie całkiem wyleczyła się ze swoich dawnych przywar.

- Za to, że pomogłaś mi bezpiecznie dotrzeć do Domu Bożego, w którym dostojny kapłan oczyścił moją duszę. Matka przeorysza już dała ci zgodę na wyjazd, choć obwarowaną pewnymi warunkami. Przytaknęła jednak, kiedy powiedziałem, że warto wypróbować twoje powołanie. Za dwa dni wyruszamy w drogę. To chyba wystarczy, żebyś dostała odpowiednie suknie. W takim stroju nie staniesz przed obliczem króla. A na dworze zobaczysz, czy naprawdę warto uciekać przed światem.

Elizabeth nerwowo spojrzała na przeoryszkę, lecz stara zakonnica z kamiennym wyrazem twarzy jedynie zdawkowo pokiwała głową, jakby chciała w ten sposób potwierdzić słowa księcia. Matka Alison wyglądała na mniej przekonaną, chociaż też przytaknęła. Zgadzała się z nieuniknionym.

Mnie też nie wypada... nie wolno odmówić, pomyślała Elizabeth. William rzeczywiście jest królewskim synem, chociaż pozostaje potomkiem z nieprawego łoża. Tymczasem chodziły słuchy, że młoda królowa znów zaszła w ciążę. Wszyscy liczyli na to, że dotrwa do końca w błogosławionym stanie i że dziecko nareszcie urodzi się zdrowe.

Elizabeth mogła w tym pomóc, gdyby znalazła się w Londynie. Król na pewno okazałby jej wdzięczność. Elizabeth wywodziła się z dobrego rodu, datującego swoje pochodzenie od pierwszych hufców, które przybyły tu z Normandii na okrętach Wilhelma Zdobywcy. Wprawdzie była wysoka i ruda, lecz niektórym

mężczyznom nawet się podobała. Przynajmniej jednemu.

Szybko wychyliła zawartość kielicha i popatrzyła księciu prosto w oczy. Trochę górowała nad nim wzrostem; pod tym względem nie różnił się od większości mężczyzn. Gdyby zechciała męża wyższego od siebie, miała do wyboru niewielu kandydatów. Jedyny, którego poznała lepiej, z oczywistych względów nie wchodził w rachubę.

Nie byłaby jednak od tego, żeby wyjść za mąż. Już się przekonała, że kontakt z mężczyzną może być... przyjemny. Mogła się zakochać, tak jak nieopatrznie zakochała się w pewnym oszuście i kłamcy.

Och, nie, to nie była miłość. Zwykłe zauroczenie. Wyczuła w nim coś dwuznacznego, i to wywołało chwilową słabość.

Więcej nie powtórzę podobnego błędu, pomyślała. Znajdę sobie kogoś, kto sprawi, że zechcę z nim pozostać aż do końca życia.

- Z chęcią dołączę do orszaku Waszej Wysokości.

William wyciągnął rękę i złożył na jej dłoni długi pocałunek.

Zimny dreszcz przebiegł po plecach Elizabeth. Nie było w tym nic przyjemnego. Miała ochotę krzyknąć, że nigdzie nie pojedzie i że woli pozostać tutaj, gdzie jej właściwe miejsce. W tej samej chwili poczuła na sobie czyjeś spojrzenie.

Uniosła głowę. Peter stał w drugim końcu wielkiej sali. Popatrzyli na siebie pierwszy raz od czasu, kiedy Elizabeth dowiedziała się, kim jest rzeczywiście.

Miał pusty wzrok. Ani śladu skruchy, pożądania, gniewu lub miłości. Wyglądał niczym posąg wykuty z kamienia.

Elizabeth odwróciła się w stronę księcia i powiedziała.

- Już liczę godziny do odjazdu, panie.- Ani śladu, wasza książęca mość - zameldował Rufus.

William nieraz był świadkiem, jak ten człowiek zabijał bezbronnych kmieci gołymi rękami, palił, gwałcił, mordował. Ucieleśnienie zła, a jednak drżał przed nim. Williama to bawiło. Rufus nie bał się śmierci. Śmierć jest bardzo łatwa. Bał się

umierania.

William popatrzył na niego od niechcienia.

- Chcesz powiedzieć, że nie znalazłeś śladów, prawda? - spytał, podkreślając słowa „nie znalazłeś”. - Sir Adrian jest na pewno ranny i ma z sobą tę ladacznicę, która mu utrudnia życie ciągłym utyskiwaniem. Mimo to nie możesz ich odszukać?

- Jenkins mówi, że poszli w drugą stronę, nad morze, zamiast wędrować tutaj - z rozpaczą odpowiedział Rufus.

- A kimże to jest wspomniany Jenkins? - łagodnie zapytał William. Rufus zbladł jeszcze bardziej.

- To jeden z moich ludzi, panie.

- I ma dar jasnowidzenia? Przenajświętsza Dziewica zstąpiła do niego z nieba i powiedziała mu, gdzie odnaleźć moich wrogów?

- Nie, wasza książęca mość. To tylko domysły.

- Nie wierzę w domysły, Rufusie. Nie wierzę w przepowiednie. Wrócisz teraz na deszcz i będziesz szukał dalej. Jestem pewien, że tutaj idą. Twój Jenkins może myśleć co innego, ale ja wiem swoje. Muszą zginąć. Zabij ich szybko, bo to nie czas i miejsce na drobne przyjemności. A potem musisz mi przynieść głowę sir Adriana. Chcę mieć pewność, że mnie nie zdradzi.

Rufus cofnął się w stronę drzwi. Niemal się potknął o własną stopę.

- Rufusie?

- Tak, Wasza Wysokość?

- Tylko mnie nie zawieź. Przekonałem tutejsze siostry, że po rozgrzeszeniu stałem się zupełnie innym człowiekiem. Nie chcę, żeby pomyślały sobie co innego, dopóki stąd nie odjedziemy.

- „My”, panie? - Rufus doskonale wiedział, że książę nigdy nie mówił w ten sposób o swoich ludziach.

- Zabieram z sobą dziewczynę. Tę dużą, o rudych włosach.

- Pokornie błagam o wybaczenie waszą książęcą mość, ale to nie jest ktoś, kto mógłby zaspokoić twoje gusta, panie. Tylko przysporzy ci kłopotów. Zakonnice podniosą hałas, jeżeli coś jej



się stanie.

- Zakonnice nie mają nic do gadania. A poza tym jej przyszłość wcale mnie nie obchodzi. Potrzebuję tej dziewczki do całkiem innych celów.

- Panie?

- Brat Peter. Świętoszkowaty Peter de Mont-selm. Podąży za nami, bo wie, co się z nią stanie, jeśli tego nie zrobi. Będę mógł skończyć to, co kiedyś zacząłem. Siedem długich lat na to czekałem.

- Wasza Wysokość?

- To nie twoja sprawa, Rufusie. Idź i znajdź sir Adriana i tę przeklętą dziwkę. Spiesz się. Skądinąd słyszałem, że masz ładną siostrę. Chyba nie chcesz, żeby coś jej się stało?

Rufus wypadł za drzwi jak wystrzelony z procy. William odchylił się w fotelu i wziął do ręki sztylet z bogato zdobioną rękojeścią. Ostrze było lekko skrzywione. Wygięło się, kiedy dźgnął Adriana. Pewnie trafił na żebro. Szkoda, bo to znaczy, że łotr jeszcze żyje, pomyślał. Gdyby zginął, zbrojni Rufusa znaleźliby jego zwłoki. Jego i tej ładacznicy.

Niewiele brakowało, a złapaliby także braciszka Petera i tę rudą wydrę. Chociaż William był nawet rad, że tak się nie stało. Szybka śmierć dawnego wroga pozbawiłaby go połowy przyjemności. Zwłaszcza gdyby Peter padł z cudzej ręki. William sam chciał to zrobić i patrzeć, jak umiera.

Odruchowo potarł ramię. Nawet po tylu latach napięta skóra wciąż go bolała. Pewnych rzeczy się nie zapomina. Inni zginęli w pożarze seraju - niektórzy padli z własnej ręki, nie wytrzymując bólu. To dziwne... Krzyżowcy powinni być twardsi. Żadnego z nich nie trawiła tak wielka nienawiść, żeby pokonać śmierć i cierpienie.

William na przekór wszystkiemu postanowił żyć. Wyzdrowiał. Bogate szaty starannie zakrywały spaloną część ciała. Mało kto oglądał jego straszliwe blizny. Niemal nikt nie wiedział, że utracił męskość. Lubił zadawać ból, bo od tamtej chwili było to dla niego

jedyną przyjemnością.

Sprawca tej tragedii wciąż chodził po świecie. Ten, z którym William pojechał na krucjatę. Ten, z którym wspólnie walczyli z poganami. Ten, który zepchnął go z dachu budynku i wrzucił w płomień. Peter de Montselm.

Teraz bawił się w zakonnika, twierdząc wszem i wobec, że pragnie pokuty za poprzednie grzechy. Zamachu na królewskiego syna chyba się nie wstydził. Kiedy spoglądał na Williama, w jego wzroku nie było poczucia winy.

Nic dziwnego. Przecież to Peter podłożył ogień pod seraj i tym samym skazał na śmierć setki kobiet i dzieci.

W innych okolicznościach książę mógłby go pochwalić. Peter stał na dachu pałacu sułtana. Twarz miał nieruchomą, tylko w jego oczach odbijał się blask płomieni. Krzyki mordowanych niemal sięgały nieba.

Nagle Peter odwrócił się w stronę stojącego obok zakonnika.

- Trzeba to przerwać - powiedział zduszonym głosem. - Nie wolno nam...

- To jest nasz święty obowiązek - odparł mnich, który chwilę przedtem pobłogosławił spalenie seraju. - Niech płoną teraz, bowiem płonąć będą wiecznie, w otchłaniach piekieł, wśród innych niewiernych.

- Nie! - krzyknął Peter, dobywając miecza. Wszyscy cofnęli się o kilka kroków. Sir Peter de Montselm był wyższy, silniejszy i lepiej władał mieczem od swoich rycerzy. Wszelka próba oporu równała się śmierci.

Jedynie William się nie uląkł. Jak dotąd, z całej krucjaty wyszedł bez najmniejszego szwanku. Król wysłał z nim do ochrony cały oddział zbrojnych, nieczęsto więc bywał w groźnej sytuacji. Teraz jednak nie chciał, aby ktoś zakończył ten upiorny spektakl. Za bardzo mu się to spodobało.

- Odstąp! - zawołał i szybko dobył miecz z pochwy. - Dotrwamy do końca.

Gwałtowny atak sir Petera zupełnie go zaskoczył. Sekundę później leżał na wznak na dachu. Cenny miecz ze złotą rękojeścią, wykładaną szlachetnymi kamieniami, pękł niczym zabawka.

- Ktoś jeszcze? - chrapliwie spytał Peter. - A może jednak spróbujemy ocalić chociaż dzieci?

William spostrzegł niepewność na twarzach rycerzy. Nawet mnich nie miał nad nimi takiej władzy jak de Montselm. Posłuchają go, z gniewem pomyślał książę. Banda tchórzy. Jeszcze chwila i zaczną gasić ogień.

Poruszył się tak błyskawicznie, że nikt nie zdążył go usłyszeć. Chwycił saraceńską szablę, porzuconą przez jednego z wrogów, i z całej siły ciął Petera w plecy, przebijając zbroję i ciało.

De Montselm odwrócił się do Williama, który odskoczył ze zdumieniem, ciągle ściskając w garści zakrwawioną szablę. Przecież to był śmiertelny cios...

- Nie podchodź bliżej! - wrzasnął. - Nie podchodź, bo stracisz głowę.

Krzyki palonych ofiar cichły powoli, zastąpione zdławionym jękiem konania.

- Nie rób tego - powiedział Peter, z wolna zbliżając się do księcia.

William pomyślał o ucieczce, ale nie mógł stchórzyć na oczach tyłu świadków. Na dobrą sprawę już popełnił błąd, atakując Petera z tyłu. Żaden rycerz tego by nie zrobił. Peter mnie nie zabije, przemknęło mu przez głowę. Zawsze był lojalny wobec mojego ojca. Mogę więc podjąć walkę...

Skoczył w przód. De Montselm szybkim ciosem miecza wybił mu szablę z ręki. Silne uderzenie zachwiało Williamem. Uskoczył w bok i nagle poczuł pod nogami pustkę. Spadł z dachu niczym przeklęty ptak. Runął głową w sam środek płonącego seraju.

Rufus go wyciągnął ze stosu zwęglonych trupów. Trwało to może parę minut, lecz i tak było już za późno. William żył wprawdzie, ale miał spaloną niemal połowę ciała.

Mimo to przeżył. Siedem lat minęło, zanim odzyskał zdrowie. W tym czasie Peter zamknął się w klasztorze, aby odpokutować za popełnione grzechy. Teraz jednak nadszedł czas zemsty.  
Zbliżała się pora wyjazdu.

RS

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

---

**H**ej, ty! Dokąd się wybierasz?

Joanna obudziła się z przerażeniem, ale Adrian szybko położył dłoń na jej ustach, żeby ją uciszyć. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że zasnęła. Pod nim? Po takim dziwnym doświadczeniu? Nie była głupia. Nieraz widziała, jak mężczyźni zachowywali się w ekstazie. Ale ona? Jak i dlaczego? Nic nie rozumiała. Przecież niewiasty były tylko po to, żeby cierpieć dla przyjemności mężczyzn. Tu zaś przez przypadek...

Nie. To nie był przypadek. Mimo półmroku poznawała po oczach Adriana, że zrobił to specjalnie. Teraz zapewne czekał, żeby odpłaciła mu w podobny sposób.

Joanna próbowała wsunąć rękę między ich ciała, lecz Adrian ją przytrzymał. Delikatnie złożył pocałunek na jej dłoni.

- Dzięki, milady, za dobre chęci, ale nie pora na pieszczoty. Wolę zachować trzeźwy umysł.

Zadziwił ją pod każdym względem. Co to za człowiek, co daje rozkosz, a nie żąda niczego w zamian?

- Ale...

Zamknął jej usta kolejnym pocałunkiem. Tym razem nawet się nie broniła. Oddała pocałunek, po czym zasnęła. Spała, dopóki jej nie zbudził chrapliwy okrzyk. Czuła, że Adrian sprężył wszystkie mięśnie.

- Wiozę zapasy do klasztoru, panie - odparł Odo. - Zebrane w okolicznych wioskach. Ziarno, wełnę, i tak dalej.

- W jakich wioskach?

- Aldenham i Whithall.

- A nie w Beckham? Przecież to po drodze. Adrian poruszył się powoli. Joanna od razu domyśliła się, że sięgnął po nóż.

- Nie, panie. Tam sami dranie. Zatwardziali grzesznicy. Nie

dają zacnym siostrom nawet okruszyny.

- Zatem nie byłeś w Beckham?

- Nie tym razem, panie. Przyjechałem tu prosto, głównym traktem.

- Kogo widziałeś po drodze? Byli jacyś ludzie?

- A i owszem, łaskawy panie. Kręcili się zbrojni, jakby czegoś szukali. Nie wiem, o co im chodzi, bo nie podjeżdżali, ale na mój gust byli podejrzani.

- To grupy łowców - padła odpowiedź. - Wiem o nich. Pytam, czy nie widziałeś jeszcze kogoś innego. Rannego zakonnika albo pięknej kobiety?

- Łowców powiadasz, panie? A na co tu polować? Zwierzyny jak na lekarstwo po tak ciężkiej zimie. Nie ma co włożyć do garnka...

- Polują na ludzi, głupcze! Na tych, o których pytałem!

- Żeby ich zjeść? - W głosie woźnicy zabrzmiało szczere zdumienie.

- Zabić! - warknął jego rozmówca. - Ciągle nie odpowiadasz! Widziałeś kogoś?

- Po co zabijać mnicha i jakąś piękną damę?

- To zdrajcy i mordercy. Próbowali zgładzić księcia Williama.

- Co to za księżę William? Nigdy nie słyszałem. Gdyby król miał następcę, wszyscy by trąbili...

- To syn z nieprawego łoża.

- Zatem nie jest księciem, prawda? - upewnił się Odo. - Jeżeli ktoś naprawdę dybał na jego życie, to będzie to zwykła zbrodnia, a nie zdrada stanu. Zresztą nieważne. Nie widziałem mnichów rannych ani zdrowych.

- Może być w przebraniu chłopca lub rycerza.

Takich też nie widziałeś? A jakieś niewiasty? Odpowiadaj prędko, bo ci utnę język!

- Wtedy już nic nie powiem - rozsądnie zauważył Odo. - Nie, milordzie. Nie widziałem obcych wędrowców, pięknych kobiet,



morderców ani zdrajców. Tylko ciebie i twoich łowców. Mogę już jechać dalej? Dzień był długi, a jeszcze muszę rozładować wóz, zanim trochę odpocznę.

- Dzisiaj to niemożliwe. Nikt nie ma prawa wstępu do klasztoru. Dokoła rozstawiono strażę, nie myśl, że się prześlizgniesz. Twoja wełna zaczeka. - Rozległ się metaliczny zgrzyt dobywanego miecza. - Coś ci się nie podoba, chłopie?

- Ależ skąd, miłościwy panie! To nie pierwszozna dla mnie spać skulony na ziemi, pod wozem. Jak znam życie, to jeszcze nieraz doświadczę podobnych przyjemności. A jutro?

- Co jutro?

- Wpuszczą mnie do klasztoru?

- Jeśli księżę wyjedzie. Tymczasem możesz zostać tutaj lub nocować gdzie indziej.

- A gdzie ci wszyscy wartownicy, o których wspominałeś, panie? Widzę, że jesteś sam.

- Niedługo się tu zjawią. Co, chciałeś mnie napaść?

Joanna wiedziała, co się zaraz stanie, i, co gorsza, wiedziała także, że nic na to nie poradzi. Adrian przykurczył się do skoku, ale wciąż jej zatykał usta, jakby spodziewał się protestów albo okrzyku ostrzeżenia.

A potem jego dłoń nagle zniknęła. Zamiast szarego worka po mące, Joanna ujrzała nad sobą rozgwieżdżone niebo. Adrian wstał z nożem w dłoni.

- On nie, Rufusie - zawołał, zeskakując z wozu - ale może zmierzysz się ze mną?

Joanna z cichym jękiem przerażenia dźwignęła się na kolana. Obcy strażnik okazał się potężnym mężczyzną, o wiele większym od Adriana i lepiej uzbrojonym. Adrian miał tylko nóż.

- Powinienem wiedzieć. - Ponury uśmiech wykrzywił twarz Rufusa. - Księżę powiedział, że nie wolno ci ufać. Byłoby dużo lepiej, gdybyś znalazł się wśród naszych, sir Adrianie. Ale to już nieważne. Dobrze wiesz, że nie możesz dotrzeć do klasztoru.

- W takim razie muszę cię zabić, Rufusie.
  - Dlaczego, sir Adrianie? Od lat walczyliśmy ramię w ramię. Obaj jesteśmy ludźmi księcia.
  - Ale jest między nami niemała różnica. Ty mu służysz, a ja go jedynie pilnuję.
  - Mimo to on wydaje rozkazy.
  - Pchnął mnie nożem, Rufusie.
  - Ach, prawda. Jesteś ranny. Prawie zupełnie zapomniałem. W takim razie pójdzie mi jeszcze łatwiej. Obiecuję, że nie będziesz cierpieć. Szybki cios w szyję i zaraz skonasz.
  - Wątpię. Wiesz, że twój pan to potwór?
  - Wiem. Choćby dlatego chcę uniknąć kary z jego ręki.
  - Naprawdę wolałbym cię nie zabijać.
  - Lepiej ty niż księżę, sir Adrianie. Nie lódź się, że mnie pokonasz za pomocą tej zabawki.
  - Nie? - Adrian ani na chwilę nie spuszczał wzroku z przeciwnika. - Joanno, biegnij do klasztoru. Trzymaj się blisko drzew, na pewno ci się uda. Mam nadzieję, że Peter już tam dotarł. Jeżeli nie, znajdź kogoś, kto cię wysłucha. Opata albo przeoryszę... Kogokolwiek.
  - Myślisz, że jej uwierzą? Nie bądź głupi. Jej słowo przeciw słowu księcia?
  - To dlaczego chcesz nas zatrzymać?
  - Bo ty mógłbyś ich przekonać. Ladacznica jest dużo mniej groźna.
  - Nie nazywaj jej tak.
- Głośny śmiech Rufusa zmącił nocną ciszę.
- Tylko mi nie mów, że się zakochałeś! Jesteś głupcem, Adrianie, choć dobry z ciebie rycerz. Jeśli naprawdę pokochałeś dziwkę, to lepiej, żebyś umarł.
  - Pędź, Joanno. Znajdź ojca przeora i powiedz mu o wszystkim.
- Joanna zeskoczyła z wozu. Zawahała się tylko chwilę. Była pewna, że nigdy już się nie zobaczą. Przynajmniej nie na tym

świecie.

- Kocham cię - powiedziała zupełnie odruchowo. Dziwiła się sama sobie. Nigdy przedtem nikomu tego nie mówiła; nikt nie żądał od niej takich wyznań. Adrian uśmiechnął się szeroko.

- Ja ciebie też! - zawołał. - Pod tym względem Rufus miał zupełną rację. A teraz biegnij!

Joanna uniosła spódnicę i jak spłoszona łania skoczyła między drzewa. Biegła pod osłoną krzaków, słysząc za sobą zgrzyt stali. Wiedziała, że Adrian zginie, i z całego serca chciała wrócić, aby mu jakoś pomóc albo przynajmniej być przy nim w chwili śmierci. Łzy ciurkiem płynęły jej po twarzy. Wciąż biegła, chociaż odgłosy walki już wygasły i zapanowała przeraźliwa cisza.

Spodziewała się straży u wrót klasztoru, ale nikogo tam nie było. Wpadła do środka - zdyszana, zapłakana, z włosami w nieładzie. Myślała, że serce wyskoczy jej z piersi. Niemal bez tchu osunęła się w ręce jakiegoś człowieka. To chyba był właśnie ojciec przeor.

- Dziecko, co się stało? - zawołał.

- Adrian! Szliśmy, żeby was ostrzec... Księżę... Adrian... - Nie mogła złapać tchu.

- Księżę jest cały i zdrowy. Dopełnił pokuty i dostał rozgrzeszenie. Jutro opuści klasztor, by zacząć nowe życie.

- Nie! - krzyknęła. - To morderca! To jego ludzie napadli na nasz orszak. To jego ludzie zabili zakonników...

Opat cofnął się nieco.

- Zdajesz sobie sprawę, co mówisz, moje dziecko? To są bardzo poważne oskarżenia.

- Nie pozwólcie mu stąd odjechać. Ratujcie Adriana. Chcą go zabić!

- Sir Adrian jest gdzieś tutaj? Księżę powiedział nam, że zginął w walce.

- To kłamstwo. Musimy go ratować, ojcze! Może jeszcze nie jest za późno. Błagam! - płakała.

Wokół nich zgromadziło się już sporo ludzi.

- Uspokój się, moje dziecko. Matka Alison zabierze cię w bezpieczne miejsce, żebyś mogła trochę odpocząć. Bracie Mellardzie, zbierz ludzi przy głównej bramie.

- Przybiegłam od strony bocznej - wydyszała Joanna.

- Niech ktoś pójdzie do księcia. Chcę z nim porozmawiać, zanim wyjedzie do Londynu.

- Tak, ojczy.

- Ale... - zaprotestowała Joanna, kiedy ktoś wziął ją za ramię.

- Idź z siostrami, dziecko. I miej wiarę w Boga. Nie pozostawało jej nic innego.

Cela Elizabeth była mała i skromna, ale stało w niej łóżko. Wszystkie kłamstwa, którymi ją dotychczas karmiono, wirowały jej w głowie jak spłoszone ptaki. Miała ochotę rzucić się na łóżko i płakać. Chciała kogoś porządnie poturbować. Najchętniej Petera albo siebie samą.

Wiedziała. Przez te wszystkie dni w głębi serca wiedziała, że nie był prawdziwym księciem. Zupełnie jej to nie przeszkadzało. Nie kłopotowała się jego tożsamością. Nie spytała, gdzie szukać królewskiego syna.

To dziwne. Na swój sposób jej towarzysz podróży o wiele bardziej przypominał księcia niż prawdziwy William. A gładkolicy brat Matthew lepiej wypadł w roli zakonnika niż Peter o udręczonych oczach i tłumionym gniewie.

Wmawiała sobie, że książę William - prawdziwy książę William - będzie dla niej dobrym opiekunem. Co prawda, nie wierzyła w jego cudowne ocalenie, lecz wiedziała, że przy nim nie spotka jej nic złego. Peter mógł lubić długonogie i rude niewiasty, ale książę miał bardziej wyrafinowany gust. Nie podobała mu się, nie był więc dla niej groźny, nawet jeżeli plotki po części były prawdziwe. Przecież nie mógł być potworem. Wystarczyło popatrzeć w jego łagodne oczy, aby od razu nabrać do niego zaufania.

Jeśli zostanę w celi do chwili wyjazdu, to zapewne już nigdy nie

ujrę Petera, rozmyślała Elizabeth. To mi właśnie potrzebne: czas i oddalenie. Zobaczę kawał świata i kiedyś zapomnę. Serce przestanie krwawić, nabiorę doświadczenia. Wiedza i doświadczenie, choćby nie wiem, jak gorzkie, czynią nas silniejszymi.

Blask samotnej świecy budził długie cienie w maleńkiej izdebce. Elizabeth podeszła do zakratowanego okna i spojrzała na nocne niebo. Z oddali dobiegały podniesione głosy. Jakaś kobieta chyba płakała, przebiegła grupa zbrojnych. Elizabeth wspięła się wyżej, żeby coś zobaczyć, lecz jej się nie udało. Odwróciła się i ujrzała stojącego w progu Petera. Zamknął za sobą drzwi.

Miał na sobie habit, ale dużo lepszy niż ten, w którym do niedawna paradował po lesie. Ogolił się i starannie przyszczygł włosy wokół świeżej tonsury.

- Co tu robisz?

Najbardziej nie lubiła go dlatego, że tak dobrze umiał maskować swoje uczucia. Nie wiedziała, czy się na nią złościł, czy przyszedł tu z poczuciem winy. Czy jej pożądał, czy nią gardził? Zachowywał się zupełnie inaczej niż „książę”, którego po raz pierwszy zobaczyła podczas uczyty na ojcowskim zamku. Wtedy tryskał humorem i roztaczał wokoło aurę władzy. Teraz wyglądał jak posąg wyciosany z drewna. Nawet usta, stworzone do czułych i grzesznych pocałunków, zacisnął w wąską linię.

- Źle wyglądasz w habicie - powiedział. - Nie jesteś stworzona na zakonnice.

- Też tak sędzę - odparła. - Na szczęście zacne siostry zgodziły się przygarnąć nawet zepsuty owoc. Dobrze mi w tym odzieniu. Zapytam raz jeszcze i zawołam o pomoc. Co tu robisz?

- Przyszedłem z ostrzeżeniem.

- Przed lubieżnikami? Doprawdy za późno. Wyjdź albo zacznę krzyżeć i zniknie wizerunek dobrego brata Petera.

Nie próbował się bronić.

- Księżę jest całkiem inny, niż ci się wydaje. Roześmiała się.

- A któż to taki? Przez ostatnie trzy dni wszyscy się zmieniali. Za chwilę mi powiesz, że brat Adrian także nie jest zakonnikiem.

- Nie jest. To rycerz króla i mój kuzyn.

W pustej celi nie było nic pod ręką, czym mogłaby w niego rzucić. Pozostały jej tylko słowa.

- Odejdź stąd, kłamliwa poczwaro z piekła rodem! Wolałabym rozmawiać z wściekłym psem niż z tobą!

Teraz on się uśmiechnął.

- Ten twój niewyparzony język wpędzi cię w kłopoty.

- Twój też! - zawołała i poczerwieniała nagle, bo niechcący przypomniała sobie, ile rozkoszy sprawił jej tym właśnie językiem. Peter wyglądał, jakby dobrze znał jej myśli.

- Elizabeth, nieważne, co teraz do mnie czujesz. Nie pozwolę ci odjechać stąd z księciem Williamem. Jest dużo gorszy, niż o nim mówią.

- Nie będziesz mi rozkazywał.

- Wystarczy, że szepnę słowo przeoryszy, żeby cię tu zatrzymać.

- Jeśli to zrobisz, powiadomię wszystkich, z najdrobniejszymi szczegółami, o tym, co się stało podczas naszej wędrówki.

Uniósł brwi ze zdziwienia.

- Z najdrobniejszymi szczegółami? Matka przeorysza dostanie ataku serca.

Rozzłościł ją jeszcze bardziej.

- Myślisz, że to zabawne?

- W przeciwieństwie do ciebie nie uważam ludzi za świętych i nieomylnych. Każdy z nas może popełniać błędy i każdy z nas jest zdolny do dobrych uczynków. Niektórzy ciężko płacą za swoje dawne grzechy.

- Idź do diabła.

- To mam już zapewnione. Nie wyjedziesz z orszakiem księcia Williama. Nawiasem mówiąc, jesteś mu całkiem niepotrzebna. On cię nie chce. Chodzi mu wyłącznie o mnie.



To była ostatnia kropla goryczy, która przepełniła czarę.

- Wiem, że mnie nie chce! Żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nawet nie spojrzy na taką krowę! Może z wyjątkiem desperata po kilku latach celibatu...

- „Desperata” to dobre słowo - powiedział cicho.

- A co ty masz wspólnego z księciem? Tylko mi nie mów, że zaczął zalecać się do ciebie. W to nie uwierzę.

- Zamierza mnie zabić.

- Tylko tyle? - słodko spytała Elizabeth. - Nie on jeden. W najlepszych z nas budzisz żądzę mordy.

Roześmiał się.

- Rad jestem, że zaliczasz siebie do najlepszych.

- Tego akurat bym nie powiedziała. To wcale nie znaczy, że nie chciałabym cię udusić gołymi rękoma.

Popełniła poważny błąd. Peter podszedł do niej powoli. Dał jej czas, żeby się cofnęła, ale w małej celi naprawdę nie było gdzie uciekać. Elizabeth stała więc spokojnie, patrząc mu prosto w oczy.

- Proszę bardzo - mruknął. - Uduś. Oboje doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że nie mogła wyrządzić mu krzywdy. Była silna, lecz nie na tyle, aby pokonać dorosłego mężczyznę. Nie miała bronii. Chodziła boso, bo zakonne sandały okazały się na nią za małe.

Pozostały jej tylko pięści i zrobiła z nich użytek. Wymierzyła mu cios prosto w brzuch. Mocno, aż Peter drgnął zaskoczony, a ją zabolęła ręka.

- To już wszystko? - spytał łagodnie. Uderzyła drugą pięścią. Tym razem był na to

przygotowany, nawet nic nie poczuł.

- Nienawidzę cię - syknęła Elizabeth.

- To widać.

Zaczęła tłuc go z całej siły. Przy okazji miotała najgorsze przekleństwa. Biła go w pierś, w ramiona... Aż w końcu zupełnie osłabła i mogła już tylko płakać. Peter objął ją i przytulił.

Nawet nie próbowała uwolnić się z jego objęć.

- Nienawidzę cię... - zaszlochała. Pocałował ją. Tego najmniej się spodziewała, ale gdy poczuła jego wargi na swoich ustach, niewiele myśląc, oddała pocałunek. I to chyba zaskoczyło ją o wiele bardziej. Całowała się z mnichem!

Co dalej? - machinalnie przemknęło jej przez głowę. A może łóżko jednak nie jest takie wąskie? Zanim jednak poznała odpowiedź na to pytanie, ktoś delikatnie zapukał do drzwi. Do celi weszła matka Alison.

- Tu jesteś, bracie Peterze. Coś się stało. Ojciec przeor wzywa cię natychmiast. Jest w wielkiej sali. - Odwróciła się do Elizabeth i od razu zobaczyła ślady łez na jej twarzy. - Drogie dziecko... - zaczęła.

- Zostaw ją, matko - wtrącił Peter. - Nic jej nie będzie. Jedno jest pewne: nie wyjedzie z księciem.

- To mądra decyzja - przytaknęła matka Alison.

Elizabeth usiłowała się sprzeciwić, ale nie mogła wykrztusić z siebie ani słowa.

Zresztą mieli rację. Nie mogła wyjechać. Nie wyobrażała sobie przyszłości bez Petera. A ponieważ nie mogła także żyć z Peterem, musiała zostać sama - tu, w klasztorze - i z pomocą Najwyższego Pana stłumić namiętność.

Nawet gdyby zajęło jej to całe życie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

---

**M**amy kłopot, wasza książęca mość. Książę William odwrócił się powoli, starannie ukrywając blizny. Winston był zastępcą Rufusa. Wprawdzie nie miał jego brutalnej siły, ale odznaczał się niemałym sprytem.

- Gdzie Rufus?

- Nie żyje, panie. W klasztorze panuje spore poruszenie.

Przybyli sir Adrian i jego dziewczka. Sam nie wiem, jak zdołali się tutaj przedrzeć. Dużo mówią.

- Oczywiście, że mówią! - ze złością warknął William. - Pytanie tylko: kto im uwierzy?

- Biskup Martin żąda, abyś natychmiast przyszedł, panie.

Powiedziałem mu, że zapewne śpisz, ale kazał mi cię obudzić.

- Co takiego?! - zawołał książę. - Już za długo wodzili mnie za nos. Jeśli chce, może cofnąć całe to rozgrzeszenie. Wyjeżdżamy natychmiast.

- Panie?

- Nie zatrzymają mnie. Powiedz świątobliwemu ojcu, że spotkam się z nim za godzinę. Zaraz potem zbierz wszystkich ludzi i osiodłaj konie. Zawiadom lady Elizabeth, że plany uległy zmianie.

- Nie pojedzie z nami, Wasza Wysokość. Matka przeorysza kazała ci powiedzieć, że milady pragnie pozostać w klasztorze.

- Nic z tego. Zrób, co ci mówiłem, Winstonie, i bądź gotów do drogi. Za chwilę wyjeżdżamy, razem z Elizabeth. Możesz ją uciszyć, tylko nie zabijaj. Czy to jasne? Dobrze. Skoro nie ma Rufusa, ty zajmiesz jego miejsce. Tylko pamiętaj, że nie lubię, jak ktoś mi się sprzeciwia.

- Spotkamy się przy zachodniej bramie, panie. Jest najmniej strzeżona, a trakt za nią zaraz skręca na południe. Nie przyjdzie im do głowy, że mogliśmy pojechać w tamtą stronę.

- Bardzo mądrze, Winstonie. Będą z ciebie ludzie.

Elizabeth próbowała zasnąć, ale jej się to nie udawało. W głowie miała gonitwę myśli. Dlaczego pocałowała Petera? A dlaczego on zaczął ją całować? Przecież wrócił do życia, które sam sobie wybrał. Tam nie było miejsca dla kobiet.

Jednak przyszedł do mojej celi, wziął mnie w ramiona. Gdyby nie weszła matka Alison, nie wiadomo, do czego by doszło.

Z głośnym westchnieniem położyła się na wznak i wbiła wzrok w sufit. Na zewnątrz trochę już przycichło, lecz usłyszała, że ktoś siodłał konie. Rozległ się gwar stłumionych męskich głosów. Któż mógłby o tej porze szykować się do drogi? Na pewno Peter. Wreszcie zrozumiał, co się stało, i doszedł do wniosku, że najlepiej zrobi, jeżeli ją opuści. Rano już go nie będzie, myślała Elizabeth, a ja spokojnie zacznę nowe życie, pełne modlitwy, żalu i pokuty. I przede wszystkim posłuszeństwa.

Przewróciła się na brzuch. Klasztor nie oferował wyszukanych wygod. Łóżko było dość twarde, bez puchowej poduszki i świeżo wypranej lnianej pościeli. Muszę nauczyć się spać w takich warunkach, pomyślała Elizabeth. Lepsze to niż nocleg na gołej podłodze.

Chociaż ostatni raz, gdy spała na podłodze, w ogóle jej to nie przeszkadzało. Prawdę mówiąc, wtulona w ramiona Petera mogłaby zasnąć nawet na rozżarzonych węglach.

Zdawała sobie sprawę, że pokochała Petera. Próbowала na zawsze wyrzucić go z pamięci. Kłopot w tym, że nie bardzo wiedziała, jak to zrobić, szukała więc pocieszenia w modlitwie.

Zastanawiała się, od czego zacząć rozmowę z Bogiem. Grzech, który popełniła, wydawał się tak wielki i niewybaczalny.

- Daj mi znak, Boże - wymruczała. - Błagam. Ocal mnie.

Nie słyszała cichego skrzypnięcia drzwi. Wciąż miała zamknięte oczy i nie widziała, że jakiś cień przemknął przez maleńką celę. Poczula tylko, że ktoś zarzucił jej na głowę szorstki kaptur.

Usiłowała krzyknąć, lecz w tej samej chwili wepchnięto jej w

usta kłęb tkaniny. Kopnęła, ale jej noga trafiła w pustkę. Instynktownie wiedziała, że zaraz otrzyma twarde uderzenie w skroń. To nie był znak, na który czekała.

A potem wszystko spowiła nieprzenikniona ciemność.

Przeżył. Powiedzieli jej, że Adrian żyje. Kiedy to usłyszała, wydawało jej się, że zaraz zemdleje.

- Witaj wśród nas, pani - odezwała się matka Alison.

Joanna nie wierzyła własnym uszom.

- Jestem wielką grzesznicą, matko - wyznała. Gdybym mogła znaleźć inne miejsce...

- Nikt z nas nie jest bez grzechu, córko. I nie tobie sądzić, czy zgrzeszyłaś mocniej, czy słabiej. To może rozstrzygnąć tylko Bóg i twoi spowiednicy. Tymczasem przygotowałam ci gościnną izbę. Jestem pewna, że musisz trochę odpocząć. O grzechach porozmawiamy jutro.

- Adrian...

- Żyje i zapewne życie będzie długie lata. Zawsze wychodził cało z najgorszych opresji, nawet z tych, które zabiłyby lepszych od niego. Chcesz go zobaczyć?

- Nie! - wykrzyknęła Joanna. Im szybciej się rozstaną, tym lepiej. Mimo to musiała zadać najważniejsze pytanie:

- Zatem naprawdę nie jest zakonikiem?

- Sir Adrian? Dobry Boże, nie! Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mniej niż on pasował do klasztoru. Żona na pewno się z tym zgodzi.

Joanna nawet nie mrugnęła okiem, chociaż cios okazał się bolesny. Przeżywała już gorsze rozczarowania.

- Jest żonaty? - spytała zwodniczo obojętnym tonem.

- Prawie. Trzy lata temu zaręczył się z córką barona Lefferta. Zapewne odłożyli ślub do czasu, gdy sir Adrian wróci z królewskiego dworu. Podejrzewam, że po dzisiejszym dniu król Jan nie zechce go zbyt długo trzymać. - Matka Alison uważniej spojrzała na Joannę. - Między wami do niczego nie doszło? Nie

było żadnych obietnic?

Na szczęście żadnych, pomyślała Joanna. Mam nadzieję, że już na zawsze pozostanę w tym odrętwieniu. Czuła się tak, jakby ktoś zamknął ją w lodowej trumnie. Nie chciała powrotu wiosny.

- Nie - odparła. - Sir Adrian jest jeszcze młody, a ja mam za sobą bardzo burzliwe życie. Nic nas nie łączy.

Chuda zakonnica mruknęła coś pod nosem, nie wiadomo, czy z aprobatą, czy raczej z naganą.

- Kiedy odpoczniesz, zapewne zechcesz mu podziękować. Wszak to on zabrał cię z pola bitwy i ocalił od niechybnej śmierci.

Joanna pomyślała o koszmarnej wędrówce przez las. O tym, jak wlokła przez wertepy zakrwawione ciało. Niewiele brakowało, żeby się uśmiechnęła, słysząc słowa matki Alison.

- To prawda - powiedziała. - Chyba najlepiej będzie, jak kilka najbliższych godzin spędzę samotnie, na modlitwie.

- Jesteś zupełnie taka sama jak brat Peter. Ci z nas, którzy popełniają najzwyklejsze grzechy, są zarazem najbardziej skorzy do pokuty. Prawdziwy potwór tym się nie przejmuje.

- Mówisz o księciu Williamie, matko?

- Ani mi w głowie rzucać kalumnie na królewskiego syna - bez wahania odpowiedziała matka Alison. - Chodzi mi o to, że niektórzy ustawicznie grzeszą, a jednak są lepsi, niż by się zdawało. Inni zaś, niemal bez skazy, noszą znamię diabła. Siostra Agnes zawiedzie cię do twojej izby. To w lewym skrzydle, przeznaczonym dla odwiedzających. Mam nadzieję, że hałas nie będzie ci przeszkadzał.

- Nie ma dla mnie miejsca w klasztorze?

- Chcesz przywdziać habit, moje dziecko?

- Nie wiem, czy jestem tego godna.

- Bóg patrzy w serca wszystkich ludzi. Zostań z nami na pewien czas i sama się przekonaj, czy odpowiada ci takie życie. Jeśli stwierdzisz, że tak jest w istocie, to z radością powitamy cię w naszym gronie.



Tydzień temu, a może nawet nie dalej niż przed dwoma dniami, Joanna przytaknęłaby jej z całym przekonaniem. Jeszcze teraz, kiedy pomyślała, jak nierealne są jej marzenia w porównaniu z rzeczywistym światem, szczerze wołała zaszyć się w klasztorze. Tak przecież byłoby najlepiej. Prawdę mówiąc, nie chciała już żyć z żadnym mężczyzną. Z żadnym oprócz Adriana.

Ciekawe, czy po paru latach weźmie utrzymanie? - zastanawiała się Joanna. Wielu żonatych rycerzy miało konkubiny, ale jej zdaniem uwłaczało to godności żony.

Izba, w której się znalazła, była mała i schludna, położona na samym końcu długiego korytarza. Joanna wykąpała się, przebrała w prostą koszulę i położyła do łóżka. Postanowiła nie płakać przed zaśnięciem.

Kilka minut później wstała, zarzuciła koc na ramiona i boso wyszła na korytarz.

Kamienna posadzka była zimna jak lód. Wkoło ani żywego ducha. Joanna nie wiedziała, kto mieszka w przyległej celi. Musiała jednak coś za wszelką cenę sprawdzić, choćby nawet miała obudzić połowę opactwa.

Znalazła Adriana w trzeciej izbie. Smacznie spał, ze świeżym opatrunkiem na brzuchu i ramieniu. Twarz szpecił mu ogromny siniak, sięgający aż pod opuchnięte oko. Joanna miała szczerą chęć przyłożyć mu z drugiej strony. Mimo wrodzonej łagodności drażnił ją widok spokojnie śpiącego rycerza. Naprawdę niczym się nie kłopotał?

Po chwili okazało się, że jednak nie spał. Otworzył oczy i spojrzał na Joannę. Promienny uśmiech mógłby skruszyć najtwardsze serce.

- Powiedzieli mi, że jesteś zupełnie bezpieczna - odezwał się. - Nie chciałem w to uwierzyć, dopóki cię nie zobaczyłem.

Joanna z ponurą miną podeszła na środek celi.

- Nieźle wyglądasz - oznajmiła - a myślałam, że ten olbrzym posieka cię na kawałki.

Adrian posmutniał.

- Chciałabyś, żeby tak się stało? - zapytał cicho. - Czymś cię obraziłem?

- Jedynie tym, że przez cały czas mnie okłamywałaś i wykorzystałaś sytuację na wozie.

Już dawno się nie czerwieniła. Dlaczego więc teraz miała wrażenie, że policzki jej płoną?

Adrian nieporadnie usiłował usiąść. Skrzywił się z bólu. Joanna z trudem powstrzymała się, żeby mu nie pomóc. Przecież chce, żeby trochę cierpiał, pomyślała. Żeby go tak bolało, jak mnie serce boli.

- Myślisz, że miałem z tego jakąś korzyść? - spytał. - Wręcz przeciwnie. Tylko skomplikowałem sobie życie.

- Mogłeś trzymać ręce przy sobie.

- Tu nie chodzi o ręce. Nie zawstydził jej tą uwagą.

- Jestem dziwką - powiedziała niedbałym tonem. - To dla mnie nie pierwszozna.

- Nie tak dawno za takie słowa zabiłem człowieka. Zabraniam ci mówić w ten sposób. A poza tym odniosłem wrażenie, że pod tym względem nie masz żadnego doświadczenia. Wyglądało to tak, jakbyś nigdy nie zaznała rozkoszy z mężczyzną.

Joanna spojrzała w bok. Nie potrafiła kłamać, a rycerz był zbyt spostrzegawczy, żeby zdołała go oszukać. Postanowiła zmienić temat.

- Pozory mogą mylić - odparła. - Matka Alison mówiła mi, że po powrocie zamierzasz się ożenić. Wspomniałaś swojej narzeczonej, jak doskonale umiesz oszukiwać?

Adrian rozchmurzył się i uśmiechnął.

- O to chodzi! A już zachodziłem w głowę, co cię zmieniło w taką jędzę.

- Myśl sobie, co chcesz. Przyszłam tutaj jedynie po to, żeby ci podziękować za pomoc i opiekę w drodze do klasztoru. Ty także zawdzięczasz mi życie, zatem jesteśmy kwita. Żegnaj, sir Adrianie.

- Nie tak szybko, moja damo. Wracaj tutaj. Joanna doszła już do drzwi, lecz stanęła na dźwięk jego głosu. Oczy miała pełne łez, ale nie zamierzała płakać. Dość dawno przekonała się, że to mało skuteczna broń przeciw mężczyznom.

- Idę do swojej celi.

- Odwróć się, Joanno, i podejdź do mnie. Chcę powiedzieć ci coś ważnego.

Powinna stąd uciekać. Wiedziała, że to wszystko, co Adrian ma jej do powiedzenia, utrudni i tak niełatwą sytuację. A jednak zamrugła powiekami, żeby powstrzymać się od płaczu, i odwróciła głowę. Ranny rycerz czekał z wyciągniętą ręką.

Pomału, ze zwieszonymi ramionami, podeszła w stronę łóżka. Adrian przycisnął jej dłoń do swojej piersi.

- Nie zostaniesz w klasztorze - oznajmił spokojnie, ale kategorycznym tonem. - Wyjedziemy stąd razem.

Próbowała się wyrwać, lecz na to jej nie pozwolił.

- Nie! - zawołała ostro. - Nie zrobię tego innej kobiecie!

- Nie mówimy o innych, ale o tobie. Joanna czuła zdradliwą słabość. Mimo to próbowała walczyć.

- Nie będę twoją nałożnicą! Nie upokorzę twojej żony!

- Wysłuchaj mnie. Dziewczyna, z którą byłem zaręczony, zmarła dwa lata temu podczas zarazy. Nie rozpaczalem po niej, bo w rzeczywistości prawie jej nie znałem. W tej chwili myślę wyłącznie o tobie. Weźmiemy ślub. Zamarła.

- Jesteś okrutny - szepnęła.

- Dlatego, że chcę się z tobą ożenić? Postaram się być dobrym mężem.

Dopiero teraz zrozumiała, że mówił poważnie. Chyba dostał w głowę dużo mocniej, niż wszystkim się zdawało. Joanna szybko przyłożyła dłoń do czoła Adriana, żeby sprawdzić, czy nie gorączkuje. Było chłodne.

- Zwariowałeś - orzekła. - Jestem pewnie z dziesięć lat starsza

od ciebie, bez pensa przy duszy i w gruncie rzeczy w ogóle nie przepadam za mężczyznami.

- Co najwyżej pięć lat. Mówię o różnicy wieku. Możesz spokojnie ufać mojemu doświadczeniu. Przy moim boku zaznasz rozkoszy, o których kiedyś nawet ci się nie śniło. Będziemy mieć piękne dzieci. A teraz połóż się tu przy mnie.

- Jesteś ranny...

- Toteż na rozkosz jeszcze przyjdzie pora. Poczekamy do ślubu i do czasu, aż *moje* rany całkiem się zagoją. Na razie chcę cię tylko mieć przy sobie. Szybciej zasną i prędzej odzyskam zdrowie.

To szalenie, pomyślała Joanna, ale przecież wariatom trzeba ustępować. W milczeniu wsunęła się pod koc, którym był okryty. Adrian trochę się posunął i otulił ją bardzo starannie.

- Masz zimne stopy - powiedział.

- Tak.

- Pewnie myślisz, że zwariowałem. - Pocałował ją prosto w nos. Nie sprzeciwiła się.

- Tak.

- Na pewno wyjdiesz za mnie?

- Tak - odparła. - Tak.

Peter leżał twarzą do ziemi na twardej kamiennej posadzce. Nie poruszał się od kilku godzin. Chciał oczyścić umysł z wszelkich myśli i zapomnieć o wszystkich uczuciach. Przez chwilę słyszał jakiś hałas, okrzyki i pohukiwania, ale nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Czekał na odpowiedź.

Przez siedem lat pokutował za grzech, który w zasadzie był niewybaczalny. W ogniu zginęły setki niewinnych istot - kobiet i dzieci. To on kazał podłożyć ogień. Okazało się, że przeżył tylko William, książę Anglii, z na wpół spalonym ciałem i dawno zwichrowaną duszą. Przeżył, chociaż mógł i powinien zginąć. Podobnie Peter.

Żyli więc obaj. Peter zamierzał resztę swoich dni poświęcić pokucie za straszliwą zbrodnię. Grzech popełniony nawet

nieświadomie wciąż pozostawał grzechem. William powiedział mu, że pałac jest opustoszały, z wyjątkiem kilku żołnierzy. Podpalono budynki. William oczywiście kłamał.

Ale to nie robiło najmniejszej różnicy. Rozkaz padł z ust Petera. I to Peter strącił Williama z dachu w szalejące płomienie. Chciał, żeby cierpiał.

Bóg oszczędził Williama. Bóg oszczędził Petera. Ciekawe tylko, czy zrobił to specjalnie? Skąd brały się te bluźniercze myśli? Peter jęknął i rozpaczliwie zaczął tłuc głową w kamień.

Usłyszał stłumiony szmer głosów. Ktoś z trzaskiem otworzył drzwi kaplicy. Płomienie świec zachybotwały się w nagłym powiewie. Zadudniły ciężkie kroki. Peter zamknął oczy. Nie spojrzał nawet, czy to William, czy może któryś z jego ludzi. Niech się dzieje, co chce. Jeden dzień bliżej do rozgrzeszenia...

- Bracie Peterze - tuż przy nim rozległ się głos Adriana. Peter nawet nie drgnął. Nic, co Adrian chciał mu powiedzieć, nie sprawiało najmniejszej różnicy.

- Zostaw go, sir Adrianie. - Brat Jerome też był tutaj. Mówił z wyraźnym niezadowoleniem. - Biskup Martin nakazał mu modlitwę w samotności. Nie trzeba mu teraz przeszkadzać. Wszystko będzie dobrze.

Adrian puścił te słowa mimo uszu. Pochylił się i delikatnie potrząsnął Petera za ramię.

- Wstawaj - powiedział nagłym tonem. - Mamy kłopoty.

- To nieprawda! - ostro wtrącił Jerome. - A gdyby nawet, to brat Peter nie ma z tym nic wspólnego. Zbyt wiele czasu przebywał w oderwaniu od świętych medytacji. Teraz potrzeba mu odosobnienia i rozmyślań. Nie musi pędzić za jakąś dziewczką, która nie żąda jego pomocy. Księżę wyznał swe winy i dostał rozgrzeszenie. Nieprędko znów zejdzie na złą drogę. A gdyby nawet, to niepotrzebna mu taka niewiasta jak ona. Może mieć najpiękniejsze damy w całym państwie! Brat Peter...

Peter jednym zwinnym ruchem poderwał się z podłogi. Nawet

nie spojrział na brata Jerome'a.

- Pojechała z nim?

- Raczej nie z własnej woli. Nikt ich nie widział, kiedy odjeżdżali. Książę wolał wymknąć się po kryjomu w środku nocy, niż stanąć przed biskupem Martinem. Lady Elizabeth na pewno się broniła. W jej celi są ślady walki.

- Dawno zniknęli?

- Najwyżej przed paroma godzinami. Nie wiemy, dokąd się udali.

- Ja wiem - ponuro oznajmił Peter.

- Bracie, zabraniam ci ruszyć za nimi w pogoń. Jeśli potrzeba, biskup Martin na pewno wyśle oddział swoich ludzi. Sir Adrian z chęcią ich poprowadzi. Tobie nie wolno opuszczać kaplicy.

Za długo ulegałeś ziemskim pokusom. Zostaniesz tutaj i będziesz się modlił za bezpieczeństwo lady Elizabeth i zbawienie własnej duszy. Peter w ogóle tego nie słuchał.

- Sprowadziłeś konie?

- Tak. Już czekają. Ilu chcesz ludzi?

- Im mniej, tym lepiej. Nas dwóch wystarczy. - Przeszedł obok brata Jerome'a, jakby mijał ducha.

- Jeśli stąd wyjdiesz, bracie Peterze, to nie znajdziesz już dla siebie miejsca. Przez wieczność będziesz się smażył w piekle. Czy jakakolwiek białogłowa warta jest takiej ceny?

- Mam go uderzyć? - spokojnie zapytał Adrian.

Peter pokręcił głową i otworzył drzwi kaplicy.

- Nie mamy czasu.

Na zewnątrz było już jasno. Ostatni raz widział Elizabeth jeszcze przed północą.

- Przygotowałem ci ubranie... - zaczął Adrian.

- Niepotrzebnie. Zostanę w habicie - odparł Peter. - Nawet jeżeli brat Jerome tego nie pochwala.

- Dasz radę walczyć w takim stroju?

- Dam. Walczyć i zabijać. Przypomnij mi, żebym nie działał



zbyt pochopnie.

- Nie zabijesz Williama?
- Tobie zostawię tę przyjemność - odpowiedział.
- Będziesz przeklęty! - krzyknął Jerome. - Na zawsze zgubisz swoją nędzną duszę!

Peter zatrzymał się na chwilę w progu kaplicy.

- To mała cena — odparł. Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

RS

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

---

**E**lizabeth powstrzymywała mdłości aż do świtu. Dopiero kiedy ktoś ściągnął jej zasłonę z głowy i została zepchnięta z siodła, poczuła, że zwymiotuje. Z trudem przetrwała kilka minionych godzin, smród niemytego ciała porywacza i końskie podskoki. Głowa bolała ją niczym po uderzeniu pałką. Worek czuć było mokrą owcą i czymś jeszcze. Nic nie widziała, ale tętent koni zdradzał, że otacza ją dość duża grupa jeźdźców.

Upadła na twardą kamienną płytę. Wyplątała się z worka i spostrzegła, że są na niewielkim dziedzińcu. Zbrojni zajęli się zmęczonymi końmi. Przez chwilę nikt nie patrzył w jej stronę. Pomyślała, że to najlepszy moment do ucieczki, lecz przeceniła własne siły. Żołądek odmówił jej posłuszeństwa.

Zdołała tylko chwiejnym krokiem oddalić się na parę jardów i zaczęła wymiotować.

Słońce stało już dość wysoko. Elizabeth nawet się nie spodziewała, że od czasu, gdy ją porwano, upłynęło aż tyle godzin. Na szczęście większą część upiornej podróży przebyła w omdleniu.

Na czworakach odpełzła jeszcze trochę dalej i przycisnęła twarz do chłodnych kamieni. Leżała, oddychając ciężko. Oddział stanął pod jakimś budynkiem - za małym na rycerski zamek, ale znacznie większym od chłopskiej chaty. Na pewno mieszkał tutaj ktoś zamożny i bardzo wpływowy. Może do niego zwrócić się o pomoc?

Z trudem uniosła głowę. Zobaczyła, że szpary pomiędzy płytami dziedzińca są mocno zarośnięte trawą. Na oknach tkwiły stare okiennice. Dom był opustoszały. Znikąd nie mogła oczekiwać wybawienia.

Zobaczyła przed sobą czyjeś nogi. Eleganckie skórzane buty do

konnej jazdy. Mrużąc oczy od słońca, spojrzała trochę wyżej i rozpoznała twarz księcia Williama. Uśmiechał się.

- Dobrze, że nie ma tu Petera, milady - powiedział złowieszczo słodkim głosem. - Do tej pory nie mogę pojąć, jak zdołał cię pokochać. Wiesz, jak wyglądasz? Jak podtopiona, przerośnięta kotka. Gdyby zobaczył cię w tym stanie, na pewno by natychmiast uciekł. Pozbawiłby mnie całej przyjemności.

Elizabeth zamrugnęła powiekami. Usłyszała wszystko, co powiedział książę, ale nie umiała poskładać tego w myślach w odpowiednią całość. Usiadła z trudem i się rozejrzała.

- Co to za miejsce?

- To sceneria przyszłych wydarzeń. Można rzec, iż wybrałem ją z premedytacją. Jesteśmy w dawnym domu Petera. Jego ród władał całą połacią ziemi stąd aż do klasztoru. Prawdę mówiąc, nawet klasztor i sanktuarium Świętej Anny stoją w granicach tej samej posiadłości. To była bardzo bogata rodzina. Wszyscy umarli podczas zarazy, kiedy Peter beztrudnie wybrał się na krucjatę. Po powrocie zastał tylko połowę chłopów i nikogo z bliskich. Niewątpliwie widok tego miejsca przywoła złe wspomnienia. Bardzo się z tego cieszę. To wręcz zakrawa na poemat.

Wyciągnął do niej dłoń w skórzanej rękawiczce. Zamigotały drogie pierścienie. Elizabeth popatrzyła nieprzytomnym wzrokiem, chwycił ją więc za krótkie włosy i szarpnięciem postawił na nogi.

Elizabeth była od niego wyższa. Pierwszy raz uznała to za swój atut i poczuła satysfakcję, że może patrzeć z góry na Williama.

- Czego ode mnie chcesz?

- Nic, milady. Grasz jedynie rolę przynęty. Czekam, aż Peter zapomni o swoim Bogu i przybędzie ci tutaj na ratunek. Mam wobec niego pewien niemały dług, który od dawna zamierzałem spłacić. Znów będziesz wymiotować? - spytał, popatrując na nią podejrzliwie.

Prawdę mówiąc, Elizabeth miała okropną ochotę zabrudzić jego wykwinny kaftan. Niestety, wyrzuciła już z siebie chyba wszystko.

- Nie.

- Nie, Wasza Wysokość - poprawił ją.

To samo zrobił kiedyś pewien fałszywy książę. Kłamliwy mnich... Złośliwy i denerwujący. Bez względu na okoliczności, Elizabeth nie zamierzała więcej płakać.

- Nie - powtórzyła z uporem.

William wymierzył jej policzek z tak niespodziewaną siłą, że zatoczyła się i upadła. Chyba zadrapał ją sygnetem, bo poczuła, że krew płynie jej po policzku gdzieś spod oka. Gdyby trafił odrobinę wyżej, mógłby ją oślepić.

Książę odwrócił się tyłem.

- Zabierzcie ją do domu - rozkazał swoim ludziom. - Niestety, trzeba będzie trochę poczekać na świątobliwego braciszka Petera. Zapewne najpierw spojrzy w głąb swej duszy, pomodli się ze dwa razy i po trzykroć będzie zmieniał zdanie. Wie, że tutaj może się spodziewać jedynie bolesnej śmierci. W takich chwilach człowiek woli się zastanowić, zanim podejmie decyzję.

- Co z nią zrobić, miłościwy panie? - zapytał jeden z posepnie wyglądających żołdaków.

William przelotnie spojrzał na leżącą Elizabeth. Uśmiechnął się na widok jej zakrwawionej twarzy.

- Co chcecie - odparł. - Tylko jej nie zabijcie. Musi żyć przynajmniej do przyjazdu Petera.

Szorstkie ręce pochwyciły Elizabeth i pociągnęły w stronę domu. Była zbyt przerażona, aby krzyczeć. Rzucili ją na podłogę w ciasnej izbie i stłoczyli się wokół.

- Kto pierwszy, chłopcy? Będziemy ciągnąć losy? Może nie jest za ładna, ale co to szkodzi? Każdą chętnie wezmę, choćby tylko po to, aby jak najszybciej zapomnieć o moim ostatnim pobycie u zakonnic!

Elizabeth niczym spłoszony szczur cofnęła się do kąta. Nie pozwoli się tknąć, postanowiła.

- Jest pewna różnica między mną a innymi - powiedziała

niemal bez tchu. Pierwszy z napastników już zdążył w jej stronę, brudnymi łapami mocując się z paskiem. Pozostali rechotali donośnie.

Ów pierwszy uniósł dłoń, żeby ich uciszyć.

- Co to niby ma znaczyć? - zapytał podejrzliwie.

Nie po to spędziła tyle czasu wśród akuszerki w Bredon, żeby się nie dowiedzieć więcej, niż by chciała.

- Wkrótce się przekonacie. Pierwsze objawy wystąpią po trzech dniach, jak mnie już nie będzie na świecie. Ale wam zostawię coś na pamiątkę...

- Chcesz powiedzieć, że jesteś chora? Że dosięgnęła cię zaraza? To nieprawda. Czarna śmierć przeszła tędy dawno temu, kiedy ciebie jeszcze nie było na świecie - odparł żołdak, ale odruchowo cofnął się o kilka kroków. - Zabrała mi paru przyjaciół, objawy występują dużo później.

- Są różne rodzaje chorób. Jak myślisz, dlaczego ojciec wysłał mnie do klasztoru? Bał się, że zarazę wszystkich mężczyzn w Bredon. To niemoc, która przyszła do nas z Ziemi Świętej, od parszywych Saracenów, spółkujących nawet z chłopcami i zwierzętami. Męskość ci zgnije i odpadnie, jakbyś był trędowaty. Wrzody pokryją całą skórę i zaczniesz wymiotować czarną krwią. Umrzesz po kilku dniach, choć dla ciebie będą to całe wieki.

- Kłamiesz. - Cofnął się jednak jeszcze dalej, w kierunku milczących kompanów. - Po tobie nie znać żadnych śladów.

- Z niewiastami jest trochę inaczej. Choroba rozwija się w ich ciałach i na początek stają się bezpłodne. Niektórzy mówią, że to zemsta arabskich czarownic, inni znów widzą w tym gniew Boga za to, że krzyżowcy wbrew obietnicom nie zdołali odbić Ziemi Świętej. Zresztą to przecież nieważne. Tylko tknij mnie, a zginiesz przeokropną śmiercią.

- Nie wierzę ci. Gdzie się zaraziłaś? Wyglądasz mi na dziewicę. Roześmiała się gorzko, lecz szczerze. Nie musiała udawać.

- Co ty powiesz? Rycerz, który to przywłókł do nas, na zamek

Bredon, zmarł jakiś tydzień później. Kto wie, gdzie był przedtem? Zanim się obejrzelśmy, połowa zbrojnych już nie żyła. Mój ojciec kazał udusić wszystkie chore dziewczki, ale nie potrafił się zdobyć na to, żeby zabić własną córkę. Oszczędził mnie z nadzieją, że zaraza ustanie, gdy zachowam celibat. - Przywołała na twarz pogardliwy uśmiech. - Co to za różnica? Książę i tak powiedział, że jeszcze dzisiaj zginę. Możemy więc się zabawić. - Zaczęła podciągać spódnicę. - No, który z was pierwszy?

Odwrócili się i uciekli, co do ostatniego. Zatrzasnęli za sobą drzwi i zamknęli zasuwę. Elizabeth miała ochotę wybuchnąć niepohamowanym śmiechem. Bała się jednak, że jak raz zacznie, nie będzie mogła przestać.

Książę był głupcem. Peter nigdy tutaj nie przyjedzie. Jeśli miał chociaż odrobinę rozsądku, ucieszyłby się z jej śmierci. Rozumny mężczyzna nie powinien tracić głowy dla niewiasty. Peter wszystkim wydawał się rozsądny.

Oparła głowę o chropowatą ścianę. Nic dziwnego, że dobrze znał tutejsze lasy. Bez trudu znalazł opuszczoną chatę i tak zręcznie wybierał dalszą drogę, że zdołali ominąć książęce patrole. Dobrze się mną zaopiekował, pomyślała Elizabeth. Tak dobrze, że mi złamał serce.

W pełni zdawała sobie sprawę, co ją czeka. Wiedziała, że umrze bolesną śmiercią, ale przynajmniej uchroniła się przed gwałtem. Ilu ich tam było? Chyba ze dwunastu. Wolała zachować wspomnienie o miłości.

Co prawda, nie wierzyła, że Peter ją pokochał. Uwiódł ją, lecz zrobił to bardziej z pogardy dla siebie. Z tych samych względów biczował się i nosił włosiennicę.

Nie, miłość przyszła tylko do niej - choć Peter może na nią nie zasłużył. Gorzej, że wcale mi nie minęła, pomyślała.

Zbyt wiele widziała w życiu narodzin i śmierci, aby nie łudzić się nadzieją, że zły los się odmieni. Umrę, a za swoje grzechy na pewno trafię do piekła.



Przypomniała sobie długą noc na cedrowym pościeliu, poranną kąpiel w zimnym strumieniu i pocałunek, który jej ofiarował Peter już w klasztorze. Teraz już nawet piekło nie było dla niej straszne.

William pomrukiwał pod nosem skoczną melodię. Już od bardzo dawna nie był w tak dobrym humorze. Duża sala w dawnym domu Petera pamiętała o wiele lepsze czasy, ale w kominku znów rozpalono ogień, a liczne świece rozpraszały półmrok. Księżę zjadł sutą wieczerzę złożoną z pasztetu i pieczonego królika, a teraz siedział, rozmyślając, w jaki sposób zabije Petera i tę jego tyczkowatą dziewczkę.

Jeszcze nie podjął ostatecznej decyzji, które z nich umrze pierwsze. Peter musiał zginąć powoli, i to najlepiej w płomieniach. Noc oczywiście nie była aż tak zimna, żeby palić w kominku. Ten ogień miał zupełnie inne przeznaczenie.

Najpierw pozbawię go męskości, pomyślał księżę o Peterze, ale nie ogniem, tylko nożem. Doprawdy nie wiem, co mi przyniesie więcej satysfakcji - czy widok jego udręczonej twarzy, czy to, że sam to zrobię. Czym go bardziej skrzywdzę? Lepiej, żeby zginął pierwszy, ze świadomością, że Elizabeth patrzy na jego cierpienie? Czy też ją mam zabić najpierw? I to, i tamto jest kuszące. Trudny wybór...

Jedna rzecz tylko trochę go zdziwiła. Wciąż nie słyszał krzyków gwałconej ofiary. Jego ludzie nie grzeszyli zbyt dużą delikatnością. Do tej pory dziewczka powinna się załamać, choćby nawet była wyciosana z drewna. W opustoszałym domu jednak panowała cisza. Żadnych jęków. Żadnego chrapliwego śmiechu.

Zabili ją? To by go rozgniewało i ktoś musiałby słono zapłacić za zlekceważenie księżęcego rozkazu. Przecież to byli najemnicy. Budził w nich strach. Żaden z nich nie ośmieliłby się mu sprzeciwić. Jednak wiedział, że wypadki się zdarzają. Przecież sam tego doświadczył z młodą baronówną. Nie chciał jej zabić - miał dość rozumu, aby dokładnie zdawać sobie sprawę z konsekwencji takiego czynu.

Jeśli lady Elizabeth nie przeżyła wieczornych przyjemności, to zawsze pozostaje czas na małą improwizację. Każę rzucić jej zakrwawione ciało w sali tuż przed kominkiem. Ale to już nie będzie to samo... Tak. Trzeba ich ukarać.

- Winston!

- Tak, wasza książęca mość?

- Dziewka wciąż żyje?

- Tak mi się zdaje, najłaskawszy panie. William popatrzył na niego podejrzliwie.

- W takim razie ją przyprowadź. Potrzeba mi dowodu i rozrywki. Nudzi mnie ciągłe czekanie na jej wybawiciela.

- Tak jest, wasza książęca mość. Mam też przynieść noże?

William uśmiechnął się z rozmarzeniem.

- Och, tak, Winstonie. Zrób to. I daj ją tutaj. Jestem potwornie znudzony.

Rozparł się wygodnie na krześle i oddał się marzeniom.

W maleńkiej izbie panował mrok. Elizabeth znowu poczuła ucisk w żołądku, Do bólu głowy dołączyło jeszcze pulsowanie pod rozbitym okiem. Uniosła rękę i ostrożnie dotknęła opuchlizny. Przeraziła się tym, co wyczuła pod palcami. Policzek był nabrzmiały jak bania. Nic dziwnego, że miała kłopoty z widzeniem. Chociaż w tej ciemnej norze to przecież wszystko jedno.

Nie mogła zasnąć. Godzinami siedziała skulona w ciasnym kącie, wymyślając jedną historię po drugiej dla odstraszenia ewentualnych napastników.

Na szczęście nikt nie przyszedł. Jedno nie ulegało dla niej najmniejszej wątpliwości. Peter się nie zjawi. Po ostatnim spotkaniu stało się zupełnie jasne, że chciał być jak najdalej od niej. W tej sytuacji rychła śmierć zdawała się najlepszym rozwiązaniem.

Nikt się tym zbytnio nie przejmie, ponuro myślała Elizabeth. Dobre siostry zatrzymają wiano, ojciec i bracia już dawno o mnie

zapomnieli, a Peter z chęcią pozbedzie się pokusy. Przecież nie budzę pożądanego nawet w oczach rozwiązanego księcia Williama. Dla niego jestem tylko „przynętą”.

Gdybym chociaż była dziewczyną, to zostałabym świętą i miała własny kościół lub kaplicę. Co prawda, wtedy, już po śmierci, musiałabym uczynić kilka cudów, ale z tym chyba dałabym sobie radę. Zawsze robiłam wszystko, co wcześniej postanowiłam. Będąc w czyścicy, wracałabym czasem na ziemię dla spełnienia dobrych uczynków.

Wzniósła myśl, lecz w Elizabeth nie było nic ze smutnej, cierpiącej Madonny. Gdyby pozwolono jej pod postacią ducha chociaż na pewien czas pozostać wśród ludzi, pewnie nawiedzałaby brata Petera i do końca świata straszyla Williama. Ciekawe, czy duchy potrafią zabijać? Na pewno sięją zamęt w ludzkich umysłach, ale księżę William już dość dawno wkroczył na ścieżkę szaleństwa. A może zdołam przekonać któregoś z jego ludzi, żeby mu podciął gardło?

Niewiele wiedziała o życiu upiórów, lecz była otwarta na nowe doświadczenia. Ducha nikt nie skrzywdzi. Nikt nawet nie dotknie. Nikt nie pocałuje, nie weźmie w ramiona, nie położy ręki na piersi...

Zgrzytnęły otwierane drzwi. Z korytarza wpadło nieco przyćmionego światła. Elizabeth zeszywniała ze strachu. Wprawdzie już zaplanowała życie pozagrobowe, ale nie pomyślała o ceremonii przejścia. Tym bardziej że przed chwilą oczami wyobraźni widziała Petera...

- Chodź. Księżę na ciebie czeka. Och, nie! Za nic w świecie nie chciała, żeby dotknął jej choćby palcem.

Wstała i nagle zatoczyła się jak pijana. Stopy miała zimne jak lód i straszliwie bolała ją głowa.

Przez chwilę zamierzała usiąść i powiedzieć, że nigdzie nie pójdzie.

Nie chciała umierać w mroku, w zimnej i nieprzyjemnej izbie.

Przytrzymała się ściany, wyprostowała plecy i dała krok naprzód.

Książę już się zadomowił w dawnym dworze Petera. Całkiem tutaj przytulnie, pomyślała Elizabeth, chwiejnie wchodząc za zbrojnym. Ręce miała związane z przodu. Winston włókł ją na linie, niczym klacz na końskim targu. Książę siedział sam w dużej sali. Na jego twarzy odbijało się migotliwe światło świec i blask ognia płonącego w kominku. Elizabeth zobaczyła noże i serce podeszło jej do gardła.

- Nieźle wyglądasz jak na dziewczkę, która obdarzyła swoimi wdziękami dwunastu tęgich zuchów - zauważył William z niezadowoloną miną.

- Zostawili ją w spokoju, panie - ostrożnie odparł Winston.

- A to dlaczego? Może nie jest piękna, ale chyba nie powiesz mi, że są aż tak wybredni!

- Wmówiła im, że jest chora. Że im zgnije korzeń albo coś takiego.

- Bzdury. Dlaczego otaczają mnie sami idioci?

- Nie bardzo wiem, najłaskawszy panie...

- To było pytanie retoryczne, Winstonie! Nie oczekiwałem od ciebie odpowiedzi.

- Tak jest, wasza książęca mość.

- Honorowy przybysz dał znak życia?

- Nie, wasza książęca mość. Nie widać też żadnego z naszych. Pewnie krążą gdzieś po okolicy, żeby się nie prześliznął. Pójdę zobaczyć, co się z nimi dzieje.

William pokręcił głową.

- Prędzej czy później musi się pojawić. Taki jak on potrafi spóźnić się na własny pogrzeb. Zostaw dziewczynę tutaj i przynieś mi trochę wina. Zmęczyło mnie czekanie.

- Pewnie poczekaś jeszcze trochę - odezwała się Elizabeth. Oko miała mocno spuchnięte, ale i tak widziała więcej, niż by chciała. -Peter nie przyjdzie.

- Znam go lepiej niż ty, kochanie. - William wziął do ręki koniec

sznura i szarpnął nim tak gwałtownie, że Elizabeth upadła na kolana. - Na pewno przyjdzie, ale nie lódź się, że zrobi to z miłości do ciebie. To kara za dawne grzechy, która potrwa aż do dnia Sądu Ostatecznego. A może nawet dłużej? Przybyłby tutaj nawet dla twojej przeoryszy.

- Bo jest szlachetny - wtrąciła Elizabeth.

- Bo jest głupi. Niemal żałuję, że ma zginąć. Śmierć będzie dla niego nadzwyczajną łaską. Wyzwoleniem od straszliwego poczucia winy. Przynajmniej wiem, że trafi na dno piekła, i w tym znajduję pocieszenie.

- To ty trafisz na dno piekła - odparła Elizabeth. - Jesteś chorym, obłąkanym monstrem. Mordercą, okrutnikiem...

- Och, przesada! Gdzie mi się tam równać z tym twoim Peterem. Prawda?

Elizabeth przez chwilę nie wiedziała, do kogo mówił. A potem usłyszała za sobą czyjeś kroki. Z przerażeniem zrozumiała nagle, że Peter jednak wpadł w pułapkę.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

---

**N**a szczęście ukochana jeszcze żyła, choć była w okropnym stanie. „Ukochana?” Skąd ten pomysł? W drodze wpadło mu do głowy, że jest skazany na przegraną. Że już nigdy nie przestanie kochać Elizabeth, choćby zdawało się to szaleństwem. Im bardziej odpychał to uczucie, tym stawało się silniejsze.

- Dziwię się, że dotarłeś tu niepostrzeżenie. Wydałem moim ludziom rozkaz, by przepuścili cię bez walki, lecz spodziewałem się, że chociaż słowem zawiadomią mnie o wizycie.

- Twoi ludzie są... zajęci - mruknął Peter, wchodząc w krąg światła. Elizabeth ciągle klęczała na podłodze. Starał się na nią nie patrzeć. Wiedział, że William wykorzysta każdą oznakę słabości z jego strony.

- W takim razie nie jesteś sam. Nie widzę krwi na twoim mieczu, a wiem, że nie poddałiby się bez oporu.

- Być może, choć łatwo podejść i rozbroić głupca. W oddziale masz samych głupców.

- Z tym akurat muszę się zgodzić. Na szczęście sam do nich nie należę. Zastanawia mnie, po co przyniosłeś broń, skoro obaj doskonale wiemy, że jej nie użyjesz.

- Nie?

- Nie. Wciąż bijesz się w piersi za niewiernych, którzy padli z twojej ręki w Ziemi Świętej. Za tych, których spaliłeś. Przysięgałeś Bogu, że już nigdy nikogo nie zabijesz, chyba że w obronie własnego życia. Jak dotąd ci się to udawało.

- Owszem.

- Zatem skąd pomysł, by mnie zamordować? Nie zrobisz tego. Na oczach Elizabeth? Nie kiwniesz nawet palcem, dopóki cię sam nie zaatakuję. Lepiej usiądź, bracie Peterze, i nalej sobie kielich



wina. Wciąż jesteś bratem Peterem? Czasami mam co do tego spore wątpliwości, mimo że nadal nosisz habit.

Przecież z łatwością mógłbym go zabić, pomyślał Peter. Chlasnąłbym go prosto w szyję i popatrzył na spadającą głowę. Wiele razy widziałem, jak z zimną krwią mordował swoich przeciwników. Niewiernych, powiadał. Wrogów Chrystusa. Miał na to najbardziej wyszukane sposoby.

- Nie chcę wina.

- Chyba nie myślisz, że pozwolę wam spokojnie odejść? Wiesz, ile mnie kosztowało, żeby cię tutaj ściągnąć? Gdybyś nie Adrian, poderznąłbym ci gardło już pierwszej nocy. Trudno cię zabić, mój Peterze.

- Zawsze tak było.

- Lecz nie tym razem. - William gwałtownie szarpnął za sznur, którym związana była Elizabeth i przyciągnął ją bliżej siebie. Chwilę potem klęknął tuż koło niej i przytknął jej nóż do gardła.

- Łatwo z niej spuścić krew - powiedział niemal wesoło. - Ponacinam ją w kilkunastu miejscach i będziesz patrzył, jak się wykrwawia.

Peter patrzył na niego beznamiętnie.

- Puść ją, Williamie.

- Pomyśl o tym trochę w inny sposób. To ty wydałeś rozkaz, żeby podpalić seraj. Masz na sumieniu straszną śmierć setek kobiet i dzieci. Może więc w ramach rozgrzeszenia poświęcisz swoją ukochaną? Cóż znaczy jedno kruche życie wobec ogromu dawnych nieszczęść? Przecież stać cię na tę ofiarę. Jesteś wielki. Jej śmierć będzie odkupieniem za śmierć tamtych niewiast.

- Dobrze wiesz, że byłem święcie przekonany, że seraj jest zupełnie pusty.

- Sam ci to powiedziałem. Śmiać mi się potem chciało, kiedy chciałeś zmusić szlachetnych krzyżowców, żeby gasili ogień. To było niemożliwe.

Stary i suchy na wiór budynek spalił się szybciej, niż się

spodziewałem. Nikt nie ocalał.

- Oprócz ciebie.

William mocniej przycisnął nóż do szyi Elizabeth. Spod ostrej stali popłynęła kropelka krwi.

- Oprócz mnie. Wyszedłem z tego jako impotent. Jako potwór, w którym niewiele pozostało z dawnego człowieka.

- Nie, Williamie. Potworem byłeś dużo wcześniej, zanim runąłeś w ogień.

- Naprawdę uważasz, że ją uratujesz? Daj tylko krok w tę stronę, a podetnę jej gardło. Zadławi się własną krwią.

- Nawet jeżeli będę ci posłuszny, i tak ją zabijesz.

- Tego nie możesz być zupełnie pewny. Póki wciąż żyje, jest nadzieja. - William musnął skórę Elizabeth i oblizał koniuszki palców. - Co bardziej kochasz, Peterze? Swą nieśmiertelną duszę czy nędzną dziewczkę?

- Puść ją. Moja śmierć da ci o wiele więcej satysfakcji.

- Nie. Ani myślę. Od powrotu z Ziemi Świętej pragniesz poświęcić się za kogoś. Nie dostarczę ci takiej przyjemności. Będziesz patrzył na konającą Elizabeth, chyba że mnie przedtem zabijesz. Ale przecież nie złamiesz ślubów, które złożyłeś przed ołtarzem. - William ujął Elizabeth pod brodę i odwrócił jej głowę w swoją stronę. - Hm... Od czego powinienem zacząć...?

Przytknął skrwawiony koniec noża do jej pobladłych ust.

- Nie rób tego! - Tym razem w głosie Petera dał się słyszeć strach.

- Jesteś bezradny. Pomyśleć tylko: jeden z najlepszych zabójców w całej Anglii... Ale przysięga jest ważniejsza od dziewczyny. Wstydź się. Sądzisz, że zdołasz ją uwolnić? Że poruszysz czułą strunę w moim sercu? Nie mam serca.

- Wiem - odparł Peter.

- Powiedz mi, co wybierasz? Duszę czy dziewczkę?

William opuścił ostrze trochę niżej, pod brodę Elizabeth.

- Dziewkę - mruknął Peter i celnie rzucił nożem.

Na anielskiej twarzy Williama pojawił się wyraz bezbrzeżnego zdziwienia. Wyglądało to niemal komicznie, gdyby nie nóż sterczący z jego szyi.

Książę uśmiechnął się.

- Wygrałem... - wycharczał z trudem i ciął na oślep w stronę Elizabeth.

Zdażyła jednak odskoczyć w bok. William szarpnął się, sięgnął ręką do gardła, a potem upadł na ziemię. Nóż wysunął mu się z bezwładnej dłoni i brzęknął o posadzkę.

Peter podniósł go i rozciął więzy na rękach Elizabeth. Nie patrzył na nią, lecz na martwe ciało Williama. Na podłodze rozszerzali się kałuża krwi.

- Adrianie! - krzyknął.

Młody rycerz natychmiast zjawił się w komnacie, jakby czekał pod drzwiami na wezwanie.

- Już po wszystkim? - zapytał.

- Tak.

- Co mam zrobić!

- Zabierz Elizabeth z powrotem do klasztoru Świętej Anny. Ja zajmę się trupem.

- A co z jeńcami?

- Niech zostaną. Prędzej czy później się uwolnią, a gdy usłyszą, że ich pan nie żyje, to pochowają się po kątach.

- A ty?

Peter popatrzył na niego pustym wzrokiem.

- Co ja?

Podszedł do Elizabeth i starannie obmacał jej szyję. Dłonie miał zimne jak lód - jakby sam już nie żył. Spojrzał dziewczynie prosto w oczy.

- Tu w sąsiedztwie mieszkała kiedyś pewna zielarka - powiedział do Adriana. - Może wam pomóc. Jeżeli nie, to jedźcie wprost do klasztoru.

- A ty? - zapytała z kolei Elizabeth.

Lekki uśmiech przewinął się po jego ustach.  
- Żegnaj, słodka złościco.  
Peter wstał. Po chwili wyszedł z domu.

RS

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

---

Powoli zbliżało się lato. Kwiaty na jabłoniach ustąpiły miejsca jasnozielonym liściom. W powietrzu unosił się zapach bzu, a w ogrodach klasztoru Świętej Anny zakwitły pierwsze róże. Elizabeth nadal czekała.

Straciła rachubę dni, które minęły od tamtej straszliwej nocy, kiedy Peter odszedł z rękami zbrukanymi krwią księcia Williama. Nikt o nim nie mówił, a ona nie pytała. Zamieszkała w klasztorze, pilnie wypełniała wszelkie obowiązki i po raz pierwszy w życiu stała się pokorna i cicha.

O księciu-bastardzie wszyscy zapomnieli. Królowa Izabela znów była w błogosławionym stanie i nic nie wskazywało na to, że poroni. Wkrótce miał się urodzić prawdziwy królewski syn i następca tronu.

Elizabeth samotnie krążyła po klasztornych korytarzach. W skrytości ducha rozpamiętywała ostatnie słowa Petera.

Wciąż żyła w zawieszeniu. Wiedziała, że już dawno powinna złożyć śluby i przywdziać habit zakonnicy. Jednak nawet myśl o tym wprawiała ją w zakłopotanie. Najwięcej czasu spędzała w ogrodzie, w towarzystwie siostry Marii Felix, pielęgnując maleńkie pędy, strzelające z żyznej ziemi. Siostra Maria nie zadawała jej żadnych pytań.

Nie tylko królowa Izabela była przy nadziei. Adrian wziął ślub z Joanną jeszcze przed wyjazdem. Miesiąc później zaszła w ciążę. Elizabeth wyobrażała sobie dumę przyszłych rodziców. Za nic w świecie nie chciała opuścić bezpiecznego schronienia, które oferowały jej klasztorne mury. Nie chciała porzucić codziennych modlitw i obowiązków. Na pozór pogodziła się z myślą, że nigdy nie będzie miała dziecka, lecz na płacz jej się zbierało przy każdej miesiączce. Jednak nie potrafiła płakać.

Gorące letnie dni ciągnęły się w nieskończoność. Elizabeth nadal pracowała w ogrodzie. Miała opaloną twarz i coraz dłuższe włosy - tak samo rude jak przedtem.

Mniej więcej do połowy czerwca wciąż padało. Małe roślinki niemal zniknęły w obfitych strugach wody. Pierwszego słonecznego dnia Elizabeth skończyła poranne pacierze i z ciężkim sercem usiadła przy oknie. Było jeszcze zbyt mokro, żeby wyjść do ogrodu. Nie wiedziała, co robić.

Pustym wzrokiem patrzyła przez zakratowane okienko. Nagle usłyszała ciche pukanie. Weszła matka Alison.

- Wyglądasz jak upiór, moje dziecko - powiedziała. - Nie sądzisz, że już najwyższa pora zakończyć żałobę?

- To nie żałoba. - Elizabeth westchnęła. - Przecież nikt nie umarł, prawda? - spytała z przerażeniem. A może ogarnięty przemożną rozpaczą Peter targnął się na własne życie? Poszedł do piekła, przekonany, że i tak czeka go wieczne potępienie?

- Prawda, dziecino - powiedziała matka Alison. - Z wyjątkiem twojej duszy.

- Zawsze miałam w sobie za dużo życia. Najwyższa pora, abym stała się nieco spokojniejsza.

- Chciałabyś wrócić do ziemskiego świata?

- Nie mam żadnych marzeń. Matka Alison pokręciła głową.

- Zasmucasz mnie, moje dziecko. Powinnaś w końcu podjąć decyzję. Odczuwasz w sobie prawdziwe powołanie, by złożyć śluby i stać się zakonnice? Czy jesteś raczej ulepiona z całkiem odmiennej gliny?

- Nie mam wyboru.

- Zawsze jest wybór. Co wolisz? Habit czy powrót do świata?

- Świat jest pełen krwi i przemocy - odparła Elizabeth.

- Ale także śmiechu i miłości.

- Nie dla mnie.

Matka Alison chrząknęła cicho.

- Zapomniałam, że przecież jesteś jeszcze bardzo młoda -



powiedziała. - Po pewnym czasie rany się zabliznią. Wszystko się zmieni.

Elizabeth mimo woli dotknęła blizny na szyi. To był ślad pozostawiony przez nóż Williama. Nie wyczuwała pod palcami zgrubienia. Blizna zniknęła, a wraz z nią ostatnia pamiątka przeszłości. Elizabeth miała poczucie straty.

- Chcę pozostać w klasztorze - szepnęła. - Pokorna i posłuszna.

- Zastanów się, czy tak jest naprawdę? Wierz mi, że jeżeli zechcesz, to przyjmiemy cię z otwartymi ramionami. Przemyśl to jednak. Deszcz przestał padać, wyszło słońce. Pospaceruj trochę po ogrodzie. Tam nikt nie będzie ci przeszkadzał.

- Wolę posiedzieć tutaj...

- Ja zaś wolę, abyś wyszła do ogrodu - stanowczo powiedziała matka Alison. - Jeśli zamierzasz być posłuszna, to nie powinnaś się sprzeciwiać. Krótki spacer dobrze ci zrobi.

Nie było miejsca na sprzeciw.

- Jak sobie życzysz, matko.

Alison nieoczekiwanie uczyniła znak krzyża na wysokości czoła dziewczyny.

- Idź w spokoju, moje dziecko. Zobaczymy się później.

Dzień zapowiadał się wyjątkowo pięknie. Elizabeth z odkrytą głową weszła na starannie utrzymaną ścieżkę wiodącą w głąb ogrodu. Ostatnio zwykle zakładała czepek, ale dziś chciała poczuć wiatr we włosach.

W ogrodzie rzeczywiście nie było nikogo. Elizabeth powoli wspinała się pod górę. O tej porze wszystkie siostry zapewne udały się na nabożeństwo. Dziwne, że matka Alison kazała jej iść na spacer. Z reguły ściśle pilnowała ustalonych godzin.

Nad głową Elizabeth cicho szumiały gałęzie śliw i jabłoni. Słodki zapach unosił się w rozgrzanym słońcem powietrzu. Na drzewach pojawiły się pierwsze owoce. Kiedy dojrzeją, będą zupełnie gotowa, pomyślała.

Chyba usiądę pod jabłonią. Ziemia na pewno jest jeszcze

bardzo mokra. Może przeziębienie się i umrę, i Peter będzie miał za swoje.

Usiłowała się uśmiechnąć do tak niecodziennych myśli, ale już chyba zapomniała, jak to się robi. Było za ciepło na przeziębienia. Choroby jej się nie imają, a Peter zniknął całą wieczność temu.

Zniknął, by wrócić. Stał na szczycie wzgórza.

Elizabeth zatrzymała się jak wryta. Serce waliło jej w piersi. Peter miał na sobie skórzane i wysokiebuty. Nie wyglądał na księcia ani na zakonnika. Z nieprzeniknioną twarzą patrzył na Elizabeth. Podeszła bliżej.

- Rzeczywiście wyglądasz jak upiór - odezwał się. - Matka Alison miała rację.

- Rozmawiałeś z nią?

- To nie ona cię tu przysłała? - spytał. Elizabeth wyczuła w nim wyraźną zmianę.

Jeszcze nie całkiem pozbył się dawnego cienia, ale na pewno już mu nie ulegał.

- Ona. Nie wiedziałam po co.

- Czas na wybór. - Jaki?

- Wolisz habit czy nowe życie? Popatrzyła na niego bez słowa.

- Wcale nie musisz tego robić - powiedziała cicho. - Nie jestem w ciąży.

- Ani przez chwilę o tym nie myślałem.

- To po co przyszedłeś?

- Żeby przedstawić ci pewną propozycję. Możesz złożyć śluby zakonne, ale możesz też pojechać ze mną do miejsca, w którym omal nie zginęłaś, i zamieszkać tam na stałe.

- Dlaczego?

- Jestem ci to winien. Zła odpowiedź.

- Wolę klasztor - odparła chłodno i odwróciła się tyłem do Petera.

- To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

- Tak - rzuciła przez ramię. Dlaczego zaczęła płakać właśnie

teraz? Tyle miesięcy wytrzymała w cichej rozpacz, a dzisiaj łzy same jej popłynęły z oczu. Dlaczego?!

Dlatego, że on był tutaj. Elizabeth szła z nisko pochyloną głową. Była wściekła na niego i na siebie za tę chwilę słabości. Obejrzała się. Peter zniknął.

Zrozzaczona usiadła pośrodku ścieżki i zaczęła szlochać tak rozdzierającym głosem, że obudziłaby umarłego. Przecież nikt jej nie słyszał, a gdyby nawet... To nieważne. Była szaleńczo zakochana, ale nie miała dość rozsądku, żeby zatrzymać Petera. Odepchnęła go, chociaż chciała, aby został przy niej. I wcale nie musiał jej kochać. Jej miłości wystarczyłoby dla obojga.

Płakała głośno, więc dopiero wtedy usłyszała cichy stukot kopyt, gdy koń stanął prawie przy niej. Peter pozostał w siodle. Z góry spojrział na zalaną łzami twarz Elizabeth.

- Chciałem poślubić rudowłosą wiedźmę, a nie beksę - rzekł szorstkim głosem.

Elizabeth głęboko zaczerpnęła tchu, żeby się nieco uspokoić. Coś w niej zostało z dawnej złości.

- Jeżeli myślisz, że za ciebie wyjdę, ty kłamliwy i podstępny... Uśmiechnął się.

- Wyjdiesz. Gdzie znajdziesz kogoś, kto pokocha cię za twoje głupie zachowanie?

- Nie jestem głupia! A ty... ty mnie kochasz?

- Na równi z tobą. Chociaż zazwyczaj wolisz mi dokuczać.

- Po ślubie będę ci dokuczać aż do końca życia!

- Liczę na to.

Zerwała się, objęła go za szyję i zaczęli się całować. Elizabeth zamknęła oczy. Był taki słodki...

- Może nie zacznę być złościwa tak od razu. Daj mi co najmniej rok lub dwa...

- Dzień lub dwa zupełnie wystarczy. Kocham cię, moja złościwo. Nie wiem tylko, czy na ciebie zasłużyłem.

- Święte słowa. Od dziś będziesz miał dość czasu, żeby się

zacząć starać.

Śmiech Petera zabrzmiał donośnie w rozgrzanym powietrzu  
lata.

